



Macocha



Roma wzięła ślub z fajnym facetem.
Mogli żyć długo i szczęśliwie,
gdyby nie to, że pewnego dnia
w drzwiach ICH mieszkania stanęła JEGO córka...

Natasza Socha

Natasza Socha



Macocho

30 stycznia, środa

Mam dziecko.

Być może dla wielu kobiet nie jest to wiadomość wstrząsająca, ale ja mam dziecko od wczoraj.

Co gorsza, nie urodziłam go, nie planowałam, nie głaskałam się z namaszczeniem po brzuchu i nie mdlałam z rozkoszy, gdy kopało moje nerki. Nawet go nie adoptowałam i nigdy bym nie przypuszczała, że pomimo to i tak wyląduje w moim domu.

Dziecko ma lat czternaście, pokrytą pryszczami twarz, skundlone włosy, badyłowate ręce oraz pospolite imię – Kasia...

Jest córką Brunona, mojego męża, z jego pierwszego małżeństwa i właśnie na śmierć i życie pokłóciła się z matką. Efekt? Kasia spakowała walizkę, torbę i trzy reklamówki, wsadziła swoje chude ciało w pociąg i wylądowała u nas z informacją, że zostaje na jakiś czas. Mamy jej znaleźć szkołę i się nie wtrącać.

Plan na następnych kilka tygodni:

1. Pozbyć się Kasi z domu.
2. Zmusić ją do powrotu.
3. Przekonać, że życie z nami jest beznadziejne.
4. Otruć.
5. Wysłać w kosmos?

31 stycznia, czwartek

Na razie wiem tyle, że Kasię trzeba zapisać do szkoły. Tamtej nie lubiła, bo nauczycielki były „głupimi cipami”, podobnie zresztą jak koleżanki z klasy. Tyle dowiedziałam się w środę wieczorem, a następnego dnia nastolatka i mój mąż wyruszyli na poszukiwanie gimnazjum, które spełniłoby wymagania czternastolatki. Osobiście sugerowałam szkołę z internatem, oddaloną od naszego miasta o kilkaset kilometrów, ale zlekceważono to, co mówiłam. Szkoda. Kasia nabrałaby ogłady (jeśli to w ogóle możliwe), sumiennie i pod czujnym okiem przełożonych odrabiałaby lekcje, no i odwiedzałyby nas, powiedzmy... co trzeci weekend?

Niestety nie pozwolono mi rozwinąć tej cudownej wizji, więc ostentacyjnie poszłam spać.

Jezu, co ja zrobię?

1 lutego, piątek

O siódmej rano już to wiedziałam.

Uduszę ją.

W nocy, poduszką, i zwalę to na zespół nagłej śmierci łóżeczkowej. Kto powiedział, że występuje on tylko u noworodków?

– Co to jest? – Kasia wydała z siebie obrzydliwy dźwięk.

Ona ma chyba zeza...

– Dżem – odpowiedziałam najuprzejmiej jak potrafiłam i zaczęłam ostrzyć nóż, żeby pokroić pomidory.

– Śmierdzi. – Kasia wetknęła pryszczaty nos w słoik i się zaciągnęła.

Na pewno ma zęza. I odstające uszy.

– To taki zapach, imbir – wyjaśniłam, bo w końcu jestem o całe szesnaście lat starsza i mądrzejsza oczywiście.

– Gówno jakieś.

Uduszę ją jeszcze dzisiaj. I nawet się do tego przyznam.

2 lutego, sobota

Pierwszy wspólny weekend, a Kasia ciągle żyje. I to niestety pod naszym dachem. Co gorsza, mam z nią iść na zakupy!

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Bo Bruno mnie o to poprosił, a ja zapomniałam mu powiedzieć, że jego córka jest zezowatym potworem ze skundlonymi włosami i takimż charakterem (na pewno po matce), zarażającym wszystko dookoła dekadencją. Przy niej nawet sztuczne kwiaty więdną.

Może zadzwonić do Brunona i mu to powiedzieć?

– Potrzebuję kurtkę, spodnie, ze dwa swetry, parę dupereli i jakąś torbę – dobiegło mnie z boku.

A ja pistolet. Duży i naładowany.

W sklepie numer jeden Kasia wybrała najohydniejszą kurtkę świata. Brudną, podartą i z futrem ze zmiętego szczura. Najpierw myślałam, że ją ktoś podmienił – zostawił starą, a w nowej uciekł ze sklepu. Ale kurtka miała przypięty klips, który piszczy, jeśli się nie zapłaci, oraz metkę z ceną 560 złotych.

To chyba jakaś pomyłka.

Może 56 złotych?

Chyba że jest to cena za odwszenie i dezynfekcję tego łacha.

– Ohyda – oznajmiłam odważnie.

– Sama jesteś ohyda, a twój sweter to chyba z kolekcji księżnej Diany – prychnęła szczerzo Kasia.

Odruchowo zerknęłam do lustra. Zwykły sweter. Różowy. Włochaty. Sympatyczny. W przeciwieństwie do niektórych.

Zdecydowanie za wcześnie odpuściłam sobie uduszenie córki mojego męża.

3 lutego, niedziela

Czy już nigdy nie spędzimy niedzieli tylko we dwoje?

4 lutego, poniedziałek

Najdroższy mężu. Nie rób mi tego. Błagam, nie rób.

NIE ZABIERAJ KASI Z NAMI NA NASZ ZIMOWY URLOP!!!!!!!!!!!!

9 lutego, sobota

Nie pisałam przez tydzień, bo byłam w szoku. Nadal jestem.

Jedziemy do Austrii, a ja siedzę z tyłu. Kasia wpakowała mnie tam, udając, że ma

chorobę lokomocyjną i „z tyłu samochodu zawsze chce jej się rzygać”.

Mnie się też chce, ale na jej widok. Z przodu, z tyłu, z boku i od góry. Bruno spojrział na mnie prosząco, ja zrobiłam minę „absolutnie wykluczone”, a efekt jest taki, że siedzę wciśnięta między torbę a narty i właśnie obmyślam plan zepchnięcia Kasi ze stoku. W końcu takie rzeczy się zdarzają. Dziewczyna co prawda jeździ (podobno!) lepiej ode mnie, ale wypadki przytrafiają się nawet mistrzom.

Namówię ją na zjazd poza trasę narciarską i wywołam lawinę. Na dyktafon nagram z Animal Planet ryk niedźwiedzia i puszcę na cały głos.

Kijek wbił mi się w udo.

Dlaczego ja wyszłam za Brunona????????

10 lutego, niedziela

Dobrze chociaż, że w hotelu śpię z własnym mężem (choć przechodzonym) w jednym pokoju, a nawet w jednym łóżku. Kasia mieszka tuż obok, ale na szczęście dzieli nas gruba ściana. Mogę w spokoju obmyślić plan. Do starcia na stoku jestem profesjonalnie przygotowana. Przed wyjazdem przeprowadziłam z moją przyjaciółką Kają ze trzydzieści motywujących rozmów, obejrzałam trzy razy film szkoleniowy dla średnio zaawansowanych narciarzy, a w klubie fitness przetestowałam symulator do jazdy na nartach. Niestety nikt mnie nie uprzedził, że Alpy oprócz tego, że są niewątpliwie jednym z piękniejszych miejsc na świecie, to jednocześnie jednym z najbardziej zatłoczonych. Na metrze kwadratowym doliczyłam się pięciu narciarzy. Jak tu zepchnąć Kasię w takim tłumie? Na pewno ktoś mnie zauważy. Poza tym sama nie najlepiej jeżdżę, więc może przez pierwsze dni poćwiczę, a potem coś się wykombinuje.

– Jak ja ich wszystkich wyminę? – Spojrzałam z rozpaczą na Brunona, ale on malował właśnie indiańskie motywy na pryszczatej twarzy swojej obrzydliwej córki. Pomarańczowa kreska na czole, zielone na policzkach i biała plamka na nosie. Przynajmniej trochę zatuszował jej skraterowaną cerę.

Stałam na szczycie góry. Śnieg srebrzył się jak zorza polarna, słońce świeciło prosto w twarz, dookoła wynurzało się kilka precudownie oświetlonych szczytów i każdy aż wstrzymywał dech, kiedy na to patrzył. Z wyjątkiem mnie. Ja bowiem spojrzełam w dół i widziałam tylko stado kolorowych kombinezonów, które poruszały się z zawrotną szybkością. Kasia zerknęła na mnie – jestem przekonana, że pogardliwie – odepchnęła się i pomknęła w dół. Postanowiłam ją naśladować, ale niestety wpadłam w zaspę. I bynajmniej nie dlatego, że jestem beznadziejna. Po prostu jeden z tych kolorowych kombinezonów – noszony przez osobnika w przedziale wiekowym od pięciu do sześciu lat – nie mógł opanować prędkości i akurat mnie podciął.

Dzieci i nastolatki powinny mieć kategoryczny zakaz zjeżdżania w tym samym miejscu co dorośli.

– Nieźle się zaczyna – pomyślałam spanikowana. – Następnym krokiem będzie zgubienie trasy i tragiczna śmierć pod gąsienicami ratraka. Moja śmierć. Nie Kasi. Niestety.

– Pani się boi? – Pięcio-sześcioletni kombinezon okazał się dziewczynką

w warkoczykach, która otrzepała się po upadku i teraz rozciągała usta w szczerbatym uśmiechu.

Kolejny potwór. Dlaczego ludzie tak łatwo się rozmnażają?

– Absolutnie.

– To proszę jechać za mną – poradziła szczerbata.

Odepchnęłam się kijkami i odważnie zjechałam w dół. Dwa pierwsze skręty jakoś mi poszły, przy trzecim lekko się zachwiałam, ale utrzymałam równowagę.

– Brawo. – Szczerbata zaklaskała w puchate rękawiczki.

Dzieci do sześciu lat nie są jednak tak zupełnie beznadziejne. Przynajmniej niektóre ratują honor dziecięcej rasy.

11 lutego, poniedziałek

Mam zakwasy nawet w uszach.

12 lutego, wtorek

Idzie mi dużo lepiej. Pod koniec tygodnia bez problemu uda mi się dogonić Kasię i na zakręcie, który już dokładnie zbadałam, zepchnąć ją w przepaść. Muszę tylko przeciąć scyzorykiem siatkę zabezpieczającą.

15 lutego, piątek

Jestem skazana na cierpienie. Nie wiem, czym zawiniłam i dlaczego to ja za życia ponoszę karę, a osobom, które na to zasługują nie przytrafia się nic.

W środę majstrowałam scyzorykiem przy siatce. Nawet nie udało mi się jej porządnie naciąć, kiedy jakiś kretyn na desce snowboardowej wpadł na mnie z siłą goryla i spowodował wygięcie MOJEGO kolana na drugą stronę. Od paru dni leżę w łóżku z jakimiś szynami na nodze, podczas gdy Kasia bez żadnego zagrożenia zjeżdża sobie na nartach, a Bruno oczywiście z nią, bo niby dlaczego miałby marnować swój urlop?

Misternie skonstruowany plan zawiódł.

Kasia żyje.

Na dodatek zgubiłam scyzoryk Brunona.

16 lutego, sobota

Całą drogę powrotną męczyły mnie czarne myśli. Dlaczego Kasia mi to zrobiła? Dlaczego pojawiła się znienacka w moim życiu i doprowadza mnie do psychicznej ruiny?

A może to ona ma jakiś plan i chce się zemścić? Ale przecież ja poznałam Brunona, kiedy on miał już ostatnie, przedrozwodowe drgawki, od ponad roku mieszkał sam, a do córki dzwonił raz w tygodniu.

Dlaczego tak nie mogło zostać?

Do tej pory Kasię widziałam tylko raz i to na zdjęciu. Z przyjemnością odnotowałam, że jest raczej brzydka, więc pewnie podobna do mamusi. Bo Bruno to zdecydowanie przystojny mężczyzna.

Może więc ta dziewczyna to nie jego córka?

Jest paskudna, niemiła i ma wredny charakter. To chyba niemożliwe, żeby

dziecko przejęło cechy tylko jednego z rodziców?

17 lutego, niedziela

Kiedy patrzyłam na Kasię, doszłam do ciekawych wniosków. Otóż córka Brunona to typowy przykład przepoczwarczenia w drugą stronę. Z motylka powstała gąsienica. Początkowo była maleńką, niewinną istotką, spowijaną w różowe śpioszki i czapeczki, słodko gruchającą i uderzającą się grzechotką w główkę. Rodzice wydawali fortunę na sukieneczki, budyniowe stroje, chusteczki w kwiatuszki i cukierkowe rajstopki. Potem doszedł arsenał misiów, lalek, klocków i przytulanek. I nagle ta mała dziewczynka, której uśmiech rozbrajał wszystkich dookoła i której z namaszczeniem zaplatano warkoczyki i prasowano bluzeczki w roześmiane biedronki, uświadomiła sobie, że jej słodka buźka nie służy wyłącznie do przyjmowania smakołyków, ale również do darcia się, pyskowania, pogardliwego prychnania i ostentacyjnego wydymania warg w celu okazania wyższości. Jeszcze do niedawna jej alabastrowa cera pokryła się wągrami i pryszczami, rozdrapanymi najczęściej do żywego mięsa, puszyste włosy przemieniły się w tłuste strąki, a pachnące talkiem ciało zaczęło cuchnąć.

Właśnie taką metamorfozę przeszła Kasia. Chyba że od urodzenia była ośmiornicą...

Kolano mnie boli.

18 lutego, poniedziałek

Przeczytałam kiedyś, że pewien Japończyk dla żartu wymyślił kotki bonsai. Zaraz po urodzeniu wkłada się żywego kotka do słoika i... po kłopotcie. Kotek nie drapie, nie miauczy, nie domaga się pieśczoł i w ogóle jest mało wymagający. To był naturalnie dowcip, ale jakże przemawiający do wyobraźni.

Niektóre dzieci też powinny siedzieć w słoikach. Przez większość swojego życia.

19 lutego, wtorek

Przyjechała matka Brunona. Sześćdziesięciosiedmioletnia kobieta z fantastycznie spaloną trwałą i szponami długości harcerskiej finki. Ma na imię Róża.

Niestety, w sprawie Kasi nie znajduję z nią wspólnego języka, ponieważ Róża uważa, że jej wnuczka to ósmy cud świata. Podobno Kasia jest zdolna, przepięknie rysuje, a w dzieciństwie grała na pianinie niczym mały Chopin. Co więcej – jest zabawna i dowcipna.

Czy ona mówi o kostropatej dziewczynie, która mieszka z nami od niedawna? Może Bruno ma dwie córki?

20 lutego, środa

Róża zostanie u nas tydzień.

Chciała dłużej, ale niestety ma wizyty u lekarzy.

Ja też żałuję...

Jestem przekonana, że Kasia ma babcię gdzieś, choć dwie stowy na nowe buty wzięła bez mrugnięcia okiem. Babcia zakochana i szczęśliwa, Kasia śmieje się z nas wszystkich, Bruno zapracowany, a ja chyba ich wszystkich otruję.

Czy gdybym podała grzyby i wśród nich znalazł się jeden maleńki, trujący muchomorek, to uznano by mnie za morderczynię? Czy może prasa napisałaby tylko o nieszczęśliwym wypadku lub „kolejnych ofiarach grzybobrania”? Sprawdziłam w atlasie grzybów. Sromotnik mocno przypomina czubajkę kanię...

Zdjęli mi dzisiaj szynę z nogi. Moje kolano jest brunatnosine. Próbowала zamalować je fluidem, ale to niewiele pomogło.

21 lutego, czwartek

Róża z Kasią na zakupach. Babcia uszczęśliwiona, że spędzi pół dnia sam na sam z wnuczką. A nastolatka pewnie obmyśla perfidną mapę sklepów, w których wypruje Różę do podszewki w portfelu. Ja gotuję obiad, Bruno coś tam czyta.

Wzorcową rodziną z powieści Musierowicz.

Czy nie pora uświadomić wszystkim babciom świata, że nie zawsze trzeba kochać własne wnuki???

22 lutego, piątek

Mogę chyba śmiało stwierdzić, że jestem nieszczęśliwa. Na dodatek ciągle boli mnie kolano i przypomina o nieudanym zamachu na życie pasierbicy.

Pasierbica. Ładny wyraz swoją drogą.

23 lutego, sobota

Muszę teraz potajemnie oglądać seriale. Gdyby Kasia zobaczyła, że studiuję je z prawdziwym zaangażowaniem, to miałaby powód do radości i szyderstw, które trwałyby przynajmniej do Gwiazdki. Tymczasem ja oglądam seriale wyłącznie z przyczyn socjologicznych, choć nikt mi w to nie wierzy. Fascynuje mnie nagromadzenie w jednym odcinku kretynizmów, nieścisłości i absurdów. Głównego bohatera spotyka dziennie tyle przygód, że Indiana Jones to przy nim oferma, który stał się sławny tylko dlatego, że raz w życiu oblażył go pająki.

W dobrym serialu, kiedy ktoś umiera, to nigdy na pewno. Jeśli jednak zostanie to kilkakrotnie potwierdzone, partner nieboszczyka przez około pół odcinka zalewa się łzami. Trzy odcinki później ma romans, a w kolejnym bierze ślub. Główni bohaterowie przynajmniej kilka razy umierają na raka, giną w pożarach, roztrzaskują się w samolotach albo rozrywa ich bomba. Oczywiście na końcu okazuje się, że są tylko odrobinę osmoleni i mają podarty kawałek bluzki, spod której wystaje ramiączko efektownej bielizny lub, w przypadku mężczyzn, modnie przystrzyżony tors.

24 lutego, niedziela

Przy śniadaniu Bruno spytał, co robimy z niedzielą.

– Chodźmy do ZOO, jak szczęśliwa rodzina – zaproponowałam, smarując sobie grzankę miodem.

Kasia parsknęła, Róża zerknęła na mnie z politowaniem, a Bruno ze zdziwieniem.

– Albo pośpiewajmy razem. – Pograżałam się coraz bardziej.

Spojrzenie Róży w stronę Brunona mogło oznaczać tylko jedno: współczucie matki, której jednak po raz kolejny wdepnął w życiowe gówno.

Mam teraz dwóch wrogów: dorastającą Kasię i podstarzałą Różę. Jedna warta drugiej. Nawet podobne jakieś. Krzywe nosy, wredne spojrzenia i nieuzasadniona niechęć wobec mojej osoby. Wysłałam ich wszystkich do kina, a sama zostałam w domu, tłumacząc się bólem nogi. Nie powiem, żeby jakoś przesadnie mi współczuli i żalowali, że idą sami.

Muszę popracować nad planem ostatecznego usunięcia Kasi z naszego życia. Tak, aby zniknęła raz na zawsze.

25 lutego, poniedziałek

Może ją wysłać do klasztoru?

Nie, nie zechce.

Tybet? Żeby pomedytowała wśród mnichów?

Nie stać mnie.

26 lutego, wtorek

Już nie mam żadnych wątpliwości, że małe dzieci wcale nie są lepsze od większych. Dzisiaj przyszła Matylda i przyprowadziła ze sobą trzyletniego Mateusza w stroju Spidermana. Matylda jeszcze kilka lat temu była przebojową i pełną życia studentką politologii, zawsze doskonale ubraną i zarzekającą się, że dziecko w jej życiu niewiele zmieni. Trzylatek był pająkowato-wrzeszczącym zaprzeczeniem tych słów. Po pierwsze, Matylda wyglądała okropnie: worki pod oczami, przesuszone włosy i podrapane ręce. Do tego nieustająco ziewała. Mateusz tymczasem wchodził jej na głowę. Był w końcu Spidermanem. Czy Matylda strzepnęła insekta na ziemię? Bynajmniej. Zaszczebiotała, zapiszczała i wycalowała go we wszystkie części ciała. To znaczy we wszystkie nie zdążyła, bo Mateusz wyrwał się jej najwyraźniej oburzony nadmiarem pieścizot.

Dobrze przynajmniej, że Matylda nie wspomina już o kupie swojego syna, bo jeszcze dwa lata temu rozplątywała się nad żółtymi bobkami, które wydalalo jej genialne dziecko.

– Ciocia, bawimy się? – Spiderman wlażł mi na kolana i zaczął wdrapywać się wyżej, używając do tego moich piersi. Lewą zgniótł, a prawą podrapał.

Czy wypada zamknąć w lodówce syna koleżanki?

27 lutego, środa

Psychologia jest zdecydowanie przereklamowana. Wszystkich zmylił erotyczny głos Eichelbergera oraz osławione złote myśli Santorskiego. Mój psycholog, doktor Tomasz Rybka, którego znalazłam w książce telefonicznej, okazał się niekompetentnym osłem, wbitym w obcisły sweterek buraczanego koloru. Zamiast udzielić mi konkretnych porad, jak pozbyć się Kasi lub ewentualnie zmienić jej beznadziejny charakter i wypaczoną osobowość, próbował namówić mnie na „autorefleksję”.

Miałam zastanowić się nad sobą.

– Ale tu nie chodzi o mnie, tylko o córkę mojego męża, która pojawiła się tylko po to, by zniszczyć moje życie. – Wyjaśniłam mu jeszcze raz, bo najwyraźniej nie zrozumiał.

– A może to w tobie tkwi problem? – Zamruczał niby kojąco, ale tak naprawdę tylko wyprowadził mnie z równowagi.

We mnie tkwi problem? We mnie???

Czy on jest w znowie z tym przyszczatym potworem, owocem nieudanego małżeństwa Brunona? Czy on nie rozumie, że psycholog jest po to, żeby pomóc pacjentowi, a nie go dobijać?

Lekarze dusz! Śmieszne!!!

Opuściłam jego przesiąknięty psychologią gabinet z odrażającym dywanem w romby i postanowiłam nie korzystać z pomocy tak zwanych specjalistów, przynajmniej do czasu, kiedy nie zaczną być kompetentni.

Ciekawe, co by powiedział Eichelberger. Może cofnąłby im licencję?

28 lutego, czwartek

Dlaczego prezydent nie wprowadzi ustawy zakazującej pasierbom/pasierbicom życia pod jednym dachem z drugim mężem/żoną matki/ojca? Dlaczego zamiast ciągle zajmować się lekarzami, nauczycielami, podatkami, spiskami oraz zбочonym klerem, nie pomyśli dla odmiany o... macochach/ojczymach?

1 marca, piątek

Postanowiłam całkowicie poświęcić się pracy. Kolano powoli się goi, więc nic nie stoi na przeszkodzie, by wreszcie wyrwać się z tego piekielnego domu. Od czasu, kiedy pojawiła się w nim Kasia, zupełnie zaniedbałam swoją kawiarenkę internetową, którą od dwóch lat prowadzę z Elizą, zagorzałą fanką Internetu, komputera i wszystkiego z dopiskiem high-tech. Oczywiście wolałabym być znaną malarką i godzinami zamykać się w atelier, gdzie przelewałabym własne wizje na płótno, ale... niestety nie zostałam artystką, zresztą przy Kasi i tak straciłabym natchnienie.

W naszej kawiarence niespecjalnie jest co robić. Otwieramy o dziesiątej, zamykamy o północy, a właściwie Eliza zamyka, bo ona uwielbia siedzieć nocami i flirtować przez Internet. Kawiarenka jest dość obskurna, a naszą kawę jedna z lokalnych gazet uznała za pomyję i przyznała jej tytuł „lury Wielkopolski”. Co prawda przychodzi tu się w innym celu niż picie kawy, ale od czasu artykułu na wszelki wypadek już jej nie podajemy. Jest tylko woda. A dla lokalnych dziennikarzy, których na kilometr można rozpoznać po niechlujnym wyglądzie i wzroku wszystkowiedzącego geniusza, woda z kranu. Oni i tak się nie poznają, nawet gdyby im zaserwować Perriera.

Jedyny pożytek to dochód, jaki przynosi kawiarenka – marny co prawda, ale starcza na moje skromne potrzeby. Eliza zaś fascynuje się internetowymi dowcipami, które od czasu do czasu mi podrzuca. Niestety od miesiąca niewiele mnie śmieszy.

4 marca, poniedziałek

Siedzę od rana w pracy, a ponieważ ruch jest niewielki, to z nudów czytam ogłoszenia parafialne, które ktoś zamieścił w sieci.

1. Cała wspólnota dziękuje chórowi młodzieżowemu, który na okres wakacji

zaprzeszał działalności.

2. Za tydzień Wielkanoc. Bardzo proszę wszystkie panie składać jajka w przedsionku.

3. W każdą środę spotykają się młode mamy. Na panie, które pragną do nich dołączyć, czekamy w zakrystii w czwartki wieczorem.

4. Po południu, w północnym i południowym skrzydle naszego kościoła odbywać się będą chrzty. Dzieci będą chrzczone z obu stron.

5. W czwartek o 16.00 wspólne lody. Panie dające mleko prosimy przyjść wcześniej.

6. W podziemiu panie zrzuciły wszelkiego rodzaju ubrania. Można je oglądać w każdy piątek po południu.

5 marca, wtorek

Ciekawe, czy Kasia była ochrzczona z jednej czy z dwóch stron? A może w ogóle i teraz wychodzi z niej diabeł? Twarz już ma piekielną. Charakter zresztą też.

6 marca, środa

W zasadzie, to mogłabym mieć atelier, gdyby nie Kasia. Atelier do... na przykład... prasowania. Niestety, jedyny wolny pokój w naszym domku został zajęty i zapewne przerobiony na bezgustowne pomieszczenie potwora.

Nie zaglądałam tam jeszcze, ale jestem przekonana, że wystrój jest depresyjno-przygnębiająco-dekadentki, czyli pełen zarazy.

Nie jestem uprzedzona. Po prostu mam przeczucie.

7 marca, czwartek

Mam iść na wywiadówkę! To chyba jakiś horror. Bruno wyjechał służbowo, i kiedy był czterdzieści km od domu, zadzwonił i cichym głosem poinformował mnie, że jest zebranie w szkole, i że chyba byłoby dobrze pójść. Zwłaszcza, że Kasia jest nową uczennicą i lepiej się nie narażać.

Spytałam, od kiedy wiedział o wywiadówce.

Powiedział, że od kilku dni.

Tylko jakoś mu wyleciało z głowy.

Wieczorem

Wychowawczynie Kasi, chemiczka, przypomina Mysz wiecznie poszukującą sera. Jej nos marszczy się kilkadziesiąt razy na minutę, a z ust wystają dwa kremowe ząbki oraz końcówka języka, którą Mysz oblizuje wargi pokryte zwarzoną pomadką. Jest niska, ma włosy o niezidentyfikowanym kolorze i piskliwy głos.

– Katarzyna to typowa zbuntowana nastolatka. Ignoruje wszystkie szkolne przepisy – oznajmiła Mysz.

No, tego akurat mogłam się spodziewać.

Mysz piszczała dalej.

– Nie interesują jej oceny, na moich lekcjach ostentacyjnie ziewa i buntuje klasę, żeby ta nie chodziła na religię, bo ksiądz rzekomo dłubie w nosie.

Fuj. Też nie miałabym ochoty oglądać przedstawiciela świątyni Bożej grzebiącego

w nochału i toczącego zielone kulki.

Mysz była w swoim żywiole.

– A poza tym, jest niechlujnie ubrana, a pani od wuefu poinformowała mnie, że Katarzyna odmawia ćwiczeń na drążku.

Oznajmiłam Myszy, że wszystkim się zajmę, że Kasia ciężko przeżywa ostatnie wydarzenia rodzinne oraz zmianę miejsca zamieszkania i szkoły, i w jej imieniu obiecałam poprawę. Opuściłam szkołę z poczuciem ulgi.

Odrażający babsztyl.

8 marca, piątek

Z okazji Dnia Kobiet zrobiłam Kasi wykład na temat poważnego traktowania szkoły, ale zostałam zlekceważona. Nastolatka poinformowała mnie tylko, że ma gdzieś swoją wychowawczynię (w zasadzie wcale się nie dziwię), księdza nie cierpi (rozumiem), a na drążku już raz obiała sobie nerki i w związku z tym nie będzie się więcej bawić w „pieprzoną akrobatkę”.

Moich argumentów nie zdążyłam przedstawić, bo Kasia wyszła z kuchni i zdaje się, trzasnęła drzwiami.

Muszę popracować nad autorytetem macochy. W końcu jestem od niej o połowę starsza.

Bruno zadzwonił z życzeniami dla „swoich ukochanych dwóch kobiet”.

Fuj.

9 marca, sobota

Kasia poszła do kina. Zdecydowanie za krótkie te seanse.

10 marca, niedziela

Mój horoskop: „Pojawi się pomysł, aby odwrócić się na pięcie i powędrować w całkiem innym kierunku...”. Już się pojawił. Z drugiej strony, w tym samym magazynie przeczytałam pouczający materiał o „stawianiu czoła przeciwnościom losu”. Posłuchać autorki czy wróżki?

11 marca, poniedziałek

Może powinnam otwierać kawiarenkę o siódmej rano? Uniknęłabym w ten sposób wspólnych śniadań, podczas których chleb staje mi w gardle. Kasia jest jak rosyjska ruletka. Nigdy nie wiadomo, w jakim nastroju wstanie, jakich obraźliwych słów użyje, jakim spojrzeniem mnie obrzuci, co skrytykuje i jak zepsuje dzień, który dla mnie zaczyna się o siódmej rano.

I tylko nie rozumiem, dlaczego Bruno tego nie widzi.

Może dlatego, że jest weterynarzem? Że jest cierpliwy i wyrozumiały? Że ma całą listę zakochanych w nim starszych pań, którym leczy koty, psy, papużki, chomiki, a nawet jeże? Zwierzęta też go uwielbiają. Nawet te wredne. Może dlatego tak dobrze dogaduje się z Kasią?

12 marca, wtorek

Kasia przyprowadziła dzisiaj kolegę z klasy. Wygląda jakby solarium go

przytrzasnęło i przez tydzień nie chciało wypuścić. Gdzie on się tak spiekł?

13 marca, środa

Dominik znowu przyszedł. Podobno na feriach zimowych był w Kenii, za to latem jedzie na Syberię.

Wywrotowiec jakiś.

Podśledzałam, jak Kasia wyjaśnia ojcu, że Dominik jest artystą i pisze własne sztuki.

Ha! Ha!

Kolejny geniusz o spieczonej gębie, z plikiem zdjęć lwów, żyraf i małp w środku zimy.

Też bym chciała pojechać do Kenii.

14 marca, czwartek

Niektórzy faceci, jacy przychodzą do kawiarenki, to żywa reklama onanistów. W życiu nie widziałam takich wypieków na twarzy, spłyconego oddechu i nerwowych ruchów rękami (położonymi jednak na klawiaturze) podczas bezpośredniego kontaktu z monitorem.

Mam nawet swojego ulubieńca. Obserwuję go od paru miesięcy i zauważam niekończący się orgazm. Podejrzewam, że to maniak krwawych gier, w których latają wnętrzności, tryska krew i wypływa mózg.

Psychopata!

Może ćwiczy, jak zastrzelić zniechęconych nauczycieli, wrogów jego rodziny, ekologów i innych osób, które mu się naraziły?

Może mu Kasię podsunąć...

16 marca, sobota

Dominik rzeczywiście jest artystą. Co gorsza, jest święcie przekonany o swoim talencie i dlatego bez skrępowań zaprosił mnie i Brunona na premierę swojej sztuki pod tytułem *Śmierć motyli*.

Kasia trochę oponowała, ale w końcu łaskawie pozwoliła wejść do swojego pokoju. O dziwo, wyglądał całkiem normalnie, więc mam prawo podejrzewać, że go wysprzątała przed naszym najściem w roli widzów.

Nawet kwiaty ma w wazonie.

Pewnie coś knuje.

17 marca, niedziela

Nadal jestem pod wrażeniem sztuki *Śmierć motyli*. Uważam, że zarówno córka Brunona, jak i jej nowy przyjaciel potrzebują natychmiastowego wsparcia psychiatry!

Dominik przywitał nas owinięty folią (dokładnie takiej używam do owijania wędlin i serów), a z głębi pomieszczenia sączyła się jakaś dziwna muzyka.

– Sefardyjska – wyjaśnił.

Nagle zaczął wyginać się w tył i w przód.

– Jestem kokonem – zajęczał przeciągle.

„O Boże” – pomyślałam.

– Kokonem nieuleczalnie chorego motyla.

„Straszne”.

– Mam przygotowaną pelerynę, tobołek z nektarem i flet. Ale wiem, że jestem nieuleczalnie chory.

– Czy mogę ci jakoś pomóc? – spytała nagle Kasia. Zdaje się, że też brała udział w tym przedstawieniu.

– Bądź mą motylicą – zajęczał Dominik.

– Czy też jestem chora? – spytała Kasia ciasno owijając sobie folię dookoła biustu. Bruno jęknął.

– Nie, najdroższa. Ty jesteś zdrowa, ale jednocześnie jesteś moją żoną – stwierdził Dominik. – I wahasz się, czy wybrać kolorowe życie motyla, życie nektarem płynące, czy śmierć ze swoim mężem.

– Wybieram śmierć – powiedziała Kasia.

„Brawo”.

Niestety, scenariusz nie przewidywał śmierci motylicy. Kasia miała kiwać się na boki (symbol chęci wyrwania się z kokonu), a za chwilę martwo zastygać (walka z uczuciem do umierającego męża). Sam Dominik rzucił się na podłogę i w drgawkach wił się niczym zmija. Próbował doczołgać się do peleryny i tobołka, wyciągał w rozpacz ręce, ale wtedy zadaniem Kasi było odsuwanie tobołka coraz dalej i dalej. Po piętnastu minutach wyglądała na zmęczoną. Wtedy jednak nastąpiła zmiana koncepcji.

– Wyzwalam się z kokonu – oznajmił Dominik.

– Przecież jesteś nieuleczalnie chory, umrzesz.

– Ale chcę chociaż przez chwilę spojrzeć na słońce. Chcę umyć skrzydełka w porannej rosie. Chcę zagrać na fleciku.

– To ja też się wyzwalam, a potem popełnię motyle samobójstwo.

– Nie.

– Nie? Przecież skoro jestem zdrowa, a ty zdecydowałeś się wyzwolić, to ja chyba też mogę. – Kasia trzeźwo myślała.

– Nie. Ty nie zdążysz. Udusisz się w kokonie i w ten sposób poświęcisz swoje życie – szepnął Dominik, trochę zdenerwowany, że Kasia dyskutuje podczas sztuki. – A mnie zabije świadomość, że to ja jestem tego przyczyną.

„Bez sensu. I tak jesteś chory, motylu. Na mózg”.

Tak jednak zrobili. Dominik wyrwał się z foliowych pętów, narzucił pelerynę, zagrał na fleciku i zaczął szamotać się po pokoju. Rozrzucał ubrania, malował po ścianach, krzyczał coś bez ładu i składu i nagle zamarł w teatralnym geście. A potem osunął się na ziemię i w okrutnych drgawkach skonał.

Oczywiście wcześniej była jeszcze rola Kasi. Ona z kolei wiła się na podłodze, rzewnie łkała i nagle zeszywniała.

Koniec.

Motyle nie żyją.

Bruno poszedł napić się wody, a ja wygryzłam skórkę przy paznokciu środkowego palca.

Moim zdaniem przedstawienie było... debilne.

20 marca, wtorek

Moje prośby zostały wysłuchane. Po tylu tygodniach mąk i modlitw nareszcie będę mieć święty spokój.

Tylko na początek trzeba załatwić drobne formalności. Bruno jest na jakimś sympozjum poświęconym gadom, a ja pilnuję domu.

A Kasia?

KASIA ZOSTAŁA ARESZTOWANA!!!

Do więzienia na razie nie pójdzie, bo jest nieletnia, ale istnieje duża szansa na poprawczak.

Nastolatka bowiem pobiła nauczycielkę. I to nie była jakąś, ale własną wychowawczynią, Piszczącą Mysz.

Idę zaraz do szkoły. Ba, biegnę niczym gazela!

Wieczorem

Mysz zdecydowanie za mało oberwała. Najpierw naskoczyła na mnie, że Kasia to „diabelskie nasienie” i „pieprzona gówniara”, która ma niepokładane we łbie. Następnie poddała w wątpliwość nasze umiejętności wychowawcze.

Uważam, że za dużo sobie pozwala. W końcu jest pedagogiem, i chociaż ma podbite oko i rozerwaną bluzkę, nie powinna używać takich słów. Z trudem oderwałam wzrok od poszarpanej wierzchniej odzieży ciała pedagogicznego i spokojnie spytałam, co dziewczyna zrobiła.

– Kasia mnie pobiła – wycedziła Mysz, marszcząc swój przebrzydły nos.

No, to akurat widać.

– Ale dlaczego?

– A o to, to już proszę spytać swoją pasierbicę! – wrzasnęła Mysz i pognęła w stronę ubikacji.

Poszłam więc do Kasi, którą na razie zamknięto w pokoju nauczycielskim. Wyglądała blado, ale na mój widok trochę się ożywiła. Chyba że mi się zdawało.

– Ta kretynka jest antysemitką – odpowiedziała na moje nieme pytanie.

21 marca, czwartek

Bruno zrezygnował z gadów i przyjechał w nocy, aby ratować swoje poprawne politycznie dziecko. Otóż okazało się, że Kasia stanęła w obronie niejakiej Zuzanny, której rodzice są Żydami, i która to w związku z tym miała problemy z Myszą. Regularnie dostawała od niej jedyńki ze sprawdzianów, które w zadziwiający sposób ginęły, uniemożliwiając tym samym konfrontację i była odpytywana z programu pozaksiążkowego.

Kiedy wczoraj Mysz po raz kolejny zaczęła molestować chemicznie Zuzannę, ta najzwyczajniej w świecie zemdląca, najprawdopodobniej ze stresu i z nerwów. Mysz trzepnęła ją lekko w twarz (w celu ocucenia – jak twierdziła) i dodała: „Wstawaj, żydowskie nasienie”. Wtedy do akcji wkroczyła Kasia, która po prostu podeszła, szarpnęła Mysz za baloniki i wystosowała pięścią cios prosto w oko wymalowane na niebiesko.

22 marca, piątek

Uważam, że Kasia miała rację. Naturalnie, nie powiem jej tego.

W poniedziałek sąd szkolny zadecyduje, co zrobić z agresorem–Kasią i ofiarą–Myszą.

23 marca, sobota

Bruno zachorował. To na pewno przez tę antysemitkę akcję. Ma ponad trzydzieści siedem stopni gorączki, słaby kaszel i katar, ale jest prawdziwie nieszczęśliwy. Zastanawiam się, dlaczego kobieta dopiero w ostateczności nie idzie do pracy (wygięte na drugą stronę kolano) i kładzie się do łóżka, a facetowi z podwyższoną temperaturą należy szykować trumnę. No nic, trzeba mu przygotować mleko z czosnkiem i miodem. Pośmierdzi trochę, ale na pewno wyzdrowieje.

– Skarbie... – wyszeptał ledwo Bruno.

– Tak? – Przysiadłam na skraju łóżka i pogłaskałam go po tej chorej główce.

– Popraw mi poduszki.

Kobieca intuicja podpowiedziała mi, że wystarczy je poklepać i trochę przesunąć.

Poklepałam. Przesunęłam. A Bruno podziękował mi słabym kiwnięciem głowy.

Pięć minut później poprosił o szklankę herbaty, potem uznał, że ma ochotę na mandarynkę i grejpfruta, ale dokładnie obranego z białej błonki.

– Idę ci ugotować zupkę – oznajmiłam.

– Jaką? – zainteresował się Bruno.

– Pomidorową z kluseczkami. Pyszną.

Bruno poprosił o ogórkową.

Po południu zadzwoniłam do Kai:

– Bruno ma trzydzieści siedem z kreskami i umiera.

– Trzydzieści siedem u faceta to poważna sprawa.

– Serio?

– Oczywiście. Jak mój tata w zeszłym roku złamał rękę, to poprosił o katalog z urnami.

– Czyli nie przejmować się?

– W ogóle. Chyba że zaczniesz dyszeć, zrobi się siny na twarzy, a z ust polecą mu piana. To oznacza, że jest poważnie chory.

– Na wściekliznę.

Wieczorem Bruno poczuł się zdecydowanie lepiej i poszedł na górę do Kasi, a ja ze smakiem obejrzałam sobie kolejny odcinek sympatycznego serialu. Sytuacja wyglądała bardzo ciekawie. Żona i kochanka spotkały się podczas pewnego wernisażu i nawet wspólnie piły szampana, uśmiechając się do siebie zupełnie szczerze i naturalnie. Ale potem okazało się, że żona to żona i wtedy kochanka przestała się uśmiechać. Tak było trzy odcinki temu, ale w zasadzie od tego czasu niewiele się zmieniło. Kochanka nadal się nie uśmiechała, a żona wręcz przeciwnie, bo jeszcze o niczym nie miała pojęcia. Ale za chwilę się dowie, bo kochanka już, już otwiera usta. Za około siedem odcinków najprawdopodobniej otworzy je ostatecznie i wygarnie całą prawdę.

Genialne.

Ciekawe, czy Kasia boi się decyzji szkolnego sądu.

24 marca, niedziela

Kasia przeczytała nam przy śniadaniu wiersz jakiegoś polskiego artysty:

„Chwycił za siekierę.
To było w niedzielę.
Porąbał jej ciało.
Nic z niej nie zostało.
Tylko plama mokra.
On wyskoczył z okna”.

To tyle.

Bruno gwałtownie wyzdrowiał.

25 marca, poniedziałek

Nie poszłam dzisiaj do szkoły, bo Bruno wziął urlop, zażył aspirynę, i pojechał tam z Kasią. Zapewne, by podtrzymywać ją na duchu i w razie czego obronić przed rozwścieczoną Myszą. Siedzę w kawiarence i czytam najnowsze definicje nie najnowszych wyrazów:

Bankier – ktoś, kto pożyczy ci swój parasol podczas pięknej pogody, natomiast kiedy zaczyna padać, natychmiast go odbierze.

Harcerz – dziecko ubrane jak kretyn, pod przywództwem kretyna ubranego jak dziecko.

Konsultant – ktoś, kto weźmie zegarek od twojej żony, powie ci która godzina, po czym każe zapłacić za informację.

Dyplomata – ktoś, kto potrafi powiedzieć „spier...” w taki sposób, że poczujesz podniecenie w związku ze zbliżającą się wyprawą.

Informatyk – ktoś, kto naprawi problem, o którym nie wiedziałeś, w sposób, którego nie rozumiesz.

Nanosekunda – odcinek czasu, jaki upływa pomiędzy zapaleniem się zielonego światła a trąbieniem klaksonu faceta za tobą.

O, to ostatnie często mi się zdarza...

Ciekawe, czy sąd wyśle do poprawczaka czternastoletnie dziecko z jednorazowym incydem na sumieniu? Z drugiej strony, Kasia nie ma chyba zbyt wielu zwolenników w szkole – ksiądz będzie przeciwko niej, wuefistka raczej też...

Osobiście uważam, że to Mysz powinno się zamknąć. W izolatce z tuzinem obrzezanych Żydów, którzy łaskotaliby ją bokobrodami po obwisłych piersiach, a do ucha szeptali: „Salome...”. To moja nowa definicja zemsty.

Wieczorem

Dzwonił Bruno. Kasia nie pójdzie siedzieć.

Dostała upomnienie i nakaz publicznego przeproszenia Myszy za swój karygodny

występek. Mają jej też obniżyć ocenę z zachowania.

Ciekawe, na jaką.

Obawiam się, że Kasia pewnie wolałaby przesiedzieć miesiąc w poprawczaku niż publicznie przeproszać tę idiotkę.

27 marca, środa

Mój mąż, ratownik wielu psich żyć i niemalże Bóg w oczach właścicielek wszelkich stworzeń, popełnił dzisiaj poważne *faux pas*. Mianowicie poinformował panią Andżelę, że jej suka zdechła z „zaturczenia”.

A zaturczyła ją sama właścicielka, wpychając swojej czarnej Lili czekoladowe batoniki, chipsy, a nawet misie Haribo, których pani Andżela była zagorzałą fanką. Niestety, żołądek Lili sprzeciwił się gumowym żelkom i przestał pracować. To z kolei wywołało protest innych psich narządów, wskutek czego suka pani Andżeli we wtorek o dziewiątej wieczorem wydała ostatnie tchnienie. Podły Bruno ośmielił się podać prawdziwą przyczynę zgonu, wobec czego pani Andżela obiecała mu zemstę.

– Proszę oczekiwać najgorszego. Na początek wystosuję petycję, w której ostrzeżę inne właścicielki psów przed panem, panie doktorze. Niestety okazał się pan pozbawionym uczuć sukinsynem, niegodnym leczenia naszych zwierząt – wrzasnęła pani Andżela i opuściła klinikę.

Bruno wygląda na zdruzgotanego tą opinią.

Lili została skremowana – podobno dym pachniał czekoladą.

28 marca, czwartek

Konrad, serdeczny przyjaciel Brunona i kolega z kliniki, również okazał się „pozbawionym uczuć sukinsynem”. Kara dopadła go jednak natychmiast. Konrad zadzwonił dzisiaj do pracy i poinformował, że złamał duży palec u nogi, w związku z czym bierze parę dni urlopu. W tajemnicy wyznał Brunowi, że usiłował kopnąć w zad własnego kotka, który na nowym portfelu wydrapał mu pazurami magiczne znaki. Kotek okazał się jednak niezwykle zwinny i w porę zwiął, a Konrad trafił nogą w ścianę.

Mamy o tym nikomu nie mówić.

29 marca, piątek

Kasia dostała kolejne upomnienie ze szkoły. Podczas oficjalnych przeprosin Myszki w pokoju nauczycielskim (całe szczęście, że nie na oczach całej szkoły!) oznajmiła, że „przeprosza, bo jej kazano, osobiście jednak uważa, że postąpiła słusznie. Antysemityzm to zaraza” – zakończyła brawurowo, po czym cmoknęła Myszki w rękę i szepnęła teatralnie: „Wybacz jednakże”.

Skandal.

Uznano, że uczennica po raz kolejny zadrwiła sobie z ciała pedagogicznego.

Swoją drogą chciałabym zobaczyć ich miny.

Ha! Ha!

30 marca, sobota

Przygotowanie święconki wspólnie z Kasią było tym, czym wrzucenie piranii do akwariium pełnego złotych rybek. Minimalne szanse na wzajemne porozumienie.

Dziewczyna najpierw oznajmiła, że pisanki malowane w baranki i kurczaczki to przejaw „zacofania i ulegania modzie na banał”. W związku z tym spytałam uprzejmie, jakie jajka proponuje.

Dowiedziałam się na pięć minut przed wyjściem do kościoła. Pisanki Kasi miały wydźwięk polityczny i nawiązywały do żydowskiej historii sprzed paru dni. Na jednej widniała flaga Izraela, a na drugiej – o zgrozo – Pan Jezus, wiszący (co prawda tradycyjnie) na krzyżu, ale z uśmiechem na twarzy oraz z dorysowaną w okolicach ust chmurką z napisem: „Ja też jestem Żydem”.

Wszelka dyskusja z nastolatką była pozbawiona sensu.

Nawet Brunona przytknęło.

31 marca, niedziela, Wielkanoc

Przed śniadaniem dopadły mnie czarne myśli. Mamy Wielkanoc, a Kasia wciąż żyje. Nie siedzi w poprawczaku, tylko nadal mieszka z nami i ani słowem nie wspomina o powrocie do matki.

Co robię źle?

Jajko z wizerunkiem Jezusa stanęło mi w gardle. Dobrze, że nie ma Róży, bo pewnie karetka na sygnale odwiozłaby ją do szpitala. Na szczęście przysłała pasztet i schab pieczony, co trochę podratowało nasz świąteczny stół, bo oprócz jajek niewiele udało mi się w tym roku kupić. Do piątku odwalałam za Elizę nocne pilnowanie kawiarenki, bo ona akurat przed świętami odkryła rozkosze seksu z jednym z naszych klientów.

Tym psychopata od krwawych gier.

Co gorsza, facet okazał się nie tyle pasjonatem strzelania i mordowania wirtualnych wrogów, ile zagorzałym miłośnikiem... lalki Barbie! Znalazł w Internecie jej prywatne strony i od tego czasu komponował lali tort na urodziny, zapraszał przyjaciół, kompletował szafę, a wieczorem układał do snu.

Teraz robi to samo z Elizą, bo odkrył w niej rzekomo podobieństwo do Barbie.

Znam Elizę od lat i wiem, że jedynym podobieństwem między nią a cycatą lalą jest płeć.

1 kwietnia, poniedziałek

Dzień zaczął się cudownie. Kasia chyba zapomniała, że należy nas oblać, w związku z czym Bruno ochlapał ją pierwszy i mieliśmy spokój z tradycją. Przy śniadaniu nie było już jajka z podobizną Jezusa, bo zjedliśmy je wczoraj, za to Kasia oznajmiła:

„WRACAM DO DOMU”.

To były najpiękniejsze słowa od czasu przysięgi małżeńskiej.

Chwilę później usłyszałam najgorsze:

„Prima Aprilis!”.

Dzieciobójstwo nie powinno być tak surowo karane.

2 kwietnia, wtorek

Nie dziwię się, że psychologia źle stoi. Dzisiaj w supermarkecie spotkałam doktora Rybkę, który pół godziny medytował, jaki wybrać jogurt. Stał niepewnie przed chłodnią, w jednej ręce trzymał czereśniowy, w drugiej wiśniowy z kawałkami czekolady. Najpierw włożył oba do koszyka, później wyjął ten z czekoladą. Postąpił chwilę i w końcu odłożył czereśniowy i wziął wiśniowy. Odjechał kawałek i znowu się cofnął.

Jeżeli psycholog nie potrafi zdecydować o wyborze jogurtu, to jak może udzielać życiowych porad?

Przy kasie doktor Rybka wyjął z koszyka jogurt gruszkowy. Po jego minie widziałam jednak, że nie jest pewien, czy dobrze zrobił.

3 kwietnia, środa

Bruno znalazł dzisiaj za wycieraczką samochodu jaskrawożółtą ulotkę:

Miłośnicy zwierząt!

Znieczulica dotarła do klinik weterynaryjnych! Nasze ukochane psy, koty, papużki, kanarki i chomiki już nigdzie nie są bezpieczne.

Ich życie jest niewiele warte dla zimnych, bezdusznych lekarzy w białych kitlach.

Doktor Bruno Lankocz to anioł śmierci. Drwi z naszych czworonożnych przyjaciół. Nie obchodzi go, gdy odchodzą od nas na zawsze. A jeśli zamiast leków podaje im środki przyspieszające konanie?

Precz ze znieczulicą weterynaryjną!

Precz z doktorem Brunonem!

Precz!

To brzmi jak hymn.

Niestety, mój mąż poważnie się przejął, zwłaszcza że trzy dotychczasowe klientki zrezygnowały ze szczepień swoich pociech w klinice „Psiakość” i ostentacyjnie wyszły z poczekalni rozrzucając wokoło ulotki, i wciskając je wszystkim dookoła.

Podobno dyrektor kliniki spytał Brunona, czy rzeczywiście istnieją środki przyspieszające konanie.

Hmm...

Ja też bym chciała wiedzieć.

4 kwietnia, czwartek

Dzisiaj przyjeżdża moja matka. Podejrzewam, że to jedyny sprzymierzeniec w walce z pasierbicą. Choć trudno przewidzieć, czy znajdzie wolną chwilę, by wysłuchać moich żalów, bowiem od kilku miesięcy jest szczęśliwą żoną Ralfa, bogatego Niemca z mercedesem i sporym domkiem z ogródkiem bez krasnala. A wszystko to na przedmieściach Berlina.

Mama jest mistrzynią tworzenia złudzeń. Najpierw przekonała Ralfa, że doskonale gotuje i jeszcze lepiej prowadzi dom, a kilka tygodni później zatrudniła panią do sprzątanego i gotowania oraz, zdaje się, ogrodnika. Co więcej, Ralf się zupełnie nie zorientował, że to matka miała mu komponować swoje osławione posiłki i zdaje się być niebiańsko szczęśliwy.

Mama wygląda kwitnąco. W dzinsach i błękitnej bluzie zrobiła wrażenie nawet na Kasi, co rozpoznałam po tym, że potwór nie skrzywił się z odrazą na widok nowej „Babci”, tylko mruknął coś na powitanie.

5 kwietnia, piątek

Jednak matka nie do końca jest moim sprzymierzeńcem. Przyznała co prawda, że fizjonomia Kasi pozostawia wiele do życzenia, ale poza tym to „typowa nastolatka z zacięciem destrukcyjnym”. To podobno normalne w tym wieku.

Osobiście nie przypominam sobie, żebym w wieku czternastu lat miała „zacięcie destrukcyjne”, a sugestie mamy, że zamalowywanie lalkom twarzy na czarno oraz wstrzykiwanie zupy pomidorowej w szmacianego Murzyna można pod to podciągnąć, uważam za mocno przesadzone.

Zupę pomidorową wstrzykiwałam nie dlatego, żeby szmaciany Murzyn zgnił, ale z powodu szczerzej niechęci do tej właśnie potrawy. Kiedy zorientowałam się, że Murzyn chłonie każdą ilość płynów (a był spory), każda zupa pomidorowa lądowała w jego wypchanym trocinami wnętrzu.

Na moje nieszczęście Murzyn rzeczywiście zgnił i zaczął wydzielać upiorną woń. Zdaje się, że za karę odmówiono mi wtedy oglądania fascynujących przygód Reksia.

Co do zamalowywania lalkom twarzy na czarno – niestety nic nie pamiętam.

6 kwietnia, sobota

Mama przyznała dzisiaj, że też jest macochą. Podobno Ralf ma syna, lat czterdzieści trzy, ale ten wcale nie zamierza mieszkać z nimi pod jednym dachem.

A co będzie jeśli się rozwiedzie? Jeśli żona przyłapie go na miłosnych uniesieniach ze sprzedawczynią bratwurstów i wyrzuci z domu?

Osobiście uważam, że łatwiej jest walczyć z czternastoletnim pryszczolem niż z podstarzałym nazistą, który na dodatek pewnie sam ma dzieci.

Matka twierdzi, że Achim nie jest nazistą. I że myślę stereotypami rodem z *Czterech pancernych*.

Wszystko jedno. Osobiście uważam, że nie należy przesadnie ufać obcym.

7 kwietnia, niedziela

Nic z tego nie rozumiem.

Mama powinna trzymać moją stronę, nawet gdybym przekonywała ją, że mam romans z żonkilem. Tymczasem ona poprosiła Kasię o kilka porad dotyczących filozofii *feng shui*, której to Kasia jest fanką od kilku tygodni, a którą moja rodzona matka zamierza wykorzystać w swoim wielkim domu z ogrodem na wsi pod Berlinem.

Oto co ustaliły:

Ponieważ matka stała się ekologiczna, zaangażowana poważnie w walkę z asfaltem czy betonem, które niszczą zieleni naszej planety, automatycznie fascynuje ją wszystko, co zgodne z naturą i zdaje się z harmonią duszy. Kasia poinformowała ją zatem, że „nieodpowiednie ustawienie przedmiotów, którymi się otaczamy, blokuje swobodny przepływ pozytywnej energii i tym samym naraża nas na trudności życiowe, a nawet choroby”.

Ha!

Nareszcie rozwiązanie wielu zagadek! Może my też mamy krzywe meble?

Według Kasi, w domu mojej matki wystarczy umiejętnie poprzestawiać meble i zmienić kolory, a życiowe kryzysy znikną, zanim zdąży się z nimi pożegnać.

Sufit radzi pomalować na czekoladowo.

W każdym rogu postawić lichterze, które na pewno łatwo znaleźć na niemieckich targach z rupieciami.

Na lampie zawiesić kryształową kulę.

W przedpokoju dzwoneczki.

A na środku dużego pokoju umieścić minisadzawkę z mini fontanną.

To jeszcze gorsze niż krasnal w ogrodzie. Ciekawe, co na to Ralf.

Czuję się zdradzona.

Chyba już wiem, dlaczego zamalowywałam lalkom twarze na czarno. To jakiś uraz z dzieciństwa. Syndrom odrzucenia.

8 kwietnia, poniedziałek

Mama z Ralfem wracają do siebie malować na czekoladowo sufit i montować zwierciadła przyciągające pozytywną energię. Doprawdy. Moja pasierbica kupiła sobie MOJĄ matkę, która poradziła mi przed wyjazdem, abym okazywała Kasi więcej cierpliwości.

Mam nadzieję, że następnym razem spotkamy się dopiero w okolicach Bożego Narodzenia.

9 kwietnia, wtorek

Eliza przysłała dzisiaj cała zapłakana. Podobno facet od Barbie został zatrzymany za „agresywne zachowanie wobec kilkuletniej dziewczynki, posiadającej najnowszy model Barbie surfującej”.

Nie umiem pomóc koleżance.

Od początku ostrzegałam, że facet jest zbrojeńcem.

10 kwietnia, środa

Uważam, że należy dokładniej przyjrzeć się doktorowi Rybce. Znowu spotkałam go w supermarkecie, tym razem jednak wachał płyny do płukania.

Wydaje się uzależniony.

Kiedy „przypadkiem” na niego wpadłam, zaczął się podejrzenie tłumaczyć:

– Żona mi kazała kupić płyn o zapachu lata. Nie za bardzo wiem, jak pachnie lato.

– Zależy dokąd pan jeździ na wakacje.

– Do Szwecji, na ryby.

Poleciłam mu jeden z polskich płynów, który od wieków zalatuje zatęchłym jeziorem i dętką, ale nie jestem pewna, czy o to właśnie chodziło jego żonie.

– A jak układa się z córką pani męża? Pewnie już wszystko w porządku? – spytał, jak mi się wydawało, nieco ironicznie.

Może on kupił ten dyplom psychologa? Albo wygrał w karty?

11 kwietnia, czwartek

Eliza znów spędza noce w kawiarence, bo ukochany siedzi w areszcie. Przy okazji przesłuchania wyszło na jaw, że w 1997 roku napadł na sklep z zabawkami, zwędził trzynastu Kenów (tyłu stało spokojnie na półce), a następnie urządził im zbiorowe spalanie żywcem.

Jego zdaniem „Ken wykorzystuje Barbie, żeruje na jej ciężkiej pracy, wydaje cudze pieniądze i zmusza lalkę do obrzydliwych pozycji seksualnych”.

Obrońca kobiet?

Policja chce zatrudnić psychologa.

Osobiście odradzam.

13 kwietnia, sobota

Bruno znowu jest szczęśliwy, bo zoperował nieoperacyjny przypadek prostaty u szesnastoletniego dobermana. Podobno właściciel sugerował uspienie, żeby pies się dłużej nie męczył, ale Bruno z ukrytą w kieszeni jaskrawożółtą ulotką oznajmił, że „będzie ratował psie życie”. Właściciel ze wzruszenia oberwał sobie wszystkie guziki od marynarki, a recepcjonistce dał skandaliczny napiwek w wysokości stu złotych.

Bruno dostał na pamiątkę zdjęcie psa z czasów jego przedprostatowej młodości.

14 kwietnia, niedziela

Kiedy stałam przed lustrem, odkryłam, że od czasu pojawienia się Kasi zaczynam coraz gorzej wyglądać. Pod oczami dostrzegłam niepokojące zmarszczki oraz worki, w których śmiało można by utulić niemowlę.

Niedługo kończę trzydzieści jeden lat.

Czy kończę się w ogóle?

Chyba wiszą mi piersi.

15 kwietnia, poniedziałek

Przed pracą postanowiłam odwiedzić sklep kosmetyczny i zacząć ratować własne ciało. Zaintrygowała mnie pewna ciekawostka – stanik w sprayu. Cena (ponad dwieście złotych) jest nieco szokująca, ale w końcu jest to stanik, który nie ma ani ramiączek, ani zapinek z tyłu, nawet miseczek nie ma, a mimo to podnosi biust tak wysoko, że sutki niemal dotykają brody.

– Działa? – spytałam z niedowierzaniem.

Sprzedawczyni spojrzała na mnie znacząco.

– No, wie pani, jak ktoś ma mały biust, który i tak stoi, to jak sobie popsika na niego, to z pewnością nie opadnie.

– Ale jak ktoś ma duży, który lekko opada, to jak sobie popsika, to z pewnością nie stanie? – Upewniłam się.

Sprzedawczyni nie odpowiedziała.

– I kobiety to kupują?

– No, właśnie jedna klientka przyszła dzisiaj po następny.

– Czyli zadziałał?

Wzruszyła ramionami.

– A co tam jest w środku?

- Coś, co po popsikaniu pozostawia delikatną mgiełkę, i jak ona przyschnie, to podtrzymuje pierś.
- To lepiej kupić lakier do włosów.
- Ale lakier się lepi.
- To dobrze, taka pierś przylepi się wtedy do sukienki i na pewno nie opadnie.
- A jak ją potem odkleić?
- Pod gorącą wodą.
- Za dużo zachodu. Poza tym, skoro klientki kupują... – Efektownie zawiesiła głos. Poleciałam jej zapakować stanik w sprayu. Trzeba w siebie inwestować.

16 kwietnia, wtorek

Stanik w sprayu to jedno wielkie oszustwo. Pierś nie stoi, nie jędrnieje, co gorsza jest lepka i nieprzyjemna w dotyku. Obawiam się, że gdyby Bruno jej dotknął, uznałby, że złapał meduzę.

Muszę to świństwo schować głęboko do szafy i używać do spryskiwania butów. Nigdy więcej nie nabiorę się na żaden cud-kosmetyk.

17 kwietnia, środa

Właśnie przeczytałam, że polscy politycy są atrakcyjni, i że każda kobieta marzy, aby kochać się z nimi do upadłego, bo władza rzekomo podnieca.

Osobiście uważam, że jedynym przystojnym politykiem jest Tony Blair (niestety obcy), a z polskich nie potrafię znaleźć żadnego, z którym chciałabym się kochać nawet z zamkniętymi oczami. Ich twarze bardzo często mają ponury wyraz, bawole spojrzenie, cerę Kasi i zęby bobra. Do tego dochodzą tłuste i rzadkie włosy oraz fatalne fasony garniturów. Jednemu podczas posiedzenia Sejmu zza krótkich nogawek wystawały bordowe skarpety w charakterystyczny prążek, sugerujący jeszcze enerdowskie pochodzenie. Jestem przekonana, że większość z nich nosi do kompletu prążkowane majtasy z rozparkiem i szeroką gumką w pasie oraz przy nogawkach.

Władza podnieca?

18 kwietnia, czwartek

O szóstej rano obudził mnie hałas.

To Bruno spadł ze stołka i zbił kubek z kawą. Kiedy spytałam, co się stało, odparł spokojnie, że dzwonił właściciel dobermana z prostatą.

Pies zmarł dzisiaj w nocy w okropnych męczarniach. Właściciel domaga się pogrzebu na koszt Brunona.

20 kwietnia, sobota

To był męczący dzień. Najpierw wspólnie z Brunonem i Kasią na miejskim cmentarzu wykopaliśmy ogromny dół, ale na wszelki wypadek z dała od ludzkich grobów. Następnie wyściełaliśmy go starym kocem i wsadziliśmy tam dobermana w wiklinowym koszyku na pranie. Kasia obrzuciła kosz kwiatami, które wcześniej zerwała z klombu, a Bruno wygłosił przemówienie o „nierozzerwalnej więzi łączącej psa z człowiekiem, więzi, która po śmierci jest nawet silniejsza”.

Właściciel chrząknął coś niewyraźnie, a my zabraliśmy się za zasypywanie dołu, w którym spoczywał doberman ze zoperowaną wprawdzie prostatą, ale jednak nieżywy. Na końcu obłożyliśmy grób gałązkami modrzewia i uczciliśmy psią śmierć minutą ciszy.

Jestem wykończona.

Dobrze, że nie musieliśmy organizować stypy.

21 kwietnia, niedziela

Zadzwoiła Matylda i spytała, czy nie mamy ochoty jej odwiedzić. Jak wytłumaczyć koleżance, że wpadniemy pod warunkiem uśpienia trzyletniego Spidermana przynajmniej na parę godzin? W tym momencie Mateusz, wywołany, jak podejrzewam, telepatycznie, wydał z siebie porażający wrzask, a Matylda poinformowała nas, że od paru dni jej syn jest Tarzanem.

Nie poszliśmy.

Odwiedzę ją, jak zaczną przerabiać Śpiącą Królową.

23 kwietnia, wtorek

Dziś Kasia zaskoczyła mnie dość nietypową prośbą. Mam z nią iść na wernisaz sztuki współczesnej, bo „ma napisać recenzję”. Spytałam, czy Dominik nie byłby lepszym pomocnikiem, ale ona tylko się zaczerwieniła i dodała, że „jak nie chcę pomóc, to nie muszę”.

Poszłam więc.

Zdaje się, że Dominik przejrzał na oczy i przestał spotykać się z Kasią. No cóż, wcale mu się nie dziwię. Choć z drugiej strony, sam był jakiś dziwny.

Eliza zgodziła się posiedzieć w kawiarence, bo „ukochany ciągle w zamknięciu”, a ja poszłam z dziewczyną na tę nieszczęsną wystawę.

Przed galerią stał tłum ludzi. Rozejrzałyśmy się nerwowo dookoła. Większość chyba się znała, bo co chwila dobiegały nas wybuchy śmiechu i głośne powitania. Co to za pomysł, żeby od czternastolatków wymagać recenzowania sztuki współczesnej.

W środku było duszno i wszędzie wałały się jakieś kartony i druty.

– To te instalacje – wyszeptała Kasia.

Spojrzałam z przerażeniem.

– To sztuka współczesna – wyjaśniła mi Kasia.

– To wiem. I masz ją zinterpretować?

– No. Patrz, tu jest karton, co on może symbolizować?

– Przewrócony karton – podkreśliłam ze znanstwem.

– Może go postawmy, będzie łatwiej.

– Rusz lepiej głową – poradziłam, choć sama byłam zdezorientowana.

– Przemoc! – krzyknęła Kasia.

– Gdzie? – Wystraszyłam się.

– No, te walające się kartony.

– A do tego jakieś kable, druty. Możesz napisać, że żyjemy w świecie przemocy i ciągłego zagrożenia. To właśnie symbolizują te rzeczy. – Poczulałam się niezwykle mądra.

Nagle podeszła do nas jakaś natchniona dusza w fioletowym płaszczu

z gigantyczną papugą naszytą na plecach.

– Nie idziecie na górę? Podobno tamte prace są całkiem niezłe.

Nastolatka spojrzała na mnie pytająco, ale ja na wszelki wypadek uciekłam wzrokiem. Kasia szarpnęła mnie za rękaw.

– Ty, to nie są żadne instalacje, tylko zdaje się kartony po nich. Prawdziwa wystawa jest na górze.

– Wiem. To była tylko taka rozgrzewka.

– Aha.

Na piętrze znowu tłum. Tłum wielobarwnych artystów, z których co drugi nosił na głowie dzierganą czapkę, co trzeci intrygującą marynarkę z przedłużonymi mankietami, a co czwarty był, zdaje się, bosy. Bo podeszwy i kawałka paska owiniętego wokół dużego palca u nogi, to chyba nie ma co liczyć. Kasia podeszła do pracy numer jeden.

Stół.

Na stole nóż.

Na nożu kawałek szmaty.

Na szmacie zdechła mucha.

– Co to może być? – Kasia wyglądała na bliską załamania. Pierwsze bardziej ambitne szkolne zadanie i od razu taka wpadka.

– Przemoc.

– Znowu? Już była przemoc.

– No to co, tamto się nie liczy. A to tu, to na pewno przemoc. Nóż to nóż, a mucha pewnie symbolizuje człowieka.

– Ale czemu leży na szmacie?

– Cholera wie. Może tytuł nam powie coś więcej.

Nachyliłyśmy się nad kartką papieru doczepioną do kantu.

Pycha.

– Pycha? – Kasia spojrzała przerażona.

– No, pycha tej muchy. Czyli ludzi. Pycha, która doprowadza do śmierci. Śmierci od noża. Czyli przemoc – chyba się trochę zaplątałam.

Kasia pokiwała jednak głową i podeszła do dzieła numer cztery, bo numer dwa i trzy były na razie oblegane.

Gołąb.

Z wieńcem z czosnku.

Obok rozsypane brokatowe gwiazdki.

I kieliszek po szampanie.

Kieliszek się nie liczył, bo za chwilę podeszła jakaś dziewczyna i zabrała go ze sobą.

– Jak powiesz przemoc, to cię zabiję. – Kasia była bliska rozpacz.

Nie wiem, co napisała, ale siedziała do dwunastej w nocy.

Jezu, co to za szkoła?

24 kwietnia, środa

Dostaliśmy wezwanie, a właściwie „pokorną prośbę” o stawienie się u księdza

Marka z pobliskiej parafii, niedaleko miejskiego cmentarza.

Chyba wiem, o co chodzi.

25 kwietnia, czwartek

Właściciel dobermana jest szują. Nie dość, że kazał nam urządzić pochówek, to jeszcze na nas doniósł, że zbeszczęściliśmy cmentarz. Początkowo ksiądz Marek wydawał się dość miłym człowiekiem, choć ja dostrzegłam początki piany w kącikach jego ust, kiedy zaczął upewniać się, czy rzeczywiście przed paroma dniami ośmieliliśmy się pochować psa na JEGO cmentarzu.

Wobec zbliżającej się groźby rzucenia na nas klątwy, Bruno przytaknął. Ksiądz Marek wygłosił zawiłą mowę, jeszcze bardziej skomplikowaną niż niedzielne kazania. Przewijały się tam słowa „grzech”, „świętość”, „pogarda” i „profanacja”. Następnie kazał nam zlikwidować grób.

– Czy pies nie jest stworzeniem Bożym? – spytałam poruszona okrucieństwem księdza Marka.

– Jest. Ale nie tu.

– Aha. A gdzie?

Nie odpowiedział, a ja odniosłam wrażenie, że zaraz wyciągnie spod sutanny kij bejsbolowy i obije nam żebra.

Na szczęście przyniósł tylko łopatę i kazał uporać się z dobermanem „i to jak najszybciej”.

Obecnie jesteśmy właścicielami wiklinowego kosza na bieliznę z rozkładającymi się zwłokami psa rasy doberman w środku oraz starego koca, który cuchnie trupem.

26 kwietnia, piątek

Bruno skremował nasze skarby. I obiecał, że jak tylko spotka właściciela dobermana, osobiście „skopie mu jaja”. Znając mojego męża, podejrzewam, że na obietnicach się skończy.

Kasia się do mnie nie odzywa. Za recenzję dostała jedynkę z komentarzem: „Nie rozumiem”. Uważam, że w szkołach pracuje nieodpowiedzialne ciało pedagogiczne.

27 kwietnia, sobota

Zostałam kulinarnie upodlona.

Zamiast słodkiej papryki dodałam do kurczaka trzy łyżki chili. Efekt był taki, że Kasia wypluła wszystko na stół, a następnie wybiegła płukać przętyk, a Bruno łapał oddech tak, jak podczas zawału, bohatercko powstrzymując łzy.

Do wieczora oboje szeptali, bo rzekomo mieli podrażnione gardła. Ja jestem cała, ponieważ w porę odstawiłam widelec od ust. Wieczorem zakradłam się do kuchni, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście mieli podstawy do tak podłego zachowania. Podejrzewałam, że to spisek.

Spróbowałam odrobinę kurczaka i przez godzinę moczyłam język w kubku z lodowatą wodą.

Faktycznie – dość ostre.

28 kwietnia, niedziela

Poszliśmy na obiad do chińskiej restauracji.
Ostentacyjnie zamówiłam kurczaka na ostro.

29 kwietnia, poniedziałek

Zamiast dopieszczać plan skutecznego pozbycia się Kasi z domu, znowu muszę jej pomóc. Mimo wpadki z recenzją sztuki współczesnej, zatrudniła mnie do... łapania wróbelka.

Kasia dostała wróbelka (ze zwichniętą nóżką) w ubiegłym tygodniu na tak zwane przechowanie, do czasu wyremontowania sali biologicznej. Niestety, wróbelek zwiął, bo dziewczyna wypuściła go z klatki i otworzyła okno. Wróbelek dość szybko zorientował się, że powiew świeżego powietrza oznacza wolność, i zanim Kasia odkryła jego niecne myśli, dał wróbelkową nogę i runął w dół. A ponieważ miał rzeczywiście zwichniętą nóżkę, została z niego mokra plama.

Wieczorem

Łapanie wróbelka przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Pod domem nie znalazłyśmy ich zbyt wiele, bo jedyne drzewo, które tu stało, oblegane było nie wiedzieć czemu przez gawrony. W centrum królowały gołębie, a w sklepach zoologicznych sama egzotyka. W końcu wylądowałyśmy w ogrodzie zoologicznym.

- Czemu akurat tu? – spytała Kasia.
- Wróbelki zawsze wyzerają żarcie bażantom i sowom.
- Ale jak go złapiesz?
- Mam słoninę.
- Ale one są diabelnie zwinne.
- Mam woreczek, wiaderko i siatkę. W coś musi wpaść.

Niestety nie było to takie proste. Wróbelek numer jeden pożarł słoninę, po czym odrzucił, zanim zdążyłam ruszyć ręką. Podobnie wróbelek numer dwa i trzy. W końcu Kasia zaczęła szczuć je słoniną, którą rzucała coraz bliżej swoich stóp, a ja zakradałam się od tyłu.

Pudło.

- Może położyć się na ziemi? – zaproponowała.
- Po co?
- Udawaj nieżywą, a ja cię obłożę słoniną. Jak wróbelki cię obsiądą, to rzucę w nie wiaderkiem, siatką i workiem. Któryś na pewno się złapie.

Tak też zrobiłyśmy. Padłam nieruchoma na ziemię, a Kasia ozdobiła mnie kawałkami słoniny. Niestety, zanim ptaszki się zleciały, dopadł nas jakiś pies i pożarł wszystko. Przybłąda. Na szczęście druga próba zakończyła się większym sukcesem. Wróbelki zleciały się w ilości zadowalającej i zanim zorientowały się, że to zasadzka, jeden został złapany w worek.

- Zwycięstwo. – Wstałam, otrzepałam się i aż podskoczyłam z radości. Mamy go!
- Teraz trzeba mu tylko zwichnąć nóżkę.
- Ale jak?
- Może lekko młotkiem?
- Co ty, jeszcze go zabiję.

W końcu zrezygnowaliśmy z wyrządzenia krzywdy wróbelkowi. Po dwóch godzinach szarpaniny udało nam się jakoś zawiązać bandaż na zdrowej nóżce i wpakować ptaszynę do pudełka po butach. Naturalnie wcześniej wywierciłyśmy sporo otworków i wyścielałyśmy środek trawą.

Wróbelek awanturował się troszeczkę, ale został uspokojony ziarnami i resztką słoniny, która została z naszej zoologicznej wyprawy.

30 kwietnia, wtorek

Kasia wróciła ze szkoły szczerze oburzona. Podobno cała wczorajsza łapanka poszła na marne. Pan od biologii polecił wyleczyć wróbelka w domu, a następnie go wypuścić, bowiem nie ma już dla niego miejsca w szkole. Jego miejsce zajął kos.

Polecam panu od biologii nowelkę Sienkiewicza *Dobra pani*.

Cała akcja zoologiczna na nic. Całe moje poświęcenie na nic. Kilo słoniny poszło i jeszcze potłuściłam sobie płaszcz. Wróbelek jeszcze tego samego dnia opuścił nasze mieszkanie, a w zemście zapaskudził parapet.

Zwyrodnialec jeden.

1 maja, środa

Pół dnia czyściłam płaszcz. A nie powinnam nic robić, bo to przecież Święto Pracy. Kiedyś chodziłam na pochody i domagałam się pysznej oranżady w woreczku, koniecznie zielonej, a teraz czyszcze płaszcz po słoninie...

To zmusza do refleksji.

2 maja, czwartek

Postanowiłam zrobić drugie podejście do współczesnych, nowoczesnych, ekskluzywnych kosmetyków, które pomogą mi skutecznie walczyć z moją starością. Pani w sklepie postawiła przede mną kilkanaście tubek i słoiczków kremów pod oczy, a następnie rozpoczęła długi wykład.

Skóra wokół oczu szybko się wysusza – potrzebuje czegoś nawilżającego.

Skóra wokół oczu najwcześniej się starzeje – potrzebuje czegoś przeciwzmarszczkowego.

Skóra wokół oczu jest podatna na stres – potrzebuje czegoś przeciw cieniom i workom.

Skóra wokół oczu jest delikatna – potrzebuje czegoś regenerującego.

Wpadłam w popłoch.

– Proponuję ten – podsunęła pani, widząc moją bezbronność.

Śliczny, miniaturowy słoiczek.

Czy to jest próbka?

Nie jest. Bo kosztuje ponad trzysta złotych. Musiałam zaufać tej pani, bo po dwudziestu minutach wykładu wiedziałam mniej niż dotychczas. Czułam jednak, że ze skórą wokół moich oczu nie jest najlepiej. Gdyby Bruno dowiedział się, ile wydałam na krem, za karę kazałby mi sprzątać trawnik przy jego klinice. Przez rok.

3 maja, piątek

Kasia podrzuciła mi *Poradnik dla kobiet, czyli jak doprowadzić faceta do furii*.

1. Nigdy nie mów, o co naprawdę ci chodzi. Nigdy.
2. Płacz. Często.
3. Miesiącami, albo najlepiej latami, rozpamiętuj przykre rzeczy, które on już dawno ci wyjaśnił i za nie przeprosił.
4. Spraw, żeby musiał za wszystko przeproszać.
5. Złość się na niego za wszystko.
6. Żądaj, żeby do ciebie dzwonił i wysyłał e-maile. Jeśli choć raz zapomni, płacz i patrz punkt 3.
7. Jeśli powiedział ci komplement, zawsze doszukuj się w tym złych intencji. Patrz punkt 4.
8. Wszędzie i zawsze przychodź spóźniona. Jeśli on się spóźni, płacz i patrz punkt 4.
9. Mów często o swoim eks. Porównuj ich i głośno to komentuj.
10. Każ mu zgadywać, na co w danym momencie masz ochotę i niezależnie od odpowiedzi mów, że nie zgadł. Patrz punkt 5.
11. Obchodź wszystkie rocznice, najlepiej co miesiąc. Jeśli choć raz zapomni, bądź wściekła i płacz.
12. Stale mów, że jesteś gruba. Pytaj go o to. Niezależnie co odpowie – płacz.
13. Krytykuj sposób, w jaki się ubiera.
14. Krytykuj muzykę, której słucha.
15. Kiedy cię zapyta: „Co się stało?”, powiedz mu, że jeśli nie wie, to nie zasługuje na odpowiedź.
16. Próbuj go zmienić (najlepiej na siłę).
17. Każ mu ze sobą tańczyć, nawet jeśli nie umie.
18. Jeśli kiedykolwiek w czymkolwiek zawiódł, nigdy nie daj mu o tym zapomnieć.
19. Zawsze, gdy choć na chwilę zapadnie między wami cisza, pytaj go: „O czym myślisz?”.
20. Analizuj jego każdą, nawet najdrobniejszą wypowiedź i doszukuj się w niej kilku znaczeń. Wybierz najmniej prawdopodobne lub niekorzystne dla ciebie i obraż się na niego. Nie zapomnij płakać.

Czy ona chciała mi coś zasugerować?

5 maja, niedziela

Jestem jakaś zawieszona. Czas mija, a ja drepczę w miejscu. W planach pozbycia się Kasi z domu nie posunęłam się ani o milimetr. Chyba niepotrzebnie z nią rozmawiam. Może okazać pogardę, niechęć i zwymiotować na jej widok?

6 maja, poniedziałek

Jest jednak coś gorszego od Kasi.

Remont.

Ponieważ nasz domek nie jest już w najlepszym stanie, zdecydowaliśmy z Brunonem trochę go podreperować. Na początek kuchnię i łazienkę, a jak starczy pieniędzy, to jeszcze dwa pokoje. Najpierw muszę jednak przeżyć co najmniej dwa tygodnie z panem Romkiem (który podobno jest doskonałym fachowcem) i jego

ekipą. Umówił się z nami o dziesiątej rano. Kasia w szkole, Eliza w kawiarence, mój mąż dzisiaj ma dyżur po południu – idealny plan.

W południe Bruno odważył się zadzwonić do pana Romka i spytać z niepokojem w głosie, czy może utknął w korku.

Nie utknął. Myślał, że u nas zaczyna jutro, ale jak się upieramy, to będzie koło drugiej.

Koło drugiej Bruno był już w klinice, a ja dzielnie czekałam na pana Romka.

O szesnastej zadzwoniłam do niego z pytaniem, czy to rzeczywiście miało być dzisiaj, koło drugiej.

Miało, ale jest u dentysty i jeszcze trochę posiedzi, bo ma zgorzel.

Odwołałam wizytę, bo też muszę iść do pracy, żeby zmienić Elizę. Pan Romek wyseplenił, że „klientowi to nigdy nie dogodzisz i zawsze coś kręca”. Czuję się winna.

Pan Romek wpadnie pojutrze. Nie wiem o której.

7 maja, wtorek

Skóra wokół moich oczu wydaje się być doskonale odżywna. To chyba zasługa tego kremu. Cudowna inwestycja.

8 maja, środa

Od rana czekamy na pana Romka. Nie obiecujemy sobie, że na pewno przyjdzie, ale na wszelki wypadek siedzimy w domu. Kasia po lekcjach idzie z Dominikiem do kina. Zdaje się, że znowu są razem.

O dwunastej cud! Przyszedł pan Romek i nawet przyniósł jakieś narzędzia. Ja i mój mąż czujemy miłe podniecenie, że remont w końcu się zacznie.

O pierwszej pan Romek skończył pić kawę, ale nadal raczył nas opowieściami o swoim chorym zębie. Podobno strasznie mu śmierdziało z gęby i w końcu żona wywalila go do dentysty, bo nieustająco zasysał dziurę. Myślał, że to nic wielkiego, a tu proszę – zgorzel.

Muszę wyparzyć filiżankę po kawie.

– No, a teraz obejrzymy łazieneczkę – mlasnął pan Romek.

Najwyższy czas, bo obojgu nam zaczynało już robić się niedobrze. Przez opowieści pana Romka o jego śmierdzącym zębie zupełnie straciliśmy apetyt na obiad.

– W ciągu trzech dni skujemy kafeleczki, potem walniemy nowe, wymienimy wannę, prysznic i kibel, wstawimy mebelki i będzie cycuś. – Pan Romek rzeczywiście był znawcą. – Zaczniemy pojutrze, bo dzisiaj to się już trochę późno zrobiło. Pojutrze o ósmej rano przyjdzie Mirek z kolegą. Fachury od kafelków – poinformował nas pan Romek i spakował sprzęt.

Może być Mirek. Byle miał zdrowe uzębienie.

9 maja, czwartek

Kasia nam zdecydowanie nie pomaga. Od rana szamotała się w łazience w poszukiwaniu szczoteczki do zębów. Fakt, spakowałam wczoraj wszystko do kartonów, ale wystarczy przecież zapytać.

Bruno na przykład spytał, gdzie jest mydło, maszynka do golenia, pasta i krem.

Może powinnam opisać te kartony?

10 maja, piątek

Od rana siedzę w kawiarence, bo Eliza ma dzisiaj widzenie ze swoim zbrojcem od Barbie. Podobno wynajęła adwokata, który uznał, że ta sprawa to pestka. Barbiowiec będzie musiał zapłacić odszkodowanie czy kaucję i najprawdopodobniej w przyszłym tygodniu wyjdzie na wolność.

Ja byłabym bardziej ostrożna.

Ciekawe, co się dzieje w domu.

Wieczorem

Żałuję, że chciałam wiedzieć. Nie mamy już łazienki. Mamy za to rozbite lustro, skutą podłogę, potworną ilość kurzu i dwóch facetów przegryzających kanapki.

– O, szefowa, jak dajemy wannę? – spytał zdaje się pan Mirek.

Dobre pytanie.

Nowa wanna jest narożna (wpływ Kasi, choć przyznaję, że przy mojej cichej akceptacji), więc pasuje tylko w jedno miejsce. Tym bardziej, że tylko w tym jednym miejscu można ją podłączyć, bo są tam wszelkie potrzebne do tego rury.

– Może w lewym rogu? – zaproponowałam nieśmiało.

– Dobra, według życzenia. Wolę pytać, żeby potem nie było nieporozumień – oznajmił pan Mirek.

Jestem pod wrażeniem. Może jeszcze pytają, którą stroną przykleić kafelki do podłogi?

11 maja, sobota

W domu cisza. Pan Mirek nie może dzisiaj przyjść, bo ma ślub w rodzinie.

Dwie godziny szukałam plastrów do depilacji.

13 maja, poniedziałek

Od rana kucie.

Jedyne pocieszenie, to krzyk Kasi, „że w tym domu to nie można wytrzymać, tylko oszaleć!”. Kiedy w końcu poszła do szkoły, zakradłam się do jej pokoju sprawdzić, czy przypadkiem nie zaczęła się pakować.

Niestety, walizka leży nietknięta na szafie. Przesunęłam ją lekko do przodu, bo może dziewczyna po prostu o niej zapomniała. A jak niebawem wróci, zobaczy róg walizki i od razu zaświta jej w głowie cudowna myśl o powrocie...

Trzeba przesunąć remont na popołudnia. To zdecydowanie szybciej ją wykurzy.

14 maja, wtorek

Cały dzień błoga cisza. Dzisiaj Pan Mirek z kumplem nie przyszli, bo złapali szybką fuchę wymiany grzejników. Znając ich tempo skończą w okolicach piątku.

Kasi też nie ma. Niestety nie wróciła do mamy, tylko pojechała z klasą na pięciodniowy rajd. Wraca w sobotę, kiedy najgorsze będzie już zrobione.

Sprytne posunięcie.

15 maja, środa

Pan Mirek nadal wymienia grzejniki, bo dzisiaj też nas nie odwiedził.

Wykopaliliśmy się z Brunonem u Kai w domu.

16 maja, czwartek

Mój cudowny krem chyba przestał działać. Z lustra spojrzały na mnie dwa gigantyczne worki w kolorze sinawym, przez które – o zgrozo – przebijały się drobne zmarszczki. Powieki mam zapuchnięte, a białka zaczerwienione. Bruno twierdzi, że to alergia na kurz i pył. Mam nadzieję, chociaż z drugiej strony, żeby krem za trzysta złotych nie potrafił poradzić sobie z marnym kurzem?

Pan Mirek zjawiał się dzisiaj po południu. Sam, bo kolega u dentysty.

Poprosiliśmy, żeby nie wdawał się w szczegóły.

17 maja, piątek

Łazienka cała skuta. Kafelki wyniesione, stara wanna też, i nawet pozamiatane. Później okazało się, że to Bruno posprzątał...

Liczy się jednak efekt. Pan Mirek z kolegą (niestety zdążył powiedzieć, że mu dziąsła krwawią) szykują się do montowania wanny (według moich wskazówek, w lewym rogu), umywalki (tam, gdzie była) i ubikacji (również tam, gdzie stała wcześniej). Skończyli o dwunastej w nocy i to tylko dlatego, że przyszła sąsiadka i zażądała ciszy nocnej.

Egoistka.

Ona na pewno ma gdzie sikać.

18 maja, sobota

Bruno wyrzucił pana Mirka z domu. Po raz pierwszy widziałam mojego męża w stanie największego wzburzenia, agresji i chęci zabicia drugiego człowieka.

Do godziny piętnastej nic nie zapowiadało tragedii. Robotnicy kładli sobie kafelki, ja robiłam obiad, a Bruno dłużył coś w ogrodzie. O piętnastej pan Mirek przyszedł do kuchni i oznajmił, że brakuje kafelków na ściany.

Niemożliwe.

Bruno specjalnie kupił kilka paczek więcej, podejrzewając po pierwszych odwiedzinach ekipy remontowej, że zniszczeniu ulegnie przynajmniej jedna trzecia płytek. Poszłam więc po mojego męża. Kiedy oboje weszliśmy do łazienki, pytanie „jak to jest możliwe?” zamarło nam na ustach. Pięć minut później pan Mirek z kumplem wylądowali na schodach, a rozwścieczony Bruno rzucił jeszcze za nimi wiadrem z zaprawą.

Wcale mu się nie dziwię.

Te barany położyły kafelki podłogowe na ściany.

19 maja, niedziela

Kasia od rana umiera ze śmiechu na widok łazienki. Nie dość, że wróciła obrzydliwie zadowolona i wypoczęta, to jeszcze odważa się na bezsensowną i nikogo nieinteresującą krytykę.

Paskudna natura.

Od jutra przychodzi nowa ekipa, mimo że pan Romek telefonicznie poinformował nas, że nie odpuści „amoralnego potraktowania jego pracowników”.

Amoralnego?

A jego opowieści o zgorzeli były moralne?

20 maja, poniedziałek

Barbiowiec nadal w zamknięciu. Teraz jednak siedzi w szpitalu, a jego zachowanie bada kilku fachowców. Podobno podrzucili mu kilka lalek Barbie w celu przeprowadzenia wnikliwych obserwacji, ale pacjent na razie je lekceważy.

Według mnie on jest o wiele bardziej niebezpieczny, niż myślą wszyscy lekarze.

Nowa ekipa remontowa jest całkiem przyjemna. Za dużo nie mówi i dość szybko pracuje. Niestety mają wysokie stawki godzinowe, ale Bruno słusznie zauważył, że skoro zaoszczędziliśmy na zgorzelowym Romku, stać nas na lepszych pracowników. Wieczorem kafelki były położone (prawidłowo), a ekipa ostrzegła, żeby nie wchodzić, „bo schną fugi”.

Nawet jakoś tak bardziej fachowo się wyrażają.

21 maja, wtorek

Znowu problemy z Kasią. Tym razem zaatakowała ją polonistka, która poinformowała nas listownie, że „Katarzyna Lankocz jest prowokatką i celowo wywołuje skandal”.

Odrobinę przerażony Bruno poszedł do szkoły.

Wieczorem

Kasia napisała skandalizujące opowiadanie na dowolny temat zatytułowane *Miłość pod kolor oczu*. Jego bohaterką okazała się Żydówka (czy ona czasem nie jest skrzywiona?) oraz gestapowiec, a także jego szare oczy, w których to kolorze zakochała się główna bohaterka. Całość dzieje się w obozie koncentracyjnym, do którego gestapowiec przyjeżdża od czasu do czasu na inspekcję. Żydówka nie widzi w nim zimnego sukinsyna, mordującego jej krewnych, ale mężczyznę, który pociąga ją seksualnie. Gdyby jeszcze gestapowiec okazał się dobrym Niemcem, jak to czasem podobno bywało. Ale nie! Kasia z zadziwiającą znajomością męskiego ciała opisała jego „jędrne pośladki”, połączone niestety z wrednym charakterem. Gestapowiec miał na sumieniu sporo gestapowskich grzechów, był jednak uosobieniem Apolla, a jego oczy „rozbierały Żydówkę do naga”, na co ona chętnie przystawała.

Po odczytaniu tej pouczającej lektury Bruno zdębiał, a polonistka spytała, czy Kasia nie potrzebuje czasem pomocy psychologa.

Sama autorka poinformowała nas przy kolacji, że historyjki w stylu Harlequina, w których „oboje trzymają się za ręce, spijając ze swych ust słowa miłości” to obrzydliwy banał, a miłość ma przecież różne oblicza. Również nazistowsko-żydowskie.

Bruno uznał, że Kasia nie potrzebuje psychologa. Po prostu to taki przejaw jej nastoletniego buntu.

Ja uważam, że dziewczyna zdecydowanie potrzebuje matki.

Swojej.

22 maja, środa

Kasia została lokalną bohaterką. Podobno jej nazistowskie opowiadanie zrobiło w szkole furorę, a większość przedstawicieli płci męskiej na jej widok pręży pośladki. Nauczyciele patrzą na nią z lekkim przestraszaniem, a Mysz tymczasowo odpuściła sobie odpytywanie uczennicy.

Taką relację zdał mi dzisiaj Dominik, dumny najwyraźniej z tego, że Kasia spędza z nim czas. Sprawia on wrażenie niezwykle miłego chłopca, choć samo wspomnienie jego przedstawienia *Śmierć motyli* nadal wywołuje u mnie dreszcze. Na razie jednak zaprzestał eksperymentów ze sztuką współczesną i przerzucił się na fotografię abstrakcyjną. Przyniósł mi nawet jedno swoje zdjęcie.

– Proszę zgadnąć: co to jest? – Uśmiechnął się podchwytliwie.

Wyglądało jak wielka cipa, ale przecież nie mogłam tego powiedzieć czternastolatki.

– Wschód słońca? – Strzeliłam mało oryginalnie, ale za to bezpiecznie.

Spojrzał na mnie z lekkim rozczerwienieniem.

– No... niezupełnie. Niech pani jeszcze raz spróbuje. – Najwyraźniej próbował dać mi jeszcze jedną szansę.

Zdecydowanie cipa. Pytanie tylko, kto jest jej właścicielką?

– Nie wiem. – Poddałam się zenująco. – Ale bardzo mi się podoba – dorzuciłam szybko, żeby nie wyjść na totalną ignorantkę.

– To są złączone dwa kciuki, ale na ogromnym zbliżeniu. Tytuł *Niebo*.

Więc jednak! Cipa to przecież dla niektórych niebo. Mam tylko nadzieję, że dla Dominika jeszcze nie.

23 maja, czwartek

Łazienka skończona.

Wszystko stoi na swoim miejscu, nic nie cieknie, nie odpada i nie przewraca się. Niestety remont pochłonął również fundusze przeznaczone na kuchnię, dlatego jesteśmy zmuszeni przełożyć kolejną dłubaninę na następny rok.

Nie jesteśmy tym specjalnie zmartwieni.

24 maja, piątek

Jutro przyjeżdża Róża. Chce obejrzeć „dom po remoncie”. Szkoda, że nie ma u nas powodzi...

25 maja, sobota

Róża oznajmiła, że remont, który sobie zafundowaliśmy, to przejaw „totalnego nieliczenia się z kosztami i braku wyobraźni”. Na próżno Bruno tłumaczył nasze ciężkie przejścia z ekipą remontową, panem Romkiem i zgorzelą. Róża stwierdziła, że nie umiemy niczego załatwić, że wydaliśmy fortunę na „liźnięcie łazienki”, a w dodatku dom wygląda dokładnie tak, jak przed remontem.

Ja jej nie zapraszałam.

Dochodzę do wniosku, że cała rodzina mojego męża to kompletne nieporozumienie genetyczne. Krewni w górę (matka) oraz w dół (córka) nie mają z nim wiele wspólnego, a raczej wskazują na zupełnie inną gałąź genealogiczną. Na jego rodzinnym drzewie z pewnością przysiadła na chwilę kukułka.

Bo przecież coś musi być przyczyną tej okrutnej, genetycznej pomyłki.

26 maja, wtorek, Dzień Matki

Mimo parszywych uwag Róży, Bruno złożył jej życzenia i wręczył zdecydowanie za dużo kwiatów. Ja ograniczyłam się do cmoknięcia różowych policzków teściowej i wręczenia jej nowego lakieru do paznokci. O dziwo, kolor jej się spodobał.

Zadzwoiłam do mamy i wyciąłowałam ją przez telefon. Kazała pozdrowić Kasię i podziękować za rady dotyczące *feng shui*. Podobno z Ralfem układa się jej doskonale, interesy idą świetnie i coraz lepiej dopasowują się w łóżku. A wszystko dzięki sadzawce na środku pokoju.

Przestaję rozumieć własną matkę.

Przyznam, że po cichu liczyłam, że Kasia z okazji Dnia Matki zrobi nam wszystkim niespodziankę (a swojej mamie największą) i wróci do domu. Niestety, przez telefon wydusiła z siebie parę zdawkowych zdań i burknięcie: „To na razie”.

Żadne: „Do jutra”, ani choćby: „Do soboty”.

27 maja, środa

Róża całe popołudnie siedziała na kanapie i robiła sobie pedicure. Wieczorem znalazłam jej paznokcia pod poduszką. Zaniósłam go Brunonowi i ostentacyjnie położyłam na talerzu, ale spojrzał na mnie z nikłym zrozumieniem w oczach i pokręcił głową.

Czyżbyśmy przestawali się dogadywać?

28 maja, czwartek

Obudziłam się złana potem. A jeżeli Kasia nie ma najmniejszego zamiaru wracać do domu i zostanie z nami na zawsze? Jest jeszcze gorszy scenariusz: dziewczyna została tu przysłana z misją wykurzenia mnie z domu, wskutek czego Bruno wróci skruszony do swojej byłej żony, a mnie wygna na Sybir.

Według legendy, Salieri zamówił u Mozarta *Requiem* i to za całkiem spore pieniądze. W rzeczywistości *Requiem* miało być wykonane na pogrzebie kompozytora i okazało się gwoździem do jego trumny, a zapowiadało się tak niewinnie.

Czy Kasia to Salieri?

Czy Salieri był kobietą?

Jestem w poważnym niebezpieczeństwie.

29 maja, piątek

Moje podejrzania okazują się słuszne. Kasia wspomniała dzisiaj, że niedługo będzie miała drugiego tatusia. Podobno jej matka planuje ślub.

To oczywista zmyłka.

A Bruno zaraz spytał, czy to czasem nie przez tego nowego tatusia, Kasia wyprowadziła się z domu.

– No co ty, ojciec, chyba za dużo filmów oglądasz. Po prostu chciałam z tobą zamieszkać. – Klepnęła go w ramię i poszła do szkoły.

Powiedziała zamieszkać, a nie pomieszkać.

Załkałam.

Ona naprawdę ma plan. Dzisiaj próbowała uspić wroga (czyli mnie) rzekomym ojczymem, który tak naprawdę nie istnieje. Muszę zmobilizować siły i nie dać się zaskoczyć.

Intensywnie myślałam przez całe *Fakty*. W sprawie Kasi nic nie wymyśliłam, ale doszłam do wniosku, że prowadzący powinien wreszcie spotkać się z dobrym fryzjerem. Jak można z każdym dniem coraz bardziej upodobniać się do głównego bohatera *Zaczarowanego ołówka*?

30 maja, sobota

Wstałam w zdecydowanie lepszym nastroju. Na razie muszę zająć się czymś innym i nie zaprzętać sobie głowy Kasią i jej nędznym planem. Nie dam się wykurzyć.

Będę bronić swojego gniazda.

No i muszę zacząć intensywniej dbać o skórę wokół oczu.

31 maja, niedziela

Wigilia Dnia Dziecka. Już dzisiaj jest mi niedobrze. Jaki samobójca wymyślił tak beznadziejne święto?

1 czerwca, poniedziałek, Dzień Dziecka

Zostałam zmuszona do rodzinnego uczestnictwa w obchodach Dnia Dziecka. Ubrałam się bardzo młodzieżowo, żeby nikt nie pomyślał, że Kasia mogłaby być moją córką. Już lepiej wyglądać na jej siostrę. Tę ładniejszą, oczywiście, i z innej matki.

Bruno zaserwował nam zestaw PRL-owski. Najpierw kino, potem kawiarnia „Kociak”. Właśnie tak zawsze spędzałam Dzień Dziecka z moimi rodzicami, choć wtedy w karcie były tylko trzy rodzaje deserów i piorunująco słodki koktajl truskawkowy. Aby przywołać dawne wspomnienia, zamówiłam właśnie ten koktajl oraz deser *Anula* z polewą jajeczną. Obie rzeczy smakowały obrzydliwie. Nie wiem, jak kiedykolwiek mogłam się tym zachwycać.

Kasia po raz kolejny okazała się dzieckiem wrednym i wypranym z podstawowych zasad dobrego wychowania. Kiedy stała z Brunem przy kasie, nagle odwróciła się i krzyknęła na cały głos:

– A dla ciebie, MAMUSIU, jaki deser?

Poczułam na sobie kłujący wzrok wszystkich osób z kawiarni. I tylko to spowodowało, że nie walnęłam nastolatki metalowym pucharkiem w łeb i nie wbiłam łyżki w jej ucho.

2 czerwca, niedziela

Institucja sąsiada jest zdecydowanie przereklamowana. Co gorsze, spoufalanie się z nim w przyszłości może mieć tragiczne konsekwencje.

Jakiś czas temu nasza sąsiadka (która mieszka po naszej lewej stronie) poinformowała nas, że jakaś gówniara grzebała przy samochodzie. Oczywiście dość szybko okazało się, że to Kasia, która zatrzasnęła sobie książkę z biblioteki

i próbowała filmowymi metodami otworzyć naszego Citroëna. Bruno jednak poczuł się wzruszony troską sąsiadki i nieopatrznie zaprosił ją „kiedyś tam” na kawę oraz obiecał rewanż.

Dzisiaj właśnie nadeszło to „kiedyś tam”. Około dwunastej pod naszym domem pojawiła się sąsiadka ze świeżo upieczonym ciastem. W popłochu wkopaliśmy gazety pod kanapę i szybko narzuciliśmy swetry na porozciągane dresy. Sąsiadka, chyba Eliza, rozsiadła się swoją całkiem sporą pupą i rozpoczęła monolog:

– Pan nie ufa tym spod trójki – mruknęła intrygująco, pakując sobie jednocześnie gigantyczny kawał ciasta. Do ust.

Bruno wyraził wstępne zainteresowanie.

– Siedzieli za sado-maso.

Zamurowało mnie. Pod trójką mieszka maleńki człowieczek, coś około metr pięćdziesiąt, z wąsikami i zaczesywaną elegancko grzywką. Czyżby nocami zakładał skórzane majtasy, maskę na twarz, a do rąk brał pejcz i ujeżdżał swoją korpulentną żonę? A może jest odwrotnie? Może to ona go bije? Do krwi?

– To chyba niemożliwe. – Mój mąż ambitnie podtrzymywał konwersację.

– Możliwe, możliwe. Mieli jakiś czas temu nielegalny interesik i ich przytknęli na parę miesięcy. Ale się widać jakoś wykręcili. – Sąsiadka była doskonale poinformowana.

– Ale naprawdę mieli salon sado-masochistyczny? – Bruno coraz bardziej wciągał się w rozmowę.

– Ja tam nie wiem na pewno, czy masochistyczny, ale tak się tu mówi. Bo niby za co mieliby siedzieć? – Wzruszyła ramionami.

No właśnie. Za co? Przecież to naturalne, że są zwyrodnialcami.

Po trzech godzinach Bruno zaczął się wiercić. Ale sąsiadka nie zdradzała chęci opuszczenia naszego domu.

– Ładnie się tu urządziliście – pochwaliła. – A ta panienska, co tu przyjechała, to siostrzenica? – Łypnęła żabim okiem.

– Nie, to moja córka.

Mój mąż jest zdecydowanie zbyt prawdomówny.

– A pani? – Sąsiadka przewierciła mnie wzrokiem.

– A moja nie.

– Znaczą pani nie jest matką?

– No nie. Nie jestem. – Poczułam się jak na przesłuchaniu.

– Hmm... – zamruczał babsztyl od ciasta, a ja dostałam gęsiej skórki.

Z piersi sąsiadki już, już wyrwały się kolejne pogłębiające nas pytania, gdy nagle pojawiła się Kasia. Zbiegła z góry ubrana w kurtkę i spytała:

– A wy jeszcze nie gotowi? Przecież film zaczyna się za dwadzieścia minut!

Film?

Wobec tak genialnego wybawienia oboje zerwaliśmy się na równe nogi i zaczęliśmy jedno przez drugie przeproszać sąsiadkę, która nieco niechętnie, ale jednak w końcu poszła do siebie. Na widok naszych min Kasia roześmiała się.

– Ale plotkara. A dwoje dorosłych ludzi nie umie spławić takiego babsztyla.

Popatrzyliśmy na siebie.

A potem na wszelki wypadek pojechaliśmy jednak do kina, bo nigdy nie wiadomo, czy sąsiadka nie ma ogromnej lunety, przez którą obserwuje nas zza firanki, i czy nie robi stosownych notatek.

3 czerwca, poniedziałek

Od rana siedziałam w kawiarence i grałam bezmyślnie w kulki. Niestety, ruch ostatnio jest nie największy. Coraz mniej ludzi potrzebuje odosobnienia w kawiarenkach. Nie dziwię się, że Eliza woli tu spędzać wieczory i noce.

W prawym dolnym rogu zamigotała żółta koperta. Gadu-Gadu. No wiem, trochę archaizm, ale jakoś ciągle z niego korzystam. Choć listy które dostaję, to czasem czarna rozpacz. A o sposobach zaczepek można by napisać przewodnik. Na przykład ostatnio dostałam liścik z pytaniem, czy lubię parówki. W takiej sytuacji nigdy nie wiadomo, co odpisać. Bo albo pyta zwykła osoba, która właśnie je śniadanie i interesuje ją twój pogląd na polskie wyroby wędliniarskie, albo zбочeniec, który obojętnie co napiszesz, rozwinie wątek parówki w wiadomym kierunku.

A co zrobić z pytaniem: „Czy nie sądzisz, że Reksio był tak naprawdę wrednym psem?”

Kliknęłam na żółtą kopertę.

„Cześć, mam wolną godzinkę i chętnie z tobą pogadam”.

Banalne, ale ostatecznie i tak się nudzę. Odpisałam niezwykle zwięźle „Cześć” i dodałam rysunek tańczącego stworka. Niestety, nic innego nie przyszło mi do głowy.

– „Co robisz?” – o Boże, trafiła mi się najgorsza wersja konwersacji. Z osobą, która być może i chce pogadać, ale tak naprawdę nie ma o czym.

– „Siedzę w pracy i oglądam... chomiki” – to chyba wystarczająca prowokacja do pogłębienia naszej pasjonującej rozmowy.

– „Aha”.

Chomiki jej/go nie wciągnęły.

– „A jak masz na imię?”

Niestety, to pytanie spowodowało, że rozłączyłam się z moim rozmówcą w obawie, że porazi mnie swoją błyskotliwością. Jestem zmuszona przeczekać tych parę godzin, do czasu aż nie zjawi się Eliza. Może przyniesie najświeższe plotki związane z Barbiowcem.

Po południu

Nareszcie coś się dzieje. Barbiowiec po paru tygodniach przesiadywania w zamkniętym pomieszczeniu z lalkami Barbie, sztuk siedem, podobno jedną rozczłonkował.

Eliza nie chciała wdawać się w szczegóły. Wreszcie do niej dotarło, że źle ulokowała uczucia i musi „ponieść tego konsekwencje”.

Ciekawe jakie?

Zresocjalizuje mordercę plastiku?

4 czerwca, wtorek

Poszłam dzisiaj na zakupy. Sama, bo Kaja zadzwoniła i w ostatniej chwili

odwołała naszą wspólną wyprawę, tłumacząc się dość niejasno.

Wpadnie jutro, wtedy „powie prawdę”.

Co to z kolei może oznaczać?

W przemyśle bielizniarskim doszło do sabotażu kobiet, które uważają, że pupa powinna, przynajmniej czasami, być zasłonięta bielizną typu majtki. Po godzinnych poszukiwaniach prostych, czarnych majtek z delikatnym haftem lub ewentualnie koronką, poddałam się. Wszechobecność stringów przypominających poskręcane sznurki z kawałkiem szmatki w kształcie trójkąta zmusiła mnie do głębokiej refleksji.

Czyżby Konrad, ten od kotka, którego planował kopnąć, miał rację? Otóż jego zdaniem, kiedyś, gdy chciało się zobaczyć damską pupę, należało zdjąć majtki (wybranki, nie własne). Proste, nieskomplikowane i jakże erotyczne. Teraz natomiast, aby zobaczyć majtki, należy rozchylić pupę i dobrze poszukać.

Zgadzam się z tym całkowicie. Co gorsza, im więcej szukania, tym wyższa cena. Erotyczna zabawa w chowanego w nowej, współczesnej wersji stringowej.

5 czerwca, środa

Siedzimy z Kają w moim pokoju i zastanawiamy się co robić. Otóż Kaja jest w ciąży. Niestety na pewno. Nie ma pojęcia, jak to się stało (bierze tabletki), choć podejrzewa, że metodą tradycyjną. Ona, mężczyzna (Adaś), łóżko i seks. I zdaje się – zapomniana pigułka.

Problem polega na tym, że Kaja właśnie rozpoczęła karierę doskonale zapowiadającej się piosenkarki (na razie w chórkach pewnego dojrzałego, a nawet przejrzałego artysty) i w kontrakcie nie ma nic o wymachiwaniu na scenie wielkim brzuchem. To mogłoby przecież zasłonić wokalistę.

Drugim problemem jest ojciec dziecka. Przystojny, owszem i całkiem intrygująco zaopatrzony w fundusze potrzebne do wystawnego życia, ale jednocześnie zdecydowanie kandydat najgorszy z możliwych. A to z powodu dwóch pierwszych małżeństw, które ma już na szczęście za sobą, oraz trzeciego, które niestety ciągle jeszcze trwa. Ukochany Kai twierdzi co prawda, że „tylko ona jest miłością jego życia”, ale my znamy te przyrzeczenia, chociażby z poradników *Dlaczego nie należy wiązać się z żonatymi mężczyznami*. Trzy skonsumowane związki Adasia pociągają za sobą kolejne trzy poważne przeszkody, które stoją na drodze do ich ewentualnego przyszłego szczęścia. Są to dwie dziewczynki i jeden chłopczyk, cała trójka naturalnie spokrewniona, choć z różnych matek.

Osobiście odradzam jakiegokolwiek wspólne kontakty.

Kaję dodatkowo niepokoi fakt formalnego istnienia trzeciego związku oraz nieświadomość żony Adasia. Po pochłonięciu ogromnej paczki pierniczków alpejskich w naszych rozważaniach nie posunęliśmy się ani o krok.

Co robić?

6 czerwca, czwartek

Nie mam z kim przedyskutować problemu Kai. Bruno zawsze odradzał jej związek z Adasiem, dopatrując się w nim cech żigolaka, z opaloną do przesady gębą i denerwującą pewnością siebie. Dodatkowe trzy żony były kolejnym powodem, dla

którego mój mąż na sam dźwięk imienia „Adaś” wywracał oczami i pukał się znacząco w czoło. Zdecydowanie nie znajduję w nim wsparcia. Po namyśle zadzwoniłam do mamy.

– O Boże. – Tyle wydusiła z siebie na początek.

– To już wiemy. Nie jest dobrze – poinformowałam ją ze zniecierpliwieniem, bo w końcu od dojrzałej i doświadczonej kobiety mam prawo wymagać więcej.

– Ja bym urodziła. Albo nie – zależy jakie Kaja ma poglądy. Ale ani słowa Adasiowi. Niech dziewczyna nie pakuje się w kolejne gówno.

To ma być rada? Urodzić albo nie?

Na dodatek moja matka skandalicznie się wyraża.

7 czerwca, piątek

W jednym mama miała rację. Kaja nie powinna decydować się na trwały związek z Adasiem, bo tym samym wpakuje sobie na głowę pasierba razy trzy. Nie wiem, na ile okrutny może być trzyletni chłopiec, ale te dwie podrastające dziewczynki okażą się z całą pewnością nie jednym, ale dwoma gwoździami do trumny.

Ja to akurat wiem.

I z każdym dniem upewniam się coraz bardziej.

– Jedziemy razem do Szwecji – oznajmiła mi na przykład dzisiaj Kasia i klepnęła zdecydowanie zbyt poufale po plecach. To, że razem złapałyśmy na słoninę wróbelka nie upoważnia jej do tak skandalicznego zachowania wobec, było nie było, macochy.

Oczywiście znowu nic nie powiedziałam. Asertywność znam tylko z nazwy.

– Fajnie – wymamrotałam wbrew sobie i własnej duszy, która krzyczała „nie” z pewnością jeszcze głośniejszą, niż czyniłaby to trzecia żona Adasia, gdyby dowiedziała się, że jej mąż znowu coś spłodził.

– Jedziemy około dwudziestego, po zakończeniu roku szkolnego. – Bruno cmoknął mnie w czubek głowy i obiecał, że będziemy mieli superwakacje.

Ha. Ha.

Super byłyby wtedy, gdyby Kasia pomyliła promy albo gdyby szwedzcy myśliwi pomylili ją z łosiem i odstrzelili jej przynajmniej jedną nogę.

8 czerwca, sobota

Kaja siedzi ze mną w kawiarence i wypłakuje mi się w mankiet. Problem dziecka nie posunął się ani trochę do przodu. Nie pojawił się też okres, choć Kaja podobno próbuje go sztucznie wywołać. Poinformowałam ją, że była już przecież u ginekologa, a ten kategorycznie stwierdził, że to trzeci miesiąc. Moim zdaniem szanse na okres są niewielkie.

Kaja waha się, czy powiedzieć Adasiowi.

Argumenty ZA:

- alimenty,
- dziecko ma ojca,
- ewentualna wspólna przyszłość.

(Po przeczytaniu ostatniego punktu, szybko go skreśliłyśmy).

Argumenty PRZECIWIW:

- dziecko ma ojca – Adasia,
- ewentualna, wspólna przyszłość,
- dorobek w postaci dwóch dziewczynek i jednego chłopczyka, który urośnie i może zostać bandytą,
- zemsta trzeciej żony,
- satysfakcja dwóch poprzednich.

O godzinie czternastej zrobiliśmy jednak krok do przodu.

Kaja nie powie Adasiowi. Kolejnym punktem posiedzenia jest rozpatrzenie wszystkich za i przeciw samego urodzenia dziecka.

Argumenty ZA:

- dzidzius (nie rozumiem tej notatki, ale to w końcu Kaja ją napisała),
- najwyższy czas na dziecko (33 lata),
- moda na macierzyństwo w pojedynkę (prasa wychwala takie mamy i często pisze o nich artykuły).

Argumenty PRZECIW:

- brak męża,
- brak środków finansowych odpowiednich dla potrzeb Kai i dziecka,
- macierzyństwo w pojedynkę które mimo mody Kaja uznała jednak za pewne utrudnienie,
- koniec wolności,
- zakopanie się w świat pieluch, kup i papek,
- koniec z karierą piosenkarki,
- rozpacz mamy Kai,
- i ojca też.

Pomimo porażającej większości minusów, Kaja po trzech godzinach przemyśleń, zdecydowała się urodzić.

9 czerwca, niedziela

Mam zostać matką chrzestną.

10 czerwca, poniedziałek

Od rana żółta koperta.

„Cześć. Mam na imię Adam. Pogadamy?”

Adam??? Wobec takiego nietaktu, wysłałam mu rysunek dupy, prawdopodobnie w stringach, bo gołej, i szybko się rozłączyłam, zanim zalałaby mnie fala wulgarnych obelg.

11 czerwca, wtorek

Ktoś przebił nam wszystkie opony w citroenie, a na płocie wymalował napis „Gówna”.

Wściekle zielonym sprayem, więc sąsiedzi mieli ubaw.

12 czerwca, środa

Bruno pół nocy bawił się w partyzanta i w ciemnym pokoju przez lornetkę obserwował naszą ulicę. Kiedy spytałam, kiedy w końcu zamierza się położyć, oznajmił, że nowy komplet opon przynajmniej na kilka dni wybił go ze snu. Teraz zamierza złapać sukinkota i przebić mu bębunki w uszach, żeby zobaczył jak to miło.

Nie wiem, co wspólnego ma jedno z drugim, ale wobec tak agresywnej postawy mojego męża, poczułam się bezradna.

Rano znalazłam go śpiącego na kanapie, z odcisniętą na twarzy lornetką. Wstał lekko pomięty, ale dumny, że obronił nas przed wandalami.

Na płocie obok wyrazu „gówno” pojawił się drugi „zjady”, dzięki czemu całość układa się w fascynujący wyraz „gównozjady” i chyba jest obelgą wystosowaną w naszą rodzinę. Bruno postanowił wynająć agencję detektywistyczną, zaraz potem jak zrozumiał, że nie dojedzie do pracy citroenem z czterema przebitymi oponami.

13 czerwca, czwartek

Jurek to imię naszego wybawcy. To nasz prywatny detektyw z agencji „Pulp Fiction”, który obiecał, że tej nocy przestępca z całą pewnością zostanie ujęty i raz na zawsze odechce mu się przebijania opon oraz obrażania ludzi na murach.

Niestety tej nocy zbrodniarz musiał mieć sprawę w innych rejonach naszego miasta, bo u nas się nie pojawił. Jurek każe być dobrej myśli, bo to podobno „celowa zmyłka”. Miło, że spędzi z nami jeszcze jedną noc.

14 czerwca, piątek

Kaja będzie matką. Wiem to na pewno, bo już kupiła wyprawkę (póki ma pieniądze, jak powiedziała) oraz wybrała imiona: Vigo i Zosia. O ile Zosię zaakceptują w urzędzie, obawiam się, że Vigo może mieć spore problemy z rejestracją. Kaja sama nie wie, skąd ten pomysł i czy Vigo to na pewno imię. Ale ładnie brzmi.

Poza tym świadomie, rzuca karierę piosenkarki i otwiera biuro matrymonialne. A właściwie nie tyle otwiera, co przejmuje po swojej sąsiadce, która na jakiś czas emigruje do Francji, ale nie chce zamykać interesu. Brzuchata Kaja będzie zatem kojarzyć pary tylko po to, by za jakiś czas też były brzuchate.

Pierwsza w nocy

Jurek z „Pulp Fiction” jest specjalistą pełną gębą. Po „celowej zmyłce” sukinkot rzeczywiście wybrał się ponownie w okolice naszego domu w celu zdezelowania samochodu (miał przy sobie śrubokręt i zielony spray). Jurek jednak był szybszy. Po dwukrotnym okrzyku „kurwa, kurwa” złapał przestępcę i przyprowadził przed oblicze zaspanego Brunona.

Mój mąż natychmiast otrzeźwiał.

To był pan Romek. Ten od zgorzeli.

15 czerwca, sobota

Bruno czuje się winny. Uważa, że to on sprowadził pana Romka na złą drogę. Kiedy jednak wypłacał Jurkowi dwa tysiące złotych, przestał mieć wyrzuty sumienia. Zaklął nawet pod nosem, a Jurek z „Pulp Fiction” odjechał granatowym

volvo, ciągnąc za sobą zapach przygody i smród diesla.

16 czerwca, niedziela

Dzwoniła moja matka.

Podobno pod wpływem problemów Kai wpadła na genialny pomysł. Zatrudniła się jako pomoc społeczna w miejscowym urzędzie do spraw nieletnich, gdzie będzie udzielać psychologiczno-matczynego wsparcia nastoletnim matkom, nastoletnim narkomanom i całej reszcie nastoletniego, niemieckiego marginesu. Oficjalnie zaczyna w lipcu, ale już teraz ma pierwszego „pacjenta”. Spłodził dziecko, ale naturalnie nie ma z czego żyć. Narzeczona sugeruje, żeby sprzedał samochód, tyle że tego akurat nie może zrobić, bo samochód „kocha bardziej niż swojego przyszłego potomka”. Tak przynajmniej twierdzi, a narzeczona ma mu to za złe i zastanawia się czy facet jest odpowiedzialny.

Rzeczywiście trudne pytanie.

Ale mama z pewnością im pomoże. Zastanawiające jest jednak to, że ona nie mówi za dobrze po niemiecku, co dość szybko może doprowadzić do jakiejś tragedii.

Kasia wyrwała mi słuchawkę i spytała, czy *feng shui* nadal działa?

Tracę grunt pod nogami.

17 czerwca, poniedziałek

Za parę dni koniec roku szkolnego. Kasia ma podobno zdać do następnej klasy, mimo swoich skandalicznych wyskoków. Będzie mieć tylko obniżoną ocenę z chemii, języka polskiego, a także naciąganą trójcę z WF-u. Za ten drażek. O zachowaniu w ogóle nie wspominam.

Za to Dominik okazał się prymusem. Jego fascynacja współczesną fotografią artystyczną oraz teatrem awangardowym spowodowała, że nauczyciele go pokochali. Podobno mówił do nich tak zawilym językiem, że na wszelki wypadek postawili mu wysokie oceny. Sami mieliśmy próbkę jego możliwości dzisiaj przy kolacji, bo wpadł odwiedzić Kasię.

– Oszalałem na punkcie spektaklu *Pompatyczna opera elektroliryczna*. Patrząc na te postaci i myślę: kim są „głośniko-ludzie”, czy piękna nieznajoma wywołuje w nich fragmenty swoich dźwiękowych wspomnień? A może prowokuje ich do opróżnienia zawartości własnej pamięci?

Czy to powiedział czternastolatek? Czy ja coś przegapiłam?

Bruno z wrażenia zjadł jedenaście kanapek z żółtym serem i cały czas wpatrywał się w Dominika.

Mam nadzieję, że chłopię nie uznało nas za skończonych idiotów.

18 czerwca, wtorek

Pakujemy się. W piątek wyruszamy do Szwecji, nie wiem dokładnie gdzie, bo mój mąż robi z tego ogromną tajemnicę. Ma to być jednak „najwspanialszy i najbardziej niezapomniany urlop” naszego życia. Brzmi obiecująco.

Kasia niestety też się pakuje. Wolałabym co prawda, żeby w końcu wróciła do matki, ale zdaje się, że ona ciągle nie bierze takiej możliwości pod uwagę. Może w tej Szwecji straci do mnie resztki sympatii?

19 czerwca, środa

Kaja wygląda kwitnąco. Oznajmiła Adasiowi, że jest „banalnym dupkiem z niebanalnym portfelem” i ona bardzo dziękuje za dalszą kopulację. Oczywiście natychmiast obiecał rozwód, klnąc się na życie dziecka (ciekawe którego?), że z jego obecną żoną od dawna nic go nie łączy.

Kaja spojrzała na niego z wystudiowaną przed lustrem pogardą i kazała zabierać zgrabny tyłek odziany w dżinsy Bossa raz na zawsze. Walczył z godnością jeszcze około dziesięć minut, a następnie opuścił mieszkanie mojej przyjaciółki.

– Ale zabrał stół – oznajmiła przez telefon.

– Stół?

– Stół. Podobno na pamiątkę. Jutro mam mu zostawić pod drzwiami lampę i telewizor. Też na pamiątkę. Ale kutwa. – Kaja się roześmiała i jak podejrzewam pogłaskała się z namaszczeniem po brzuchu. Tak robi większość kobiet w ciąży.

– Przypominam ci jednak, że mały, albo nie daj Boże mała, będzie mieć po nim geny. – Sprowadziłam ją na ziemię.

– Co ty! Przecież w ogóle się nie przyznam, kto jest ojcem.

No tak. W tej sytuacji nawet geny będą zdeorientowane.

20 czerwca, czwartek

Kasia przyniosła świadectwo, ale już od progu zaznaczyła, że uważa świętowanie ocen za przeżytek i poszła do siebie. Postanowiliśmy z Brunonem uszanować tę nową tradycję.

Obie babcie też zostały do tego zmuszone.

Wieczorem wpadłam jeszcze do kawiarenki, żeby upewnić się, czy wszystko w porządku i czy Eliza na pewno sobie sama poradzi. Widzę, że znowu wróciły jej rumieńce. Mordercę Barbie odpuściła sobie chyba na dobre, podobno nie wzięła nawet udziału w rozprawie końcowej, na której uznano go za częściowo niepoczytalnego i skierowano go na specjalistyczne badania w jakimś górskim ośrodku. Eliza dokładnie nie wiedziała gdzie, wyraziła jednak nadzieję, że facet stamtąd nie ucieknie i nie rozszarpie po drodze górskiej kozicy.

21 czerwca, piątek

Cały dzień w samochodzie. Oczywiście z tyłu.

22 czerwca, sobota

Kasia nie pomyliła promu i wysiadła z nami w Malmö. Potem męczyłam się z nią jeszcze około siedemset kilometrów, znowu samochodem, tym razem w głąb łądu. Kiedy wieczorem dotarliśmy na miejsce (a właściwie prawie na miejsce, bo na razie do właściciela domku, w którym mieliśmy zamieszkać) byłam zielona. Było mi niedobrze, bolał mnie brzuch i chciałam jak najszybciej wymoczyć się w wannie z gorącą wodą i olejkiem eukaliptusowym. Bruno zresztą obiecywał, że jedziemy do rajku.

Właściciel, jak się okazało, mówił wyłącznie po szwedzku, ale po piętnastu minutach zrozumieliśmy, że mamy jechać za nim. Znowu zapakowałam się do samochodu, tym razem jednak jechaliśmy leśnym duktem za starą dekawką

Szweda, która wzbijała takie kłęby kurzu, że nasz samochód zmienił kolor z bordowego na beżowy.

W zasadzie nie muszę jeść kolacji, bo mam gardło całe w piachu. Szwed tymczasem porwał naszą najcięższą torbę, a zaznaczam, że miał chyba ze sto lat, rozchylił krzaki i zniknął. Spojrzeliśmy na siebie z lekkim przerażeniem, w końcu każde z nas chwyciło jakiś pakunek i pognaliśmy za dziadem. Po dziesięciu minutach intensywnego marszu, przejściu przez „mostek diabła” i ciągłym wypatrywaniu siwiejącej głowy Szweda, dotarliśmy pod domek.

Był rzeczywiście piękny. Małeńki, ale przytulny. Stał nad samym jeziorem, a wokół niego rosły dzikie poziomki. Jestem przekonana, że w środku czeka na mnie gigantyczna, drewniana balia pełna wody z gorących źródeł i może jeszcze z dodatkiem drożdży winnych oraz ekstraktów olejku z pestek winogronowych. Będziemy, siedząc w tej balii, naturalnie razem z Brunonem (Kasia pójdzie na rekonesans i się zgubi), popijać czerwone wino, a na włosy nałożę sobie maseczkę z miodu lub miąższu ze świeżych winogron.

23 czerwca, niedziela

Nadal nie mogę otrząsnąć się po brutalnej konfrontacji marzeń z rzeczywistością.

Wczoraj zamiast zanurzenia się w balii z gorącą wodą, otrzymałam lodowaty prysznic. Kiedy wreszcie wypakowaliśmy wszystko z bagażnika i dotaszczyliśmy pod domek, stuletni dziad zaprosił nas do środka.

Pięknie. Drewniana podłoga, wielkie łóżko, stary piec, stary stół i stare krzesła. To w zasadzie wszystko.

– Gdzie jest łazienka? – spytałam.

Bruno na migi wyjaśnił dziadowi o co chodzi.

Dziad na migi pokazał wyjście.

Kilka metrów za domem stała drewniana budka z okienkami, w których zawieszane były kraciaste firanki. A w środku niespodzianka! Drewniana deska z dwoma otworami.

Nasze szwedzkie WC.

– Nie, ale ja pytam, gdzie jest łazienka. – Uśmiechnęłam się do dziada i zaczęłam udawać, że w rękę trzymam prysznic, którym się oblewam.

Dziad pokręcił głową.

– On chyba nie rozumie. – Podałam się.

– A może tu nie ma łazienki? – Bruno popatrzył na dziada i jeszcze raz spróbował wyjaśnić o co chodzi.

Tym razem dziad pojął. Pokazał ręką przed siebie i zaprowadził nas kilkanaście metrów dalej do źródła.

– Rewelacja. – Bruno i Kasia nie mogli wyjść z podziwu. – Roma, tu nie ma łazienki, tylko prawdziwa woda źródłana, którą musimy sobie sami nosić.

„Roma, tu nie ma łazienki”. Czy to powiedział mój mąż?

– Cudownie, prawdziwa natura, tylko przyroda i my – zawołałam szczerze zrozpaczona, a mój wewnętrzny głos zawył: „Wody!!!, Gorącej wody!!!”.

Oczywiście nikt go nie usłyszał.

Potem jeszcze się okazało, że w domku nie ma prądu, lodówka jest zasilana kompresorem na gaz, a w piecu trzeba napalić. A wcześniej narąbać drzewa. A jeśli chodzi o zakupy, to najbliższy sklep jest po drugiej stronie jeziora. Środek transportu – łódka. Inny rodzaj zdobycia pożywienia – ryby. Jedna wędka jest. Drugą trzeba zrobić samemu. A koło WC są podobno najokazalsze robaki.

Fuj! Ohyda!

Pomocy!

26 czerwca, środa

Nie pisałam dwa dni, bo było mi za zimno.

27 czerwca, czwartek

Urlop przebiega poprawnie. Bruno codziennie rąbie drewno, Kasia lub ja nosimy wodę, potem pływamy sobie na zakupy, a w ciągu dnia szukamy łośi. Bruno, jako profesjonalny weterynarz, postanowił bowiem zapoznać się z łośiem i zgłębić jego obyczaje, a Kasia wymyślić gadżet łośiowy, którym ma zaimponować Dominikowi. Drapak do poroża? Nadrzewny oczyszczacz sierści?

Łowienie ryb nawet mi się spodobało, bo nie używaliśmy robaków. Kasia nie miała serca przebijać ich ciał „okrutnym haczykiem”, poza tym jest świeżo po obejrzeniu filmu *Siedem lat w Tybecie*, a tam robaki się szanuje. Korzystaliśmy więc z chlebowych kulek i pewnie dlatego przez cały tydzień nie udało nam się złowić ani sztuki. Mimo że łowiliśmy o każdej porze dnia i nocy, w deszcz (owinęłam się workami na śmieci, ale i tak przemokłam), mżawkę i burzę, a nawet w gęstej mgle.

Siedem lat w Tybecie... Skoro tak polubiła ten film, może zacznę jednak zbierać na wycieczkę dla niej? Żeby chociaż na rok starczyło...

28 czerwca, piątek

Nie mogę przełamać niechęci do toalety z kraciastymi firankami. Dlatego też wykradam się nocą do lasu, wykopuję dziurkę, a po wszystkim przykrywam ją mchem i za każdym razem inaczej oznaczam. Kasia spytała mnie, co oznaczają kopczyki w lesie uformowane w kształcie serduszek i ozdobione patykami, szyszkami, kwiatkami, skorupkami od jajek, a nawet skarpetkami Brunona.

Udałam zdziwioną.

Dzisiaj idziemy na nocne poszukiwania łośia.

Szósta rano

Jestem nieprzytomna.

O północy poszliśmy w ciemny las. Bruno oświetlał latarką drogę w poszukiwaniu łośiowych bobków. Kiedy znalazł świeżą kupkę, zaczajaliśmy się w krzakach i prawie bez oddechu siedzieliśmy od godziny do trzech. Straciłam rachubę. Ścierpły mi nogi, było zimno i mokro.

Nagle coś poruszyło się w krzakach naprzeciwko.

Bruno położył palec na ustach i powoli ruszyliśmy w stronę wydobywającego się dźwięku.

Zanim jednak dotarliśmy, to „coś” poruszyło się w innych krzakach. Znowu więc

ruszyliśmy, i tak chyba z godzinę. Wydaje mi się, że to „coś” najwyraźniej robiło nas w balona, dlatego zasugerowałam powrót do chatki. Kasia z Brunonem odmówili. W końcu, tak gdzieś w okolicach godziny piątej, kiedy dziewczyna słodko chrapała przykryta śpiworem, a mój mąż wydawał przez nos intrygujący świst, pojawił się łoś.

Czy udało nam się nawiązać z nim bliższy kontakt? Czy oswoiliśmy go chociaż troszeczkę?

Otóż nie bardzo. Po prostu nie obudziłam ani Brunona, ani Kasi, tylko sama poszłam spać.

Nie jestem wyrachowana. Ani wredna. Po prostu śpiąca.

29 czerwca, sobota

Wracamy.

Dostaliśmy od dziada słoik malinowych konfitur na pożegnanie, a Kasia miniaturowe poroże łośia. Ponieważ nie mieliśmy żadnego polskiego gadżetu, Bruno wręczył dziadowi polski pasztet z indyka, odrobinę napoczęty.

Dziad był wzruszony. Chyba.

30 czerwca, niedziela

Siedziałam dwie godziny w wannie z gorącą wodą. Kiedy stygła, dolewałam wrzątku, a na twarz nałożyłam wszystkie maseczki, jakie znalazłam w naszym domu. Nawet piersi popsikałam samonośnym stanikiem, choć efekty okazały się podobne do poprzednich.

Zapach łośia powoli ze mnie wywietrzał.

1 lipca, poniedziałek

Czy ja jestem zmuszona spędzić dwa miesiące z Kasią, która zdaje się nigdy nie planuje żadnych wakacji czy ferii w pojedynkę albo przynajmniej z Dominikiem i jego rodziną? Dlaczego szkoła nie organizuje przymusowych wyjazdów do kamieniołomów dla osób ze skandalicznym zachowaniem?

2 lipca, wtorek

Pojechałam do pracy. Eliza po tygodniu mojej nieobecności sama zmieniła się w komputer. Nawet odrobinę pozieleniała, ale dzielnie wysłuchiwała opowieści o moich szwedzkich przygodach. Dopiero po godzinie cichym głosem zapytała, czy może iść do domu i trochę się przespać.

Znowu migająca, żółta koperta.

„Tu Adam. Dlaczego ostatnim razem pokazałaś mi gołą dupę? Czy to jakaś forma prowokacji?”

Kolejny zboczeniec.

3 lipca, środa

Kaja przyszła dzisiaj do kawiarenki i przez pół godziny wypinała brzuch. Niestety, niewiele widać, ale w imię przyjaźni zamruczałam zachęcająco.

– Muszę zmienić garderobę. – Westchnęła, ale wyglądała na uszczęśliwioną. Byle

nie urodziła córeczki.

Skończył mi się krem pod oczy za trzysta złotych. Nie widzę żadnej różnicy, pomimo że każdego wieczoru nakładałam potrójną warstwę. Rano miałam tłustą poduszkę i przyklejone do twarzy włosy, a oczy otwierałam z wielkim trudem. Wydawało mi się jednak, że dzięki temu osiągnę potrójny efekt. Niestety, zmarszczki wywołane pojawieniem się Kasi w moim domu i życiu nie uległy spłyceciu.

Być może powinnam zareklamować krem lub poważnie porozmawiać ze sprzedawczynią.

4 lipca, wtorek

Eliza chce wyjechać. Naturalnie nie mam jej tego za złe, ale to oznacza jednocześnie, że w kawiarence będę musiała spędzać cały dzień i pół nocy. Z jednej strony – doskonale, nie muszę się przejmować, że Kasia siedzi w domu i że jestem narażona na nieustający kontakt z jej kostropatą twarzą, z drugiej jednak – prawie w ogóle nie będę widywać się z Brunonem. To z kolei może wykorzystała nastolatka i zacząć wprowadzać w życie plan obrzydzenia mnie własnemu mężowi i zmuszenia go do powrotu na dawne, rodzinne łono.

Nie wiem, co robić. Eliza zupełnie przypadkiem może doprowadzić moje małżeństwo do ruiny.

Wieczorem

Nie ma niebezpieczeństwa.

Eliza wyjeżdża tylko na weekend.

5 lipca, piątek

Migająca żółta koperta od samego rana.

Amor: „Cześć. Mówię od razu, że jestem brzydka i nie mam długich blond włosów, ale chcę pogadać”.

Dziwne.

Co mnie obchodzą czyjeś włosy?

„A ja jestem kobietą i długie blond włosy na twojej głowie są mi zupełnie obojętne” – odpisałam, bo i tak się nudzę.

Amor: „To jeszcze lepiej. Z kobietami czasem zupełnie fajnie się rozmawia”.

No cóż. Ze mną na pewno.

Amor: „Mam problem. Naprawdę jestem brzydka i nie wiem, czy kiedyś to się zmieni”.

Operacja plastyczna zmieni wszystko. Oczywiście tego nie napisałam, bo odniosłam wrażenie, że po drugiej stronie mam do czynienia z osobą nieletnią, która chyba nie ma teraz poważniejszych zmartwień. Postanowiłam jednak być wyrozumiała. W końcu, skoro moja matka bawi się w psychologa z niemieckimi pokurczami, to ja też mogę spróbować.

„Ja też kiedyś byłam brzydka. Ale wyrosłam i wszystko się zmieniło” – nakłamałam banalnie, bo w końcu jakie to ma znaczenie. Nigdy nie byłam brzydka.

Amor: „Czyli mam szanse?”.

Niestety, tego nie wiem na pewno. Być może jej twarzy nic już nie pomoże, tak jak niewiele da się zrobić z twarzą Kasi...

„Jestem o tym całkowicie przekonana. Poza tym, nawet najpiękniejsze modelki w dzieciństwie były wyśmiewane przez swoich kolegów z klasy” – odpisałam z pełnym zaangażowaniem.

Swoją drogą, ciekawe które?

Amor: „Które?” – druga strona też najwyraźniej była ciekawa.

„Nie mam niestety pamięci do nazwisk” – wykręciłam się w porażająco inteligentny sposób. „Muszę wracać do pracy” – zakończyłam szybko i rozłączyłam się.

Uff. Wirtualne doradztwo to ciężki kawałek chleba. Być może moja matka bardziej nadaje się do tej pracy. Swoją drogą, ciekawe, jak jej idzie.

6 lipca, sobota

Spałam do dziewiątej. Godzinę później, z zapuchniętymi oczami (krem mi się przecież skończył), wylądowałam w kawiarence. Bruno twierdzi, że ja i Eliza musimy znaleźć jakieś zastępstwo. Problem polega na tym, że same zarabiamy śmieszne pieniądze, a zatrudniając jeszcze jedną osobę, musiałybyśmy oddać część naszego psiego zysku.

Nie odbieram dzisiaj żadnych migających kopert. Jestem nieprzytomna. Dobrze, że jutro zamknięte. Będę spała pół dnia, a potem wstanę i otruję Kasię.

7 lipca, niedziela

Wykonałam tylko połowę planu – obudziłam się o pierwszej.

Kasia nadal żyje.

8 lipca, poniedziałek

Dzwoniła mama. W nowej pracy idzie jej podobno świetnie, choć czasem zdarzają się drobne problemy z udzielaniem porad. To tak jak mi.

W ubiegłym tygodniu trafiła jej się nastolatka, której chłopak skonstruował urządzenie do obcinania głowy kanarkowi. Taką miniaturową gilotynkę. I ta dziewczyna nie wie, czy powinna nadal z nim być, czy może raczej dyskretnie się ulotnić. Podobno gilotynka działa, i ona boi się, czy w przyszłości ukochany nie wymyśli podobnego dzieła, przeznaczonego tym razem dla niej.

Spytałam mamę, co poradziła.

Otóż najpierw kazała przynieść gilotynkę, przetestowała ją na kanapkach, bo kanarka nie miała pod ręką, a nad odpowiedzią właśnie się zastanawia. Nie bardzo rozumiem dlaczego. Mama wyjaśniła mi, że konstruktor tego romantycznego urządzenia jest również jej pacjentem i zwierzył się, że dwie największe miłości jego życia to właśnie wynalazki i dziewczyna. Ta, która ma wątpliwości. I gdyby jedną z tych rzeczy mu odebrano, wysadziłby w powietrze Urząd do Spraw Nieletnich.

Mama pewnie poczuła się zagrożona.

9 lipca, wtorek

Kasia wstaje coraz później i demoluje kuchnię w celu zrobienia śniadania. Na

moją dyskretną propozycję chowania masła do lodówki zamiast do pojemnika na chleb, odparła:

– Potrzebuję zjełczałe.

Do czego? Czy ona zamierza nas otruć?

W pracy coraz mniej ludzi. To przecież niemożliwe, żeby wszyscy nagle zaczęli doskonale zarabiać i pojechali na wakacje. Jednak w kawiarence siedzi zgarbiona brunetka i chlipie w ekran (może jej ukochany skonstruował urządzenie do niewykrywalnego uprawiania seksu z innymi kobietami?) oraz obrzydliwy kilkulatek, który przy każdym zestrzeleniu nauczyciela w budynku szkolnym wydaje z siebie fascynujące okrzyki (nowa, piracka gra o przewrotnym tytule *Witaj szkoło*).

Kliknęłam na żółtą kopertę.

Amor: „Przestałam dogadywać się z matką”.

To znaczy, że skończyła minimum dziesięć lat. W tym wieku mniej więcej dziewięćdziesiąt osiem procent potomków przestaje rozumieć własnych rodziców.

„Dlaczego?” – po dziesięciu minutach intensywnego myślenia, spłodziłam takie właśnie pytanie.

Amor: „Ona nie akceptuje tego, co mówię, robię, jak się ubieram i z kim spotykam. Na wszystko reaguje krzykiem”.

Oto gotowe zdanie z wypracowania *Moi rodzice*.

„Też krzycz. Szybko do niej dotrze, że jak się będziecie obie wydzierać, to żadne porozumienie nie będzie możliwe” – moja własna matka nie byłaby tym razem lepsza. Poza tym nawet prof. Santorski nie wymyśliłby bardziej rewolucyjnej metody na współczesne relacje rodzic–dziecko.

Amor: „No co ty? Jak raz krzyknęłam, dostałam ścierą przez łeb”.

No tak. Zapomniałam, że rodzice ciągle jeszcze stosują wobec własnych dzieci przemoc fizyczną, mimo ostrzeżeń gazet typu „Życie na gorąco” o rosnącej wśród nieletnich przestępczości. Przecież taka gówniara śmiało może oddać i to zdaje się ze zdwojoną siłą.

„To odwrotnie. Zaczynj mówić tak cicho, żeby twoja matka musiała przestać wrzeszczeć, jeśli będzie chciała cokolwiek usłyszeć” – przy mnie doktor Rybka to początkujący student psychologii z nie najlepszymi rokowaniami.

Amor: „Ale ona nie chce w ogóle słuchać. Chce tylko wykrzyczeć swoje i więcej do tematu nie wracać. Nie dziwię się, że ojciec ją zostawił”.

No proszę. Niechący biorę udział w rodzinnym dramacie. Dziecko rozwodników, na dodatek brzydkie. I ja – niezależny uczestnik, który udziela mądrych i roztropnych porad.

Wysłałam kwiatka i pod pretekstem powrotu do pracy pożegnałam się, bowiem zapas moich psychologicznych uniesień na razie się wyczerpał.

Wieczorem

W domu potworny smród. Kasia paraduje z zepsutym masłem na głowie. To podobno regeneruje włosy i efektownie je nabłyszczą.

Czy nikt jej nie powiedział, że tłustych z natury włosów nie powinno się

dotatkowo odżywiać zjełczałym masłem? Wystarczy je częściej myć. Niestety, moja celna uwaga okazała się porażką.

– Niektórzy używają masła na włosy, inni psikają swoje balony stanikiem w sprayu – odpowiedziała dziewczyna, uśmiechając się uśmiechem węża. Obląłem się potem.

– Co to są balony do psikania? – koniecznie chciał wiedzieć Bruno.

– Biust – odpowiedziałam krótko.

– Ale dlaczego do psikania i co to jest stanik w sprayu?

Zignorowałam tę beznadziejną dociekliwość mojego męża.

Gdzie ona dorwała mój tajny spray?

10 lipca, środa

Jestem bankrutem. Moje nędzne pieniądze, które z takim trudem zarabiałam w kawiarence i które ledwo starczały mi na eksperymenty ze współczesnymi kosmetykami – odplynęły, a mnie czeka poniżająca przyszłość na garnuszku u Brunona.

Dzisiaj po południu, kiedy zdawałam Elizie raport, że jeden komputer się zawiesza, a z drugiego ktoś ukradł mysz, zjawił się pan Tomek. W najnowszym modelu dresu firmy „Abibas”, z żelem na blond grzywce i w butach z frędzlem. Za taki zestaw powinien płacić wysokie grzywny.

– No, panienci, zwijamy interesik – oznajmił, ukazując wyłącznie zepsute zęby (on się urodził ze zgorzelą) i wręczył nam otłuszczony świstek. Wypowiedzenie wynajmu lokalu. W trybie natychmiastowym.

Na moją nieśmiałą opozycję, że przecież zapłaciliśmy z góry do końca roku, wyjął zwitek pieniędzy i rzucił na stół.

– Tu jest za czynsz.

Eliza skrupulatnie przeliczyła.

– Ale tu jest tylko za czynsz do listopada, a my zapłaciliśmy też za grudzień.

– Ale w międzyczasie była podwyżka. Po wyrównaniu wychodzi, że za grudzień nie zapłaciliśmy. Za jeden tydzień w listopadzie w sumie też nie, ale niech będzie moja strata.

Aha. Szkoda, że wcześniej nie wiedziałyśmy o podwyżce, ale zdaje się, że to dla pana Tomka nie było istotne.

– Macie czas do przyszłego tygodnia. I nie musicie malować ścian. – Rzucił nam łaskawie ochłap, po czym pewnym krokiem opuścił lokal, a za nim unosił się drażniący zapach cebuli i potu.

Spojrzałyśmy na siebie.

A potem każda z nas zapakowała do samochodu po trzy komputery i zamknęłyśmy kawiarenkę. Bruno przyjedzie wieczorem po meble. Jak się mamy wynosić, to od razu.

– Nie będzie śmierdziel pluł nam w twarz – sparafrazowała inteligentnie Eliza, po czym odjechała z piskiem opon.

Mój pierwszy własny interes upadł, wśród zapachu cebuli, po roku działalności.

11 lipca, czwartek

Siedzę w wannie z masłem na głowie. Nie mam pracy, nie mam pieniędzy, zasługuję przynajmniej na zregenerowane, lśniące włosy.

12 lipca, piątek

Zostało mi sześć tysięcy, trzy podstarzałe komputery i parę krzeseł. Muszę bardzo ostrożnie wydawać pieniądze, choć Bruno od razu dał mi swoją kartę kredytową i kazał używać jej bez ograniczeń.

– To znaczy z umiarem – dodał na wszelki wypadek, cofając się do ogrodu.

Bez ograniczeń, z umiarem.

Tylko mężczyźni mogą wymyślić taką bzdurę.

13 lipca, sobota

Siedzę w domu i oglądam seriale. Tak robią wszyscy bezrobotni. W *Melrose Place* rudy wamp łamie rękę. I nic nie może nią zrobić: ani umyć włosów, ani nawet pokroić pomidora. Siedzi biedna cały dzień w domu i czeka, aż narzeczony przyjdzie po pracy i jej pomoże. Ale na głowie ma zrobione z tych nieumytych włosów takie dzieło sztuki, że nawet dwie sprawne ręce to za mało. Rano była rozczochrana i na pewno nie odwiedziła fryzjera. Więc jak? Nogą sobie pomogła? Perukę założyła?

W wenezuelskiej telenoweli było jeszcze lepiej. Tytułu nie pamiętam, zresztą podejrzewam, że wszystko kręci ten sam reżyser. Silikonoustne dziewczę zobaczyło na ulicy swojego ojca, który rozmawiał z młodą dziewczyną. I teraz się waha. Powiedzieć mamie? Czy raczej zachować to dla siebie? Ale co? Przecież to była zwykła rozmowa. A jeśli ma obawy, to czemu nie zapyta ojca? Dlaczego w normalnej sytuacji każdy by spytał, a bohaterowie seriali – nigdy? Dlaczego czekają od pięciu do pięćdziesięciu odcinków?

Jestem rozgoryczona i nienawidzę pana Tomka.

14 lipca, niedziela

Ciągle bezrobotna. Dobrze, że mam chociaż kartę kredytową i zapas kremu pod oczy. Przewornie kupiłam dwa słoiczki.

Na czarną godzinę.

15 lipca, poniedziałek

Jadę do mamy. To pomysł Brunona. Stwierdził, że jak będę siedzieć w domu i gapić się w telewizor, to z pewnością wpadnę w modną ostatnio wśród Polaków depresję.

Zadzwoiłam więc do mamy i spytałam głosem zbolełego kurczaczka, czy mogę ją odwiedzić. Kazała mi normalnie mówić i zaraz się pakować. Ralf też się ucieszył.

Niestety, całą radość z wyjazdu zepsuł kolejny telefon. To mama dzwoniła do mojego męża i wypowiedziała tylko jedno, ale jakże okrutne i bezlitosne zdanie: „NIECH KASIA TEŻ PRZYJEDZIE”.

16 lipca, wtorek

Kasia nie ma za grosz godności. W końcu to MOJA matka, i zaprosiła ją na pewno tylko przez grzeczność. Kasia widocznie jeszcze nie wyczuwa takich subtelności, bo

spakowała się szybciej niż ja i teraz siedzi ze mną w pociągu.

W tym samym przedziale.

I jedzie ze MNA do MOJEJ matki.

Dlaczego nikt jej nie zamknął w poprawczaku za pobicie Myszy?

Wieczorem

Dom mamy jest przygnębiająco piękny i duży – siedem pokoi, dwie łazienki, osobna pralnia, suszarnia, pokój fitness i sauna. Do tego ogród, zero krasnali i głuchy sąsiad.

Na środku salonu stoi sadzawka ze złotymi rybkami. Naprzeciwko okna wisi specjalne lustro, które odbija promienie słońca. Sufit jest rzeczywiście pomalowany na czekoladowo, w rogach stoją lampy. Mama twierdzi, że gdybym skorzystała z porad Kasi w dziedzinie *feng shui*, żaden śmierdziel w „Abibasie” nie odebrałby mi kawiarenki.

Mama nie rozumie dwóch rzeczy. Po pierwsze, nigdy nie skorzystam z porad Kasi (to masło to był wyjątek), a po drugie, na dresa w „Abibasie” nic by nie podziało – nawet gdybym wsadziła sobie złotą rybkę do pępka, a na szyi zawiesiła zwierciadło *ba qua*.

Kasia dostała większy pokój niż ja.

Następuje obrzydliwe upadanie mojej osoby.

17 lipca, środa

Z samego rana mama pojechała do urzędu. Sprawa z kanarkiem i gilotyńką wyjaśniła się podobno sama. Chłopak wpadł pod samochód i od tygodnia leży w śpiączce.

Odniosłam wrażenie, że mama mówi o tym z pewną ulgą.

Ralf przygotował dla nas pyszne śniadanie i zabrał się za podlewanie ogrodu. Kasia wyciska pryszczę z czoła (nie mam zamiaru jej uświadamiać, że potem będzie wyglądało jeszcze gorzej), a ja przyglądam się kosmetykom mojej mamy.

To skandal. Nie dziwię się, że tak dobrze wygląda. Jej półka w łazience przypomina miniaturowy luksusowy sklep. Liposomy pod oczy, witaminy na powieki, kwasy na twarz, olej winogronowy na szyję, nawilżacz na usta i retinol na bruzdy. Nie znalazłam tylko kremu regenerującego skórę na łokciach. Perfidnie przełożyłam odrobinę obrzydliwie drogiej mikstury z retinolem do mojego pustego już pojemniczka, a ten mamy uzupełniłam „Niveą”, której używam z powodu braku pracy i odpowiednich funduszy. Jestem przekonana, że mama nie będzie miała nic przeciwko temu.

Dodatkowo, wklepałam sobie każdy z tych kremów na poszczególne części ciała, i tak upiękaszona, ruszyłam do ogrodu. Dlaczego moja matka mieszka w rajku?

Wieczorem

Mam zacieki na twarzy, bo opalałam się z jakimś liposomem, a na ulotce wyraźnie jest napisane, żeby unikać kontaktu ze słońcem. Niestety, ulotkę przestudiowałam po fakcie.

Wyglądam jak trędowata, co gorsza mama zorientowała się, że jej podkradam

kosmetyki. Zamiast zachować to dla siebie, miały z Kasią niezły ubaw. Całe szczęście, że Ralf niewiele z tego wszystkiego zrozumiał i po prostu przyniósł mi wapno.

18 lipca, czwartek

Plamy na razie nie zniknęły. Mama poradziła peeling i krem rozjaśniający.

Czuję się upokorzona.

Dzwonił Bruno i oznajmił, że w miejscu naszej kawiarenki powstał salon masażu. Ciekawe, czy klienci się zmieniają?

Eliza podobno znalazła pracę w agencji reklamowej. Została grafikiem w trzyosobowym zespole, który na razie nie dostał jeszcze żadnego zlecenia, ale jest dobrej myśli. Nie wróżę jej najlepiej, ale i tak jest w lepszej sytuacji niż ja – w końcu muszę podkradać kremy własnej matce.

Á propos – mama wróciła wieczorem z kolczykiem. Na razie trzyma go w papierowej torebce, ale podobno ma go wbić sobie w pępek.

Zgroza.

Kolczyk to prezent od jej podopiecznej, której poradziła uwolnić się z toksycznego związku z facetem, hodującym traszki. Spytałam mamy, co złego jest w trzaskach.

– W samych trzaskach nic. Ale gdybyś miała ich dwieście w domu?

To rzeczywiście sporo.

– I gdyby facet zmuszał cię, żebyś codziennie rano całowała je na dzień dobry?

Wszystkie?

Mama poradziła więc, by zostawić gościa, zwłaszcza że traszki zaczynały podobno urozmaicać ich życie seksualne. Niestety, nie dowiedziałam się w jaki sposób. Czy ona na pewno wszystko dokładnie rozumie po niemiecku?

Dziewczyna jednak zastosowała się do sugestii mamy i dzisiaj ma już nowego partnera, który nawet nie wie, co to jest traszka. W zemście zaś splukwała w ubikacji około trzydzieści płazów. Tyle zdążyła nałapać.

19 lipca, piątek

Mama zabrała nas do sauny, ale nie u siebie w domu, tylko do gigantycznego saunarium z setkami gołych ludzi w środku. W tym mężczyzn do osiemdziesiątego roku życia włącznie.

Obrzydlistwo.

Musiałam znieść widok gołej matki, gołej Kasi, gołych facetów ze skandalicznie gołymi przyrodzeniami, a dodatkowo pokazać publicznie własne piersi, które mimo trzykrotnego pryśnięcia stanikiem w sprayu, wykazywały tendencję zwisającą. Dokonałam jednak fascynujących obserwacji.

Kasia ma rudawe włosy łonowe.

Matka ma włosy łonowe wygolone w imponujący prostokąt, następnie artystyczną przerwę, a nad nią trójkąt pofarbowany na blond.

Mężczyźni w wieku 40–50 lat nieustająco spoglądają na własne skarby ukryte między nogami, jakby w obawie, że w saunie im znikną.

Kobiety w przedziale 40–50 lat mają wykonany kompletny makijaż, który z każdym wejściem do sauny zaczyna rozlewać się po twarzy, tworząc intrygujący

kolaż.

Młodzi mężczyźni prężą pośladki i kuszą przyrodzeniem zdobionym w kolczyki.

Młode kobiety w ogóle nie mają włosów łonowych.

Dziadki do osiemdziesiątego roku życia w ogóle nie mają członków lub mikrołki o ciemniejszym zabarwieniu niż skóra. Ciekawe dlaczego?

A ja mam włosy ogolone tylko pod jedną pachą, bo zapomniałam ogolić drugą.

Na dodatek, szczybie mnie pupa oraz cały przód i środek, bo mama wysłała mnie do sauny, w której kazali mi natrzeć się morską solą. Nie umiem „tam” sobie podmuchać, a wstydzę się kogoś poprosić.

Chyba wypaliło mi macicę.

20 lipca, sobota

Wymoczyłam pupę w lodowatej wodzie, na plamy nałożyłam krem rozjaśniający i próbowałam nie myśleć o awangardowym łonie mojej matki. Dobrze, że Bruno tego nie widział.

Kasia uznała wyprawę do sauny za niezwykle pouczającą. Wcale się jej nie dziwię. W wieku czternastu lat zobaczyć taką ilość penisów!

21 lipca, niedziela

Szczerze mówiąc – nie chce mi się wracać do Polski. Ralf robi pyszne śniadanka, Kasia nie wchodzi mi w drogę, bo dom jest ogromny, tylko trochę tęsknię za Brunonem. Ale on i tak jest ostatnio zajęty. Organizuje obecnie wykłady poświęcone operowaniu gryzoni. Podobno do tej pory nie operowano chomików, króliczków ani świnek morskich, bo zdychały na samą myśl o narkozie. Niestety, właściciele gryzoni podnieśli wrzask, że ich pupile są traktowane dużo gorzej niż psy czy koty i zażądali zmian we współczesnej weterynarii. Bruno spędził co najmniej dziesięć samotnych wieczorów, zanim udało mu się napisać wstępne przemyślenia na powyższy temat. Efekt jest jednak taki, że prawdopodobnie w przyszłym tygodniu w jego klinice zostanie przeprowadzona pierwsza operacja na chomiku o imieniu Bobi.

Na kolację pyszne pulpeciki w sosie grzybowym. Frau Klaudia ugotowała, ale oczywiście według szczegółowych wskazówek mamy. Ralf jest przekonany, że jesienią swego życia odnalazł prawdziwy kulinarny skarb, nawet jeśli ten skarb ma twarz mojej matki, ale ręce Frau Klaudii.

22 lipca, poniedziałek

Cały dzień leżałam do góry brzuchem. Kasia pojechała do miasta (mama dała jej kieszonkowe, skandal!) kupić nowe ciuchy do szkoły. Podejrzewam, że tradycyjnie zafunduje sobie zestaw śmietnikowy.

Dzwonił Bruno. Jutro operacja Bobiego.

23 lipca, wtorek

Bobi nie doczekał operacji. Zdechł, zanim ulokowano go na stole operacyjnym. Na szczęście pojawiła się pani Aniela ze świnką morską, która pożarła kamień i dostała zapalenia otrzewnej. Bruno obiecał, że zadzwoni po zabiegu.

Kasia zaprezentowała nam swoją najnowszą kolekcję. Ralf nie powiedział słowa, bo go przytknęło. Mama pokiwała z uznaniem głową, a ja poradziłam Kasi, żeby się popsikała odświeżaczem, bo jej ciuchy śmierdzą na odległość. Bezguściem. Oczywiście pokazała mi język, a mama spojrzała na mnie z książkową dezaprobatą.

Nic więcej nie powiem.

Dzwonił Bruno.

Świnka morska nie wybudziła się z narkozy.

24 lipca, środa

Skandal na niemieckiej wsi pod Berlinem. Niedaleko domu mamy i Ralfa zebrał się tłum rozwrzeszczanych niemieckich kobiet, które protestowały przeciwko otwarciu w ich miejscowości tajnego burdelu.

Ralf wyjaśnił mi, że jeszcze parę miesięcy temu niebieskie budynki należały do tutejszej parafii. Księża najwyraźniej jednak postanowili dorobić do nędznych datków na tacę i sprzedali własność prywatnej firmie. Ta z kolei zdecydowała się wspomóc nieśmiałych i samotnych, i tak powstał „Klub FKK” (Klub Golasów), o którym wiadomo na razie tyle, że zrzesza ponad czterdzieści wyzwolonych kobiet. Co gorsza, każda z nich jest chętna do bliższego poznania samotnych mężczyzn, a nawet, o zgrozo, całych rodzin! Naturalnie bez dzieci.

Mama z Ralfem nie uczestniczyli w manifestacji, twierdząc, że nieśmiałość to problem wielu ludzi, i skoro chcą z nim walczyć przy pomocy czterdziestu chętnych kobiet, to tylko należą im się gratulacje. Niestety, sąsiadki (żona Ottona i żona głuchego, ale przecież jurnego, Hansa) były odmiennego zdania, bo na nasz widok odwróciły ostentacyjnie wzrok i zaczęły aktorsko szeptać.

Mama się roześmiała i krzyknęła przez płot:

– Uważaj, bo twój Otto pierwszy pozbędzie się nieśmiałości.

Niemiecki ostracyzm – oto co w niedalekiej przyszłości czeka moją matkę.

25 lipca, czwartek

Jutro przyjeżdża Bruno i w niedzielę wracamy do Polski. Miałam cichą nadzieję, że Kasia zostanie dłużej z mamą, ale niestety wyraziła chęć powrotu. Odnoszę wrażenie, że jest obrzydliwie złośliwa, choć oczywiście nikt inny tego nie chce dostrzec.

Aha. Świnka morska zeszła ostatecznie, nie wybudziwszy się z narkozy.

Właścicielka dostała krople uspokajające oraz kocyk po swoim pupilu. Zdaje się, że na operowaniu gryzoni Bruno nie zbije większego majątku.

26 lipca, piątek

Mama wpadła na koszmarny pomysł. Zabrała nas wszystkich do parku wodnego, w piątek po południu. Było tam więcej dzieci, niż przewidują dane szacunkowe UNICEFU. Co gorsza, wszystkie się darły.

W baseniku z bąbelkami doliczyłam się dziesięciu małych karaluchów, każde ze skrzydełkami do pływania, którymi nas drapały, i zielonymi ozdobami pod nosem, które znikwały w basenie. Bruno uciekł, kiedy dwa trzylatki wlaży mu na kolana i zaczęły wrzeszczeć po niemiecku do ucha. Ralf wytrzymał nieco dłużej i poddał się

dopiero wtedy, gdy jego łysina zaczęła być okładana gumową kaczką. Mama, Kasia i ja dałyśmy nogę, gdy trójka małych potworków ściągnęła majty w pokemony, wyciągnęła miniaturowe penisiki i zaczęła sikać w naszą stronę.

Na zjeżdżalni było jeszcze gorzej. Zanim zdążyłam wyjść z basenu, zaatakowała mnie banda nieletnich, która z wrzaskiem wpadała mi na głowę, barki i plecy. Ledwo uszłam z życiem. Kolejny atak był jednocześnie ostatnim, bowiem po nim schowałam się pod palmę i owinęłam ręcznikiem aż po czubek głowy.

Totalna kompromitacja. I to przy Brunonie, mamie, Ralfie i Kasi. Kiedy próbowałam wydostać się z basenu po specjalnej drabince, jakiś mały wrzeszczący stwór zawiesił się na moim stroju kąpielowym, naderwał go, a oczom setek ludzi ukazały się moje dwie piersi, z czego jedna wystawała bokiem, a druga górą. Wyglądałam jak tandetna gwiazda porno z dwoma doczepionymi balonami, sterczącymi jak u Picassa, każdy w inną stronę.

Kasia nie musi mieć żadnego planu.

Bruno i tak się w końcu ze mną rozwiedzie.

27 lipca, sobota

Mama nie rozmawia z sąsiadkami, a właściwie to one ją ignorują. Swoją drogą, Otto rzeczywiście wygląda jak stały bywalec burdelu, który tylko w takich miejscach potrafi przełamać własną nieśmiałość. Spocona, czerwona gęba, rozbiegane oczka i parówki zamiast palców u rąk.

„Klub FKK” rozpoczął swoją działalność, pomimo protestów mieszkańców wsi. Dawno nie widziano tu tyłu samochodów.

Wieczorem

Pakuję się. Wracam do swojego bezrobotnego życia, zaciężonej przyjaciółki, trzech starych komputerów i domu, w którym nie ma liposomów ani retinolu, ale za to jest postarzająca mnie Kasia.

Czuję się staro.

28 lipca, niedziela

Nie będę już nawet wspominać, że siedziałam z tyłu. Bruno najwyraźniej przestaje mnie kochać.

Może to kara za to, że ukradłam mamie krem?

29 lipca, poniedziałek

Chcę do mamusi.

30 lipca, wtorek

Zastanawiam się, czy nie pójść do pracy. Problem jednak polega na tym, że ja nie mogę mieć szefa. Nie zniosłabym czyjegoś rozkazywania co i kiedy robić, opieprzania i decydowania za mnie, kiedy mam jechać na urlop.

Bruno uważa, że z takim nastawieniem nie powinnam na razie niczego szukać. Może i racja. Poczekam aż zupełnie mnie przyciśnie.

31 lipca, środa

Mama informuje nas na bieżąco o burdelowym bojkocie. Podobno protesty nasiliły się do tego stopnia, że miejscowy burmistrz złożył rezygnację. Ktoś widział jego samochód pod klubem samotnych i na nic zdały się tłumaczenia, że był tam na inspekcji. Rozjuszona mieszkanka zarzuciła mu „dogłębną inspekcję”, wdaruły się do jego biura i podobno boleśnie poszczypały.

Mama postanowiła napisać o tym książkę lub przynajmniej luźne wspomnienia ze swojego życia w Niemczech. Spytałam, czy nie boi się sąsiadek, które mogą wywieźć ją na kupie gnoju jak pewne rozwydrzone dziewczę ze wsi Lipce. Odparła, że jest na wszystko przygotowana. Ma za sobą armię nieletnich, która w razie czego stanie za nią niemieckim murem.

Kasia wyrwała mi słuchawkę i oznajmiła mamie, że „super z niej babcocha”.

Poczułam małe ukłucie zazdrości, ale może to była kolka.

1 sierpnia, czwartek

Odpaliłam komputer i od razu zamigotało coś żółtego.

Amor: „Dawno cię nie było”.

O, to moja brzydka znajoma, która ma nic nierozumiejącą matkę i ojca rozwodnika. Przedstawicielka dziewięćdziesięciu procent nastolatków w tym kraju.

„Straciłam pracę i rzadziej zaglądam do komputera” – nie wiem, czemu się tłumaczę tej smarkuli.

Amor: „Nie przejmuj się. Wymyślisz coś nowego”. Kwiatek.

Skąd ta pewność? Zajmij się lepiej swoimi relacjami z matką.

„Staram się” – moja lakoniczna odpowiedź powinna ostudzić psychologiczne zapędy gówniary.

Amor: „Masz dzieci?” – no, to pytanie zdecydowanie wkracza w moją prywatną sferę i nie muszę na nie odpisywać.

„Nie i na razie nie żałuję” – napisałam jednak.

Amor: „A nie chciałabyś mieć córki, z którą by ci się fajnie rozmawiało?”.

NIGDY!

Poza tym, z doświadczenia wiemy, że córki i matki dogadują się najczęściej tylko na pogrzebach wrednego ojca i męża, lub gdy trzeba oskubać przy rozwodzie niewiernego męża/zięcia.

„Może kiedyś...” – nie wiem, czemu wypisuję takie bzdury. Przecież co do córek wiem – nigdy! Z drugiej strony, Spiderman vel Tarzan Matyldy to też specyficzna kara za grzechy.

Amor: „Jak będziesz mieć kiedyś córkę, to rozmawiaj z nią jak z koleżanką. Wtedy jest łatwiej” – kto tu komu zaczął udzielać porad? Poza tym, mam tego dosyć. Szczuć mnie wizją córki. Ohydne.

„Postaram się zapamiętać” – odpisałam i wyłączyłam komputer.

Jestem prześladowana przez nastoletnie istoty płci żeńskiej. I jak w takich warunkach zdecydować się na własne dziecko???

2 sierpnia, piątek

Mam pracę! To niesamowite, jak szybko udało mi się stanąć na nogi i znaleźć

nowe zajęcie, podczas gdy wszyscy dookoła narzekają!

Będę wspólnie z Kają prowadziła biuro matrymonialne. Ona sama ma już lekko wypięty brzuch i za parę miesięcy nie będzie mogła pracować.

Doskonale rozwiązanie.

Znajoma Kai zostawiła nam całą bazę danych i kilka rozpoczętych spraw. Początki mamy więc ułatwione. Doniosłam moje trzy komputery, żeby wyglądało bardziej profesjonalnie, a Kaja pomalowała ściany na słoneczne pastele. Nasze biuro, o prostej, ale wszystko mówiącej nazwie „My”, to profesjonalne miejsce dla tych, którzy poszukują swojej drugiej połowy.

Usiadłyśmy za biurkami i rozpoczęłyśmy przeglądanie bazy danych.

Żaneta, lat czterdzieści pięć, zainteresowania: wino, dobra muzyka, ptaki.

– Jakie ptaki? – spytała Kaja.

– No, ogólnie ptaki. Mewy, czaple, wróble. To pewnie taki chwyt reklamowy, że niby kocha przyrodę – wyjaśniłam ze znawstwem.

Żaneta ma nagranego wstępnego kandydata – Mirosława, lat pięćdziesiąt o „nienagannych manierach i romantycznym podejściu do życia”.

Nuda.

Po namyśle zmieniłyśmy Żanecie partnera. Spokojny Mirosław o spojrzeniu Misia Uszatka jakoś nam nie pasował do Żanety o lubieżnych ustach i powiekach wymalowanych w jaszczurczy kolor. Przydzieliliśmy jej Wiesława, lat czterdzieści osiem, bo na zdjęciu wyglądał na wygłodniałego kocura. Kaja nagrała im pierwszą randkę na niedzielę po południu.

Jesteśmy profesjonalistkami.

Przy kolacji Kasia spytała mnie, czy przyjmujemy do biura zgłoszenia nastolatek.

– A co, szukasz partnera? A co z Dominikiem? – spytałam zapewne nietaktownie, ale mało mnie to obchodzi.

– Nie szukam dla siebie. Ale chętnie podrzuciłabym kandydaturę mojej nauczycielki od chemii.

Sprytne! Piszcząca Mysz rzeczywiście potrzebuje faceta; może wtedy przejdą jej antysemickie zapędy. Kasia twierdzi, że to wszystko przez „brak chłopca”.

Brunonowi wypadła z rąk kanapka i spojrzał z niepokojem na własną córkę. Uważam, że powinien tak na nią spojrzeć jakieś czternaście lat temu. Zaraz po tym, jak przyszła na świat.

3 sierpnia, sobota

W biurze spokój. Na razie nie mamy nowych chętnych, ale z bazy danych wynika, że musimy skojarzyć jeszcze ze cztery pary.

Genowefa, lat pięćdziesiąt dziewięć, domatorka z dwoma psami i Jerzy, lat sześćdziesiąt dwa, spokojny emeryt. Kaja twierdzi, że nie zawsze najlepszym rozwiązaniem jest dobieranie ludzi na zasadzie zgodności charakterów.

Przynajmniej w naszej branży. Po pierwsze, trzeba wziąć pod uwagę błąd statystyczny, polegający na tym, że wszyscy kandydaci oszukują. Oczywiście tylko dlatego, żeby lepiej wypaść w kartotece i szybciej znaleźć swoją drugą połowę. Po drugie, zbyt duża zbieżność jest – według Kai – nudna.

Dlatego Genowefie przydzieliliśmy Aleksandra, lat pięćdziesiąt osiem, zapalonego harleyowca. Zważywszy, że oboje nieco naciągnęli swoje charakterystyki, pasują do siebie idealnie.

4 sierpnia, niedziela

Kaja zadzwoniła wieczorem i drżącym głosem oznajmiła, że mamy pierwszą wpadkę. Podobno pani Żaneta jest z zamiłowania nie tylko ornitologiem, ale i wielką miłośniczką zwierząt, a ten „kretyn, co przyszedł na randkę, to pier... MYŚLIWY!”. To słowa Żanety. Niestety, nie doczytałyśmy dokładnie informacji o okrutnej fascynacji zabijaniem zwierząt przez pana Mirosława. Kaja, w ramach zadośćuczynienia obiecała następnego kandydata gratis i zrzuciła winę na pomyłkę komputera.

Musimy bardziej szczegółowo czytać ankiety.

5 sierpnia, poniedziałek

Bruno zoperował dziś myszoscoczka. Skubaniec złamał sobie nogę, poza tym wymiotował. Bruno na wszelki wypadek zrezygnował z narkozy i zafundował myszy znieczulenie miejscowe. Podobno dzielnie wszystko zniosła, a właściciel z radości przyniósł lekarzowi skrzynkę coli. Bo jest dostawcą.

Mój mąż twierdzi, że tylko „lekarze od ludzi” załapują się na koniak lub dobre wino. Ale i tak był zadowolony.

6 sierpnia, wtorek

Genowefa ma spotkanie z harleyowcem. Siedzimy w pracy jak na szpilkach. Z nudów otworzyłam żółtą kopertę.

Amor: „Wszystko OK?” – brzydula najwyraźniej przyssała się do mnie jak pijawka do gołego dupska.

„Rewelacja” – niech nie myśli, że mam jakieś problemy.

Amor: „Wiesz, chyba zamieszkam z ojcem. On tego bardzo chce, a z matką i tak nie da się wytrzymać”.

O Boże. Déjà vu.

Może najpierw się upewnij, czy tata nie ma drugiej żony albo przynajmniej przyjaciółki, i czy ona też tego chce. Gwarantuję, że nie będzie zachwycona, nawet jeśli przez grzeczność nie wyrznie ci od razu wałkiem.

„No, nie wiem. Ale spróbować można” – Jezu, co ja wypisuję.

Amor: „Ale on nie mieszka sam”.

Otóż to! O to właśnie chodzi. Dlaczego nikt nigdy nie bierze pod uwagę uczuć nowych partnerek życiowych tatusiów??? Przecież one też mają prawo oznajmić całemu światu, że dzieci z pierwszych małżeństw są mile widziane wyłącznie podczas Dnia Dziecka i to tylko wtedy, gdy przyjdą pokazać świadectwo. Żadnych wspólnych wakacji. Żadnych świąt, kolacji i śniadań. Żadnych fochów, bojkotów, dąsów i obrażonych min.

„Na pewno się dogadacie” – jestem upokorzeniem sama dla siebie. Jestem trzydziestoletnim brakiem własnego zdania.

I żaden krem pod oczy mi nie pomoże.

7 sierpnia, środa

Harleyowiec przysłał nam bukiet żonkili. Dzwonił rano i zostawił wiadomość na sekretarce, że dzięki nam odzyskał radość życia. Jadą wspólnie z Genią na weekend. Oczywiście na motorze. Już jej kupił kask.

Nasz plan łączenia skrajnych przeciwieństw tym razem wypalił. Genia pod płaszczykiem domatorki skrywała żadną przygodą Genowefę, a Aleksander marzył tak naprawdę o wieczorach przy świecach, kiedy już zsiądą z motoru. Doktor Rybka mógłby się od nas niejednego nauczyć.

Á propos – spotkałam go dzisiaj. Naturalnie w supermarkecie. Próbował majonezy! Odkręcał poszczególne słoiczki, wkładał do środka swój paluch, a następnie lubieżnie go oblizywał. W końcu wybrał Hellmann's z błękitną nakrętką. Nigdy już niczego nie kupię w tym sklepie.

Ciekawe, co inni wkładają w poszczególne produkty?

8 sierpnia, czwartek

Mały ruch w pracy. Kaja uważa, że wszyscy siedzą aktualnie nad polskim morzem albo w sanatoriach i tam wylapują potencjalnych kandydatów. We wrześniu ruch w interesie będzie większy, bo ci, którym nie udało się upolować zdobyczy, zrezygnowani przyjdą w końcu do biura.

Bruno twierdzi, że traktujemy „swoich podopiecznych” zbyt przedmiotowo. Poradziłyśmy mu, żeby się raczej skupił na operacjach rybek akwariowych.

Dzwoniła mama. Ma nową przyjaciółkę Dalilę, czy jakoś tak. Z Indii. Uczy się właśnie od niej przyrządzania hinduskich potraw, a w przyszłości ma poznać tajniki hinduskiego seksu. Nie wiem, czemu nagle przekazała słuchawkę nowej koleżance i kazała nam ze sobą trochę porozmawiać. Wpadłam w popłoch. Co ja mam powiedzieć sześćdziesięcioletniej Hindusce??? I w jakim języku???

W panice powiedziałam najgłupszą rzecz na świecie, ale jedyną, którą mogła (jak przypuszczałam) zrozumieć kobieta z Indii:

– Kurkuma.

9 sierpnia, piątek

Ze wstydu siedzę pod kołdrą. Wyjdę, jak Bruno pójdzie do pracy, a Kasia na basen. Spodobało jej się od czasu wizyty u mamy.

Po południu

Mamy nową klientkę. Najwyraźniej nie starczyło jej na sanatorium albo we wszystkich już próbowała.

Ewa. Postawna brunetka z porażająco sterczącym biustem. Gdyby, psiknęła na niego moim sprayem, sutki wyszłyby jej górną częścią bluzki. Ewa ma czterdzieści jeden lat, od dwóch lat jest rozwódką, ale jej libido krzyczy.

To widać.

Nie chodzi do kościoła, ale może się raz przejść. Na swój własny ślub, bo rozwód ma cywilny. Pali, ale nie musi. Nie interesuje się polityką, ale woli, żeby to nie był rolnik. Ma wysokie wymagania seksualne, ale może zejść do średniej krajowej – cztery razy w tygodniu.

Spojrzałyśmy z Kają na siebie. W którym kraju jest taka średnia???

Wprowadziłam dane Ewy do komputera. Na razie żaden z kandydatów, których mamy w naszej bazie danych, nie spełnia tych wymagań, ale myślę, że amatorów sterczących sutków nie zabraknie. Poza tym, Ewa jest dość atrakcyjna, a na każdym paznokciu ma wymalowane słowo „seks”.

Mniam.

Sprawdziłam pocztę. Z dwudziestu nowych e-mailów, żadnego osobistego. Same reklamówki w stylu „jeśli chcesz powiększyć swojego penisa, kliknij tutaj”. Dlaczego w tych agencjach nie sprawdzą nawet płci adresata???

Jaka kobieta marzy o powiększeniu własnego penisa?

Zignorowałam żółtą kopertę. Jestem wykończona.

10 sierpnia, sobota

Do Kasi przyszła Zuzanna. Z wrażenia nie wiedziałam co powiedzieć, żeby nie narazić się na posądzenie o antysemityzm. Na wszelki wypadek na widocznym miejscu położyłam *Meira Ezofowicza Orzeszkowej*.

Zamknęłam się w pokoju i włączyłam komputer.

Amor (niedostępny): „Czy mogę powiedzieć chłopakowi, że mi się podoba?”.

Też coś. Nigdy.

„I jak mu dać do zrozumienia, że jest fajny i że chciałabym się z nim spotykać? Czekam na odpowiedź”.

Hmm. Dobre pytanie.

W podstawówce upatrzyłam sobie kiedyś Marcinka z blond loczkami. Kombinowałam jak mogłam, żeby spacerował ze mną na dużej przerwie, ale był jakiś oporny. W końcu pożyczyłam mu mój trójkolorowy długopis, który był obiektem westchnień całej klasy. Doszło wtedy między nami do niepisanej umowy – za pożyczenie długopisu na dwie lekcje dziennie Marcin poświęcał mi swój czas na dużej przerwie. Niestety, okazał się małym parszywcem i któregoś dnia przylazł do szkoły z własnym długopisem, co gorsza czterokolorowym, czym mnie dostatecznie upokorzył. Wspólne spacerowanie uległo drastycznemu zakończeniu. Od tego czasu nie pożyczam facetom swoich najdroższych skarbów.

„Zainteresuj się tym, czym on. Jeśli czyta nałogowo książki, to też czytaj. Jeśli lubi komputery, spróbuj też czegoś nauczyć się z tej branży. A jeśli nie ma żadnego hobby, kopnij go w d... Szkoda czasu na barana”.

Zadzwoiła mama Brunona. Ponieważ nie miałam najmniejszej ochoty z nią rozmawiać, krzyczałam do słuchawki „halo, halo” i szeleściłam papierkiem po cukierku. W końcu wyłączyłam telefon. Przecież Telekomunikacja Polska też ma czasem problemy, więc Róża nie powinna niczego podejrzewać.

Czy jestem podła?

11 sierpnia, niedziela

Czytam czwarty tom *Harry'ego Pottera*. Dlaczego sama na to nie wpadłam? Trochę magii, jakieś smoki, wampiry, parę trolli plus wątek kryminalny. Prosta konstrukcja. I w każdej części taka sama. Nagle olśniło mnie. Oczywiście, że mogę napisać Pottera! Dalszy ciąg jego losów. Pomogę autorce, a kasą podzielimy się po

połowie.

Po dwóch godzinach bezmyślnego wpatrywania się w pustą kartkę, napisałam dwa słowa: „Harry Potter”.

Widocznie nie miałam dzisiaj natchnienia.

Poza tym, muszę mieć pewność, że Joanne K. Rowling zgadza się na współautorstwo. Na jej stronach internetowych znalazłam adres do korespondencji i napisałam maila z propozycją współpracy i pomocy przy pisaniu kolejnych części losów małego czarodzieja. Jeśli autorka wyraża zgodę, prześlę jej wstępny plan książki.

Czuję miłe podniecenie. Skasowałam reklamówkę „dzikiego seksu z Roxi za 5,99 \$ za miesiąc” i wysłałam list do Rowling.

Jest dobrze.

Zostanę pisarką.

Wieczorem

Nie ma jeszcze odpowiedzi, ale podejrzewam, że może być zajęta albo po prostu z zasady nie odbiera poczty w weekendy. W związku z tym też wyłączyłam komputer – prawdziwi pisarze muszą mieć czas tylko dla siebie.

12 sierpnia, poniedziałek

Zdaje się, że wkrótce będziemy mieć problemy z naszą sąsiadką. Podobno próbowała się do nas wprosić na popołudnie, ale Bruno odmówił, wykręcając się potworną ilością pracy. Sąsiadka – niby ze zrozumieniem – pokręciła głową, ale Bruno mógłby przysiąc, że dostrzegł w jej oczach zapowiedź zemsty.

Okolo południa zjawiała się Genowefa. Jest problem. Aleksander chce mieć dzieci, a ona od pięciu lat nie ma okresu. Chętnie odstąpiłabym Kasię, ale Aleksander pewnie myśli o noworodku. Oszalał na stare lata. Jak on sobie to wyobraża – sześćdziesięcioletnia kobieta w ciąży? Kaja poradziła Geni szczerą rozmowę z ukochanym, ale niestety Genia się boi, że to oznaczałoby koniec ich związku. Będzie więc próbowała zajść.

Bez okresu???

Jestem pod wrażeniem siły jej miłości.

Róża dzisiaj niestety się dodzwoniła. Bruno wyraził zdziwienie, że mieliśmy zepsuty telefon, a Kasia szczegółowo opisała swój pobyt w Niemczech. Nowa babcia jest fajna, Ralf też, o mnie oczywiście ani słowa. Dobrze przynajmniej, że Róża się do nas nie wybiera, ale „leci do Grecji na zabiegi *Thalasso*”.

Emerytom w naszym kraju zdecydowanie za dobrze się powodzi.

13 sierpnia, wtorek

Żadnej odpowiedzi od Rowling. Najwyraźniej oblicza ze swoim menedżerem, jaki procent od sprzedaży mogą mi oddać. Dobrze, możemy ponegocjować.

Kasia oznajmiła nam, że wieczorem spotyka się z Dominikiem. Właśnie wrócił z rodzicami z Syberii i jest trochę zmarznięty. Mam nadzieję, że ona nie jedzie po to, by go rozgrzać?

Mamy kandydata dla Ewy. Były pilot, wysokie mniemanie o sobie, nawet przystojny, ale nie ma prawej nerki. Oby to tylko nie przeszkadzało w seksie cztery razy w tygodniu. Według komputera pasują do siebie, według nas też, bo i tak nie mamy innego kandydata. Ewa ma się zdecydować jeszcze dzisiaj, wtedy w weekend zorganizujemy romantyczne spotkanie.

Coś mi się wydaje, że były pilot wpadł również w oko Kai. Patrzyła na niego równie przychylnie jak na swój brzuch. No cóż, może Ewie się nie spodoba.

Kasia wróciła podejrzenie rozpromieniona. Przyniosła maskotkę – ogromnego niedźwiedzia polarnego oraz zamknięty w szkatułce zapach syberyjskiego powietrza. Dominik nie byłby sobą, gdyby nie wymyślił równie dziwnego prezentu. Podarował jej też plik zdjęć, z których naturalnie niewiele wynikało. Artystyczne zapędy Dominika znalazły swoje odbicie w fotografiach z wakacji na Syberii. W ogóle nie wiadomo, co przedstawiają. Równie dobrze mógł być na Księżycu albo przesiedzieć miesiąc pod własnym łóżkiem. Wyraziliśmy jednak z Brunonem szczerze uznanie, a Kasi z wrażenia zniknęła z czoła połowa pryszczy.

Nadal jest jednak odrażająca.

14 sierpnia, środa

Rowling musi być na dłuższych wakacjach. Kiedy wróci, pierwsze co zrobi, to odpisze, bo terminy gonią, a miliony ludzi na całym świecie czekają na kolejne przygody Pottera.

Postanowiłam napisać pierwszy rozdział. W razie czego podeślę konspekt i to ostatecznie zadecyduje o naszej współpracy.

„Harry Potter wyprzystojniał przez wakacje. Zmężniała mu klata i pojawiły się na niej gęste włosy”.

Nie, chyba przesadziłam.

„Zmężniała mu klata...”.

Tyle spłodziłam po trzech kawach i trzech godzinach ślęczenia nad kartką. To dlatego, że nie mam motywacji ze strony Rowling. Jak tylko ustalimy tantiemy, pisanie pójdzie mi jak z płatka.

Ewa zdecydowała się na randkę z pilotem. Stwierdziła, że brak nerki to dużo mniejsza wada niż na przykład brak jądra.

15 sierpnia, czwartek

Eliza przysłała mi mailem nową wersję *Baśki Wilków*. Podobno wymyślono to w jej agencji:

„Tomasz miał czaderski wóz,

Z Krzyśkiem zawsze było tak samo,
Witek wbijał w stopę nóż,
Zawsze gdy pokłócił się z mamą,
Z Jarkiem nic nie można było kraść,
Bo miał mundur i białą pałkę,
Jacek przeżył ze mną swój pierwszy raz,
Stach miał wiecznie w zębach zapałkę,
Romuś – ksiądz, Grześ jak zwierzę,
Chociaż wcale nie miewał sierści,
Piotruś wreszcie miał to coś,
Ale za to hodował piersi.

Przystojni jak silos
Pełen kiszonki,
Jak liście kartofli
Po inwazji stonki.

Bodzio w nosie włosy miał,
Czesiek zaś miał ciągle długi,
Józek w spodniach wielki sprzęt,
Ale zgubił instrukcję obsługi,
Wujek Czesiek też coś chciał,
Ale miał mięsień piwny,

Tadek w pierdlu cały czas,
Bo mu Jarek wciąż wlepiął grzywny,
Janek palił, Karol pił,
Wszystko jedno gdzie i za czyje,
Potem ktoś podpatrzył gdzieś,
Jak Jan Karolka całował w szyję”.

Genialne!

Rowling milczy.

W żółtej kopercie podchwytliwe pytanie.

Amor: „Kiedy można się po raz pierwszy pocałować?”

Hmmm. Ja to zrobiłam jeszcze w przedszkolu, ale naturalnie w policzek. I nie bezinteresownie. Ryzawy chłoptaş, którego imienia już nie pamiętam, obiecał mi, że za jeden pocałunek dziennie będzie dla mnie zdobywał wózek z budką. Wózek ten był jedyny w całym przedszkolu i nigdy nie mogłam go zdobyć, bo naszą grupą trzęsła spasiona Agatka z pięścią jak buła mleczna. Jeden pocałunek gwarantował mi kilkugodzinną zabawę wózkami oraz kapitulację buły.

Ale tak naprawdę, w usta, z udziałem języczka i stukotem zębów, to pocałowałam się mając dopiero osiemnaście lat! I zaraz potem wylądowałam w łóżku swojego ówczesnego narzeczonego. Oczywiście okres między pierwszym pocałunkiem a pierwszym stosunkiem można dowolnie wydłużać.

„Kiedy ma się naprawdę ochotę” – bzdura, ochotę miałam dużo wcześniej, ale odgrywałam dziewicę orleańską.

Amor: „A kiedy się to wie?”

O Jezu.

No wie się i już.

„No wie się.... Jak nie wiesz, to znaczy, że to jeszcze nie teraz” – dobrze, że Kasia nie zadaje mi równie kłopotliwych pytań.

Amor: „OK. Dzięki”.

16 sierpnia, piątek

Ewa nie chce już pilota. I to po pierwszej randce! Podobno kazał jej nauczyć się jeździć na rolkach i biegać codziennie przynajmniej godzinę. A ona po sporcie jest tak zmęczona, że nie ma najmniejszej ochoty na seks. Poza tym, pilot godzinami ogląda się w lustrze i głaszcze po twarzy. Ma więcej kosmetyków niż ona i obsesję na punkcie telezakupów „Mango”. W jego domu wiszą na drzwiach gumy do wzmacniania mięśni rąk, wszędzie leżą hantle, w przedpokoju ledwo mieści się rowerek oraz step, czyli urządzenie do wzmacniania mięśni, tym razem nóg. Że też tak wolno z jedną nerką! Chylę czoła przed Ewą, że w jeden weekend rozgryzła faceta.

Najgorsze jest jednak to, że pilot golił sobie „obszar wokół genitaliów”! Fúj! Kaja też go sobie odpuściła.

Obiecałyśmy Ewie, że będziemy szukać dalej, a ona przyrzekła, że będzie bardziej wyrozumiała. „Ale włosy przy jajach musi mieć” – oznajmiła na pożegnanie.

Tylko jak o to zapytać kandydata, który się do nas zgłosi???

Rowling to wyrachowana suka. Czekaj aż podeślę jej pierwszy rozdział.

Zobaczmy kto kogo przetrzyma.

17 sierpnia, sobota

To niesamowite, ale zgłosił się do nas trzydziestolatek. Nigdy bym nie przypuszczała, że faceci w tym wieku też muszą kombinować za pośrednictwem biura matrymonialnego. Eryk jest ekologiem i szuka kobiety nastawionej do życia pacyfistycznie. Nie wygląda na faceta, który goli sobie łono, ale nie wiem, czy gustuje w starszych o dziesięć lat partnerkach. Kaja podsunęła mu nieśmiało zdjęcie Ewy. Posiedział w milczeniu jakieś pięć minut i w końcu uznał, że nie zaszkodzi spróbować. Skasowałyśmy go i wyznaczyłyśmy termin pierwszego spotkania już na jutro!!! Ekolog ekologiem, ale seks chyba lubi?

Mama ma już dwie przyjaciółki z Indii. Jednak złośliwie oznajmiła mi, że nie muszę z nimi rozmawiać przez telefon, bo pewnie kolejnym słowem, które bym wydukała, byłoby „Budda”. Jej poczucie humoru jest co najmniej dyskusyjne.

Nowe koleżanki organizują raz w tygodniu wieczór hinduski (u mamy w domu), podczas którego opowiadają o swoim pożyciu małżeńskim oraz doradzają mamie, jak w jej wieku czerpać satysfakcję w obcowaniu z mężczyzną. I nie chodzi tu bynajmniej o życie czysto seksualne, ale o to, jak wytrzymać z facetem, który z wiekiem coraz głośniejsze charczy w łazience, zostawia plwocinę na obrzeżach umywalki, puszcza donośne bąki w dzień i ciche, choć trujące w nocy. Pewne

problemy damsko-męskie, są jak widać, uniwersalne.

Mama z kolei uczy je, jak robić polskie potrawy.

18 sierpnia, niedziela

Przyszła odpowiedź od Rowling!!!

Niedługo w naszym domu nastaną czasy nieustającej twórczości, burzy myśli i tysiąca pomysłów na minutę.

Daję życie Potterowi!!

Kliknęłam z bijącym sercem.

„Szanowna Pani...

jest Pani 478526 osobą w tym miesiącu, która pragnie zostać współautorką przygód Harry'ego Pottera.

Jesteśmy szczerze wzruszeni Pani fascynacją książkami Joanne K. Rowling i z przyjemnością zapraszamy do lektury kolejnych dzieł tej autorki.

Być może będą one inspiracją do napisania własnej książki, czego Pani serdecznie życzę.

Łączę wyrazy szacunku

Tom Jakiśtam”.

19 sierpnia, poniedziałek

Nie wiem, czy jeszcze kiedykolwiek podejmę próby literackie. Dobrze, że nie wysłałam im pierwszego rozdziału.

Kaja radzi, żeby się nie martwić. Być może nie zostanę sławną pisarką, ale za to mam na swoim koncie przynajmniej jedną dobrze skojarzoną parę – Genię i Olka.

Swoją drogą, ciekawe, jak rozwiązali problem potomstwa.

20 sierpnia, wtorek

Ewa przyszła do nas kompletnie załamana. Podobno ekolog zaproponował jej wspólne przywiązanie się do drzewa w jakiejś tam puszczy, z której mają wyciąć ich parę sztuk. Ewa, co zupełnie zrozumiała, odmówiła, a Eryk oznajmił, że „seks to nie wszystko” i chyba pora zrobić coś dla naszej planety.

– Ale czy ja koniecznie muszę wisieć na jakimś drzewie, przywiązana za nogę? – spytała zrozpaczona.

Spojrzałyśmy z Kają na siebie. Ten Eryk to najwyraźniej ekologiczny zboczeniec. Jak można wymagać od współczesnej kobiety, żeby spędzała z nim swój czas na drzewach? A jak ona tam się umyje, jak poprawi makijaż i zmieni majtki??? Na dodatek, takie wieszanie z pewnością zarejestrowałaby telewizja i Ewa, chcąc nie chcąc, ukazałaby się oczom milionów ludzi w całej Polsce. W byle jakim ubraniu i potargana.

Znowu obiecałyśmy, że następnym razem będzie lepiej, ale Ewa zdecydowanie straciła wiarę. Nawet jej stercząca dotąd pierś smętnie zwiesiła sutki, dzięki czemu moje poczuły się dużo lepiej.

Kaja ma już całkiem sympatyczny brzuszec. Wypina go prowokacyjnie na ulicy i zdaje się być najszcześniejszą kobietą na świecie. Podobno w domu puszcza przyszłemu potomkowi (czy ja już wspominałam, że modłę się, aby to nie była

dziewczynka?) śpiew delfinów i wielorybów, który ma zarejestrowany na płycie. Dzięki temu dziecko będzie od samego początku spokojne, grzeczne i przyjaźnie nastawione do własnej matki.

Nie jestem przekonana, czy głos wieloryba może mieć aż tak ogromny wpływ na płód.

Wieczorem

Ciągle jestem przygnębiona odpowiedzią Rowling. Dlaczego ona nie chce skorzystać z mojej pomocy? Nie wierzę, że aż tyle osób wpadło na ten genialny pomysł. Całe szczęście, że Kasia za parę dni wraca do szkoły. Może w tym roku wyląduje wreszcie w poprawczaku?

21 sierpnia, środa

Dzwoniła Ewa. Wyjeżdża na kilka dni nad morze, złapać pion po ostatnich tragicznych wydarzeniach w jej życiu. Poza tym, pobiła wczoraj jakiegoś kretyna, który próbował ukraść jej torebkę. W innym przypadku Ewa z pewnością zastosowałaby się do porad magazynów kobiecych („oddaj wszystko, co masz i nie krzycz”), ale po pierwsze była wystarczająco zdenerwowana pechowymi kandydatami, a co za tym idzie brakiem seksu, a po drugie – torebka sporo kosztowała. Dogoniła więc drania, odebrała swoją własność, po czym obija mu nerki parasolką, a na końcu opluła.

Nie rozumiem, dlaczego jesteśmy traktowane jak słaba płeć?

Pogratulowałyśmy jej odwagi i wyraziłyśmy nadzieję, że może jakiś umięśniony ratownik na plaży w Międzyzdrojach okaże się kawalerem spragnionym pieśczoć doświadczonej i atrakcyjnej kobiety.

O czternastej w biurze pojawiła się nowa klientka. Na oko dwadzieścia parę lat. Co się dzieje? Przecież osoby w tym wieku powinny raczej oganiać się od facetów, goniących za nimi z rozbuchanymi żądzami.

– Potrzebuję mężczyzny – oznajmiła, zanim zdążyłyśmy o cokolwiek zapytać.

No cóż. To w zasadzie dobrze trafiła.

– Proszę wypełnić ankietę. – Kaja podała jej papiery, ale dziewczyna tylko machnęła ręką.

– Powiem od razu, o co chodzi. Zainteresowania i wszystkie te głupoty są w moim przypadku drugoplanowe. Interesuje mnie osoba tolerancyjna, której nie przerażają mniejszości seksualne ani żadne upośledzenia.

Janina Ochojska? Ale to niestety kobieta.

– A pani reprezentuje mniejszość czy upośledzenie? – spytała ostrożnie Kaja.

– Mniejszość.

Ale jaką? Kobieta szuka mężczyzny. Gdzie tu mniejszość?

– Jestem transseksualistą.

Kaja odruchowo zasłoniła brzuch gazetą, jakby transseksualiści rzucali klątwy na nienarodzone dzieci.

Ludwika jest Ludwikiem.

Ale teraz zastanawia się, czy nie lepiej było zostać zwykłym homoseksualistą, bo taki przynajmniej ma szansę. A ona, jak tylko wspomni, że jeszcze trzy lata temu

sikała do pisuaru, natychmiast zostaje sama. Poradziłyśmy jej (jemu?), żeby nie wyznawała od razu swojej tajemnicy, to może uda się jej (jemu?) zatrzymać na dłużej partnera. Ludwika pokręciła głową.

– Szczerość ponad wszystkim – wyznała patetycznie. – Zbyt długo żyłam w kłamstwie.

Kaja cały czas nie spuszczała z niej wzroku. Zdaje się, że za wszelką cenę próbowała dopatrzeć się w naszej klientce klienta.

– Pani czegoś szuka? – Ludwika w końcu nie wytrzymała.

– Nie... Nie wiem... – Kaja się poddała. – Nie wygląda pani na faceta. – Zakończyła mało inteligentnie.

– Bo nim nie jestem. Właśnie dlatego się zoperowałam. Żeby nie być facetem, tylko kobietą. Nie wierzy mi pani? – Ludwika chyba miała nas dość.

Kopnęłam Kaję pod stołem. Co za skandaliczny brak profesjonalizmu. Na szczęście, Ludwika wydawała się przyzwyczajona do podobnych reakcji, bo nic więcej nie powiedziała.

– A czy powisałaby pani na drzewie? – spytałam szybko, by zmienić temat.

– Co proszę? – Ludwika spojrzała na mnie z popłochem. – Za co?

– Za naszą planetę – wyjaśniłam i przedstawiłam jej kandydaturę Eryka. Młody ekolog, najprawdopodobniej bez uprzedzeń. Tyle tylko, że lubi spędzać czas wolny na drzewach.

Ludwika zastanowiła się chwilę. W końcu oznajmiła, że tyle już w życiu przeszła, że na drzewie może powiesić, byle z tolerancyjnym mężczyzną. Umówiłyśmy ją na sobotę (Eryk przez telefon zdradzał miłe podniecenie, że tak szybko znalazłyśmy następczynię „bezdusznej i wyuzdanej Ewy”).

Wychodząc, Ludwika odwróciła się jeszcze w drzwiach, spojrzała na Kaję i spytała, erotycznie zniżając głos:

– Pokazać pani moje piersi?

22 sierpnia, czwartek

Potter może się schować ze swoimi przygodami, w porównaniu z tym, co dzieje się w naszym biurze.

Dzwoniła mama.

Jej hinduskie koleżanki leżą chore w domu i czekają na zemstę Buddy. Podobno mama w ramach oswojania z polską kulturą podała im bigos wykonany tradycyjną metodą. Czyli z tłustą wieprzowiną. Niestety, zupełnie wyleciało jej z głowy, że dla niektórych Hindusów świnie są nieczyste i absolutnie nie należy ich jeść. Jej koleżanki w chwilę po tym, jak zorientowały się, że pożarły grzeszne mięso, przystąpiły do płukania żołądka metodami bulimiczek, ale niestety, było już za późno.

Mama czuje się winna – i słusznie. Bruno polecił jej, żeby wstawiła się u Buddy za Hinduskami i wytłumaczyła, że zjadły świnie wskutek niewiedzy, a nie umyślnego zamachu na ich życie, ale mama twierdzi, że chyba nic już nie pomoże.

Nie zazdrozczę jej. W końcu zemsta Buddy może również ją osiągnąć. Kasia twierdzi, że nie ma się czego obawiać, bo Budda jest chyba jedynym bogiem, który

się nie mści. Ciekawe, czy ona wygłasza takie rewelacje na lekcji religii? Pewnie nie, bo już dawno z wielkim hukiem wyleciałaby ze szkoły.

23 sierpnia, piątek

Róża wróciła z Grecji. Oznajmiła nam przez telefon, że *Thalasso* ujęło jej co najmniej dwadzieścia lat, a młodzi Grecy drugie tyle. Emeryci stają się w pewnym wieku dziwnie perwersyjni.

No i zapowiedziała się na następny weekend. Mamy ją zaprosić do greckiej restauracji, żeby mogła trochę powspominać. To chyba ona powinna nam zafundować kolację. Ja nawet nie wiem dokładnie, co to jest *Thalasso*.

Po południu wpadła Matylda, wyjątkowo bez swojego hałaśliwego karalucha (został z babcią) i po dwudziestu minutach opowieści o wybitnych zdolnościach syna, spytała szybko i cicho:

– Wezmiesz na tydzień psa?

– Psa? Masz psa? – spytałam, by zyskać na czasie i wykombinować elegancką odpowiedź o zabarwieniu negatywnym.

– Mam. Od paru miesięcy. Husky. Cudowny jest i wcale nie wymaga dużo czasu. A my chcielibyśmy polecieć na tydzień do Turcji i nie mamy z kim go zostawić. No, a Bruno jest w końcu weterynarzem. – Zauważyła, moim zdaniem, zupełnie bez związku. Nie zostawia się kwiatów do podlewania wyłącznie wykwalifikowanym ogrodnikom.

– A jak ma na imię? – Boże, co ja mam wymyślić, żeby nie brać haszczaka do domu?

– Wichra.

Nie. Nie chcę Wichra. Nie chcę nawet jamnika z powyrywanych nóżkami. Muszę to powiedzieć Matyldzie, z pewnością mnie zrozumie. Nawet jeśli nasza przyjaźń musiałaby na parę miesięcy ostygnąć. Wzięłam głęboki oddech:

– Dobrze, ale tylko na tydzień.

Jutro Matylda przywiezie Wichra. Jestem zerem. Asertywnym zerem.

24 sierpnia, sobota

Wicher ma jedno oko brązowe, a drugie niebieskie. Jak ziewa, to mu śmierdzi z pyska, a jak machnie ogonem, to zrzuca szklanki ze stołu. Spytałam Brunona, czy jest jakiś spray dla psów albo chociaż tabletki na odświeżenie oddechu. Przyznał, że nie słyszał. Ale są kości, które trochę redukują smród. Przyniesie mi dzisiaj z kliniki. Na razie Wicher dostał paczkę tic taców.

Nic nie pomogło.

Kasia jest oczywiście zachwycona. Wzięła nawet Wichra na spacer i wróciła po czterech godzinach, bo podobno jej uciekł. To rzekomo normalne u psów tej rasy, ale w tej sytuacji nie będę go spuszczać ze smyczy. W lodówce znalazłam sporą kolekcję siwych i czarnych włosów. Jako żona weterynarza próbowałam zlekceważyć sierść w maśle, ale przyszło mi to z trudem.

Kaja wpadła wieczorem zobaczyć psa i zastanowić się, czy to czasem nie jest dobry sposób na wychowanie dziecka. Pies bowiem uwrażliwia.

Ostrzegłam ją lojalnie, że nie będzie mogła go u mnie zostawić nawet na pół

godziny. Pokiwała ze zrozumieniem głową, po czym podrapała Wichra po brzuchu. W podzięce wysunął różowe, psie przyrodzenie.

Fuj.

Pół nocy nie spałam. Wicher najpierw piszczał, więc go wyprowadziłam. Siknął kulturalnie pod płótem, a następnie skierował się w stronę ulicy. Gwałtownym szarpnięciem dałam mu do zrozumienia, że wracamy do domu, a on jeszcze gwałtowniejszym odpowiedział, że nie ma takiego zamiaru. Na dodatek, zaczął szczekać. Po krótkiej szamotaninie przebiegłam się z nim dwa razy wzdłuż naszej uliczki, a następnie przystanęłam, żeby uspokoić oszalałe serce. Resztką sił chwyciłam Wichra za kark i dowlokłam go na schody. Wyglądał na oburzonego, na szczęście zapomniał o szczekaniu. Zmieniłam przepoconą piżamę i walnęłam się jak nieżywa koło Brunona.

Wicher zaszczekał dwa razy, ale zdzieliłam go poduszką.

25 sierpnia, niedziela

Kasia i Bruno od rana bawią się z psem. Nawet byli z nim na spacerze. Wicher na mój widok trochę się zjeżył. Pewnie pamięta o poduszce. Pogłaskałam go na pocieszenie i dałam pół jabłka, bo i tak było robaczywe.

Wicher zdecydowanie najbardziej polubił Brunona. To w zasadzie rozumiałe, ale w końcu to ja biegałam wczoraj do upadłego wzdłuż ulicy. I to w piżamie.

Mama znowu zadzwoniła. Czy Ralf wie, ile kosztują połączenia do Polski? Podobno znowu spotyka się z Hinduskami. Pomedytowały trochę i wybaczyły mamie. Przyniosły jej nawet kropkę.

– Kropkę? – Upewniłam się, czy z mamą rzeczywiście wszystko w porządku.

Kropkę. Ma ją sobie przylepić na czoło. Spytałam, co zrobiła z kolczykiem, który dostała od nastoletniego marginesu. Wbiła w pępek.

Zgroza.

A jak ktoś jej każe wytatuować sobie na czole smoka albo inne zwierzę? Też się na to zgodzi? Moja matka zupełnie nie wie, co to znaczy asertywność. Powiedziałam jej o tym. Poinformowałam też, że mam psa. Na tydzień, bo nie umiałam odmówić koleżance, która pojechała na wakacje. Mama spytała, co zrobię, jak mi ktoś przyprowadzi nosorożca i każe codziennie myć mu róg i zakrapiać oczy?

Co to ma do rzeczy?

Obawiam się, że niemiecka wieś, burdel FKK i hinduskie przyjaciółki nie wychodzą jej na dobre.

Dlaczego niby miałabym zakrapiać nosorożcowi oczy?

Wicher wykopał w naszym ogródku kreta. To miłe z jego strony, choć przy okazji zrył pół trawnika, zrobił rzadką kupę, a kreta przytaszczył do domu i za żadne skarby nie chciał oddać. Po godzinnej gonitwie, poddałam się. Wtedy Wicher po prostu zostawił kreta w kącie i poszedł spać.

Dlaczego nikt mi nie powiedział, że psy husky są złośliwe?

26 sierpnia, poniedziałek

Obrzydliwy upał. Ciekawe, czy Ludwika wisi w tym słońcu na drzewie, czy Eryk od razu ją odciął, jak się tylko dowiedział o penisowej przeszłości swojej nowej

wybranki.

Na razie nikt do nas nie dzwoni.

Kasia zabrała dzisiaj Wichra do Dominika, więc jest szansa, że pies nie zrujnuje nam domu, trawnika i nie skolekcjonuje kolejnego kreta.

Kaja przysłała do pracy z rewelacją. Podobno pani Genowefa będzie miała dziecko. Oczywiście nie urodzi sama, ale wpisała się na listę oczekujących w Internecie i czeka na odpowiedź. Olek jeszcze nic nie wie. Moim zdaniem oboje powinni jak najszybciej porozmawiać. Poza tym, nie wiem, czy to, co robi Genowefa jest legalne.

Kaja zrezygnowała z wielorybów, bo od ich śpiewu robi jej się niedobrze, a dziecko dwa razy intensywniej kopie i najczęściej trafia w pęcherz. Przerzuciła się na szum fal i dźwięki lasu, z dominującymi odgłosami ptaków. Po dwudziestu minutach zawsze zasypia i dzięki temu czuje się doskonale. Płód podobno też.

O piętnastej zamigotała żółta koperta.

Amor: „Co robić, kiedy jedna pierś jest większa od drugiej?”.

O Boże. Nie wiem. Nie wiem nawet, co robić, kiedy obie są takie same, a wiszą.

„A ile masz lat?” – upewniłam się na wszelki wypadek.

Amor: „Założmy, że naście”.

„Jeśli masz naście bliżej dziesięciu, to druga ci jeszcze urośnie” – przypomniałam sobie z lekcji biologii. – „Jeśli masz naście bliżej dwudziestu, to zgłoś się do chirurga plastyka”.

Amor: „Znaczy wyrównają się?”.

„Powinny” – choć w zasadzie nie dam głowy. Moje były od razu równe, choć jakies takie mało gazetowe. Modelki na zdjęciach zawsze mają biust okrągłutki i zgrabny jak połówka grejpfruta. A gdzie właścicielki szurzących ryjków, przebitych baloników i smutnych placków? Pewnie stanowią niechlubną mniejszość.

Westchnęłam upokorzona.

27 sierpnia, wtorek

Wicher zwymiotował kurczakiem, marchewką i kaszą. Bruno twierdzi, że to moja wina, bo podałam psu za gorącą karmę. Osobiście uważam, że Wicher ma stanowczo wydelikacowany żołądek, a poza tym wybrzydza.

Dałam mu drugą porcję, profesjonalnie wychłodzoną, choć nie sądzę, aby to miało jakiegokolwiek znaczenie.

Nie zwrócił.

W pracy spokojnie. Kaja próbuje dodzwonić się do Eryka i delikatnie wybadać, jak tam nowa przyjaciółka. Nie ma sygnału. Pocieszyłam ją, że na drzewach trudno o zasięg, ale też jestem trochę zaniepokojona.

Około trzynastej poderwał nas telefon.

– Ludwika to facet – oznajmił nam Eryk. Jak byśmy nie wiedziały.

– Znaczy była facetem. I tylko dlatego rozumie, o co walczę. Żadna baba nigdy tego nie pojmie. – Obraził nas.

Odniosłyśmy kolejne zwycięstwo, choć okraszone zniewagą ekologa. Kaja spytała jeszcze, jak było na drzewie.

– Na jakim drzewie? To są przestarzałe i bezskuteczne metody. Zamiast wisieć

bezcelowo, spędziliśmy kilka dni na konferencji poświęconej wilkom. Ludwika jest rewelacyjna. Dzięki – rzucił jeszcze i w końcu się rozłączył.

Wilkom?

O czym może być konferencja poświęcona wilkom? O tym, że są groźne? Przecież to wiadomo od czasów Czerwonego Kapturka! Kaja też nic z tego nie rozumie.

Swoją drogą, Wicher też przypomina wilka. Muszę być ostrożniejsza.

28 sierpnia, środa

Od rana siedzi u nas Dominik. Przyszedł na śniadanie i wspólny spacer z Kasią i Wichrem. Dobrze, że są wakacje i nie muszę bez przerwy zajmować się psem, który poluje na krety, ucieka, węszy jak wściekły i, co najgorsze, przypomina wilka.

Wicher polizał mnie w łydkę.

Pewnie sprawdza, jak smakuję.

W pracy panika. Kaja spotkała Adama, a ten podobno nie mógł oderwać wzroku od jej wystającego brzucha. Wciągała go jak mogła, ale tylko zabrakło jej powietrza. W końcu uznała, że na jedno wielkie pytanie w oczach byłego kochanka trzeba jakoś odpowiedzieć.

– To eksperyment – wyjaśniła dość zwięźle.

Adaś spytał uprzejmie jaki, ale odparła, że to rządowa tajemnica, z którą on nie ma nic wspólnego.

– Obawiam się jednak, że nie uwierzył – relacjonowała zrozpaczona Kaja.

No cóż, nie dziwię się. Rządowa tajemnica i brzuch Kai? W to nawet taki baran jak Adaś nie miał prawa uwierzyć. Poczekajmy na rozwój wypadków.

Wieczorem

Wicher zrzucił mnie z kanapy. To są właśnie wilcze zapędy przywódcy stada. Oglądałam telewizję i nagle wylądowałam na ziemi, a on udawał, że nic się nie stało.

Jak ja mogę mieć wpływ na pasierbicę, skoro nawet psy mają do mnie lekceważący stosunek? Dopiero Bruno wyjaśnił Wichrowi, że jestem w tym domu ważną osobą, więc ma się wynosić z kanapy. Posłuchał, ale łypnął w moją stronę przenikliwie tym swoim niebieskim okiem. Mam nadzieję, że Matylda nie wykupiła wycieczki do Turcji w jednym z tych biur podróży, które oferują przelot wyłącznie w jedną stronę.

29 sierpnia, czwartek

Straszna kompromitacja.

Bruno pojechał dzisiaj wcześniej do pracy, a Kasia spała. Zostałam zmuszona do porannego spaceru z Wichrem, który już cieszył się na samą myśl o tym, co ze mną zrobi. Najpierw więc wyrwał mi rękę z barku, a kiedy go w końcu spuściłam ze smyczy, w miejskim parku, tradycyjnie dał nogę.

Nie przejęłam się, bo Bruno mówi, że husky zawsze wracają. Chyba że wpadną pod samochód albo w łapy raka.

Po dwóch godzinach zadzwoniłam do Kai i powiedziałam, że się trochę spóźnię, bo czekam na psa. Po upływie trzeciej godziny zaatakowało mnie dwóch panów ze

straży miejskiej, nazywanych też municypalnymi.

– Czy to pani pies biega bez smyczy i kagańca po parku? – Pytanie było z natury bezpośrednich i pachnących mandatem.

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą, upychając sobie jednocześnie smycz w majtki.

– A nie widziała pani kogoś, kto mógłby być ewentualnie właścicielem?

Widziałam, są w Turcji, zwiedzają Pamukkale.

– Nie, niestety. Przyszłam tu przed paroma minutami trochę się przewietrzyć – oznajmiłam i odeszłam, podzwaniając smyczą w majtkach.

Zdaje się, że nie mogli oderwać wzroku od mojej wystającej pupy. Po kolejnej godzinie Wicher sam mnie znalazł i bez problemu dał sobie założyć smycz.

– To jednak pani pies! – Municypalni nagle wyrosli przede mną.

– Nie. Nie mój. Znalazłam na ławce smycz i wtedy akurat ten pies przybiegł. Właśnie chciałam go panom oddać, bo może właściciel zaginął. – Wepchnęłam im smycz do ręki i najzwyczajniej w świecie zwałam. Boże, Matylda mnie otruje tureckim ziołem.

Jestem zbrodniarką. Oddałam niewinnego psa rakarzom.

Wieczorem

Wicher jest znowu z nami i nawet nie ma do mnie pretensji. Na wszelki wypadek oddałam mu kanapę. Przed zamordowaniem psa, a potem mnie (przez Matyldę) wyratował nas Bruno. Zaraz po tym tragicznym wydarzeniu zadzwoniłam do niego do pracy i wyznałam prawdę. Mój mąż natychmiast pojechał do biura municypalnych, czy jak to się tam nazywa, i odebrał psa. Wicher stał się przez ten czas ulubieńcem pracowników i ze smakiem pożerał biszkopta na przemian z kanapką z pasztetem, a całe zajście potraktował najwyraźniej jak zabawę.

Bruno wyjaśnił municypalnym, że jego żona miewa zaniki pamięci i czasem zdarzają jej się takie właśnie nieporozumienia. Teraz pies, kiedyś samochód... Pokiwali głowami ze współczuciem.

Bruno nie zapłacił nawet mandatu.

30 sierpnia, piątek

Jutro wraca Matylda. Co za ulga! Jestem nawet skłonna odebrać ją z lotniska i wycalować trzyletniego robala. Nie pójdę więcej na spacer z Wichrem! Zresztą i tak jestem skompromitowana wśród miejskiej policji i cierpię na Alzheimera. Na szczęście Kasia mnie wyręczyła. Dobrze, że jest z nami.

...

Znaczy, że akurat teraz jest, a nie w ogóle.

Muszę się przygotować psychicznie na spotkanie z Różą. Przeczytałam artykuł o *Thalasso* i strasznie jej zazdroszczę. Nacieranie solą, masaże, podwodne rozciąganie, maseczki z alg i ogólna regeneracja. Po co jej to wszystko w tym wieku? To ja potrzebuję regeneracji, odpoczynku, nawilżania, masażu i alg na całym ciele.

Kremy pod oczy nie działają, boli mnie kręgosłup i mięśnie od czasu, jak ganiałam z Wichrem po mieście. Nieśmiała sugestia Brunona, że powinnam więcej się ruszać, bo mam zardzewiałe stawy, wywołała dodatkowo tylko ból głowy. Otaczają mnie wredni ludzie, podli weterynarze i sthalassowane teściowe.

31 sierpnia, sobota

Matylda zadzwoniła z lotniska i spytała, czy wszystko w porządku z „piesiuniem”. Piesiunio?

Przyjedzie po niego po południu, więc Wicher jeszcze zdąży zaatakować teściową. Niestety, szybko okazało się, że Róża nie boi się psów, a Wicher od razu przypadł jej do gustu. Wyraziła też nikogo nieinteresującą opinię, że sami powinniśmy zafundować sobie psa. Kasia naturalnie przytaknęła, ale na szczęście jej zdanie się nie liczy. W końcu wróci chyba kiedyś do domu. Do SWOJEGO domu. Bruno stwierdził, że on ma wystarczająco dużo zwierząt w pracy, poza tym nie mielibyśmy z kim zostawić psa chociażby podczas wakacji.

No właśnie.

Skończmy więc ten temat, zanim stękanie Kasi zmiękczy i tak już wystarczająco gąbczaste serce mojego męża. Muszę przyznać, że Róża wygląda skandalicznie dobrze. Jest opalona, loczki jej się trochę wyprostowały i ogólnie tryska energią.

Przy obiedzie wydało się daczego. Otóż na uroczej wycieczce do Grecji matka Brunona poznała niejakiego Emila, kominiarza o niebanalnym głosie (śpiewał jej miłosne serenady i towarzyszył podczas zabiegów *Thalasso*). Od tego czasu Emil stał się częstym gościem w jej domu.

No cóż. Od śmierci taty Brunona minęło jakieś dwadzieścia lat, więc teoretycznie Róża ma prawo spotykać się z innym mężczyzną, ale mimo wszystko poczułam się jakoś dziwnie. W tym wieku romanse? Co innego klientki naszego biura, ale żeby własna rodzina miała takie pomysły? Bruno, o dziwo, nawet się ucieszył, a Kasia spytała, czy Emil jest prawdziwym kominiarzem w tradycyjnym stroju, na widok którego przesądne baby łapią się za guzik.

Jest.

– I czyści kominy – dodała z dumą Róża, jakby ta czynność była czymś niespotykanym u kominiarzy.

Mamy ich odwiedzić we wrześniu, ale w drugiej połowie, bo najbliższe weekendy mają już zajęte.

Oburzające.

O siedemnastej przyszła Matylda, a Wicher na jej widok posikał się z radości. Bruno taktownie nie wspominał o incydencie z municypalnymi ani o innych drobnych wpadkach, za co jestem mu dożgonnie wdzięczna. Matylda (kolejna obrzydliwie wypoczęta osoba) podziękowała nam wylewnie i wręczyła Brunonowi tureckie wino, Kasi gigantyczną muszlę, a mnie wściekle kolorowy koszyk na zakupy. Nawet fajny.

Wicher pierwszy wybiegł za drzwi i nawet się nie pożegnał. Te wszystkie bzdury o psim przywiązaniu i wdzięczności są najwyraźniej wysrane z palca.

1 września, niedziela

Jutro szkoła. Kasia niewiele sobie robi z tego, jakże w końcu ważnego wydarzenia i ogląda jakieś bzdury w telewizji, a ja nie mogę zaliczyć żadnego serialu. Przez nią już się nie połapię w nowych wątkach.

Czytam więc kolorowe magazyny. Muszę jutro koniecznie pójść do sklepu

kosmetycznego i zapytać o kwiat knifofii. Podobno zbiera się go ręcznie, o wschodzie słońca, potem coś się z nim robi, a efekt jest taki, że skóra młodnieje w oczach. Wyraźnie napisane: „dla kobiet potrzebujących intensywnej kuracji odmładzającej, z wyraźnymi oznakami starzenia, zmęczenia, stresu, zmarszczkami i zmianami hormonalnymi”. Kiedy sporządzali tę ulotkę, musieli mieć moje zdjęcie.

2 września, poniedziałek

Kasia wbiła się w postrzępioną, dzinsową spódnicę zakupioną w Niemczech (za pieniądze MOJEJ matki!) i tak przebrana poszła do szkoły. Zdaje się, że jedynym powodem, dla którego w ogóle wyszła z domu, jest Dominik. Nie sędzę, aby miała ochotę spotkać się z Myszą i księdzem. Chyba że ten ostatni wydlubał przez wakacje wszystko, co miał do wydłubania, i nie będzie więcej obrzydzał zajęć.

Przed pracą wstąpiłam do sklepu z kosmetykami. Kwiat knifofii. Owszem – pani słyszała i nawet ma takie cuda, ale to chyba nie dla mnie.

– To bardzo silne serum, pani jest za młoda – zastrzegła.

Cóż za doskonale wyszkolony personel. Nawet jej powieka nie drgnęła przy tym parszywym kłamstwie.

– Ale to dla mamy. – Postanowiłam dać się wciągnąć w tę poniżającą grę w komplementy. Jeśli teraz powie, że nawet moja mama jest za młoda na knifofię, bo ma taką córkę, zaskarżę ją o moralne znęcanie się nad klientem.

Pani przyniosła trzy miniaturowe flakoniki i wyjaśniła, że cała tajemnica tkwi w trójfazowym serum, dlatego należy kupić trzyczęściowy zestaw – inna część na każdy tydzień.

Hmm... Wygląda cudownie.

Pięć minut później uciekłam ze sklepu, niestety bez flakoników. Pani wyjawiała bowiem cenę – tysiąc pięćset złotych. I co gorsza nie można takiego flakonika kupić pojedynczo! Tysiąc pięćset złotych. Nie jestem za stara na knifofię. Jestem na nią za biedna.

Pożaliłam się Kai. Pokiwała ze zrozumieniem głową, bo sama zachorowała na krem z wyciągiem z masy perłowej. Niestety, krem przegrał z zestawem śpioszków, wózkami i łódeczkami.

To też musiało nieźle kosztować.

3 września, wtorek

Wreszcie pojawiła się Ewa! A już podejrzewałyśmy, że przedłużyła urlop z powodu ratownika.

Niestety.

Ratownik był, ale miał lat dwadzieścia parę i staroświeckie podejście do życia, bowiem oglądał się za partnerkami w swoim wieku lub młodszymi. Ewa twierdzi, że gdy miał zastosować znaną w ratownictwie technikę usta-usta pewnej podtopionej czterdziestoletniej wczasowiczce, zdawał się zniesmaczony.

– Jakby całował próchno – wyżaliła się.

Pokiwałyśmy głowami.

Kompletnie niemodny dupek. Przecież cała prasa kobieca rozplywa się nad związkami mieszanymi wiekowo, w których to ona ma więcej lat, a czasem również

i więcej pieniędzy. Ewa spytała, czy podczas jej nieobecności nie pojawił się jakiś nowy kandydat. Z bólem wyjawiliśmy prawdę.

– Był jeden, ale teraz jest już kobietą – Kaja poinformowała klientkę, ale Ewa najwyraźniej nie miała ochoty wysłuchiwać opowieści o transseksualnej Ludwice. Tylko zaszlochała bezłzawo. Pocieszyliśmy ją, że we wrześniu zawsze wzmaga się ruch i z pewnością ona będzie pierwsza na liście.

Wieczorem

Kolacja z Różą w greckiej restauracji spowodowała, że wróciłam głodna i ze zniszczoną torebką.

Matka mojego męża nie pozwoliła nam nic wybrać, tylko sama zamówiła dla wszystkich grecką specjalność. I oto nagle przed moimi oczami na talerzu wyrosły maleńkie ośmiorniczki, z oczkami i z odrąbanymi mackami.

Za żadne skarby nie byłabym w stanie ich zjeść, bo nie znoszę pływających stworów. Niestety, nie mogłam odmówić, bo naraziłabym się teściowej, ośmieszyłabym się w oczach Kasi i w oczach Brunona pewnie też. Postanowiłam walczyć z narastającym obrzydzeniem.

Najpierw wysłałam mojego męża po oliwę z oliwek, a dziewczynę po dodatkowe serwetki. Róża grzebała w torebce, więc w tym czasie schowałam do swojej dwie macki, a jeden korpus przetrzymałam Brunonowi na talerz. Kiedy wrócił razem z Kasią, oblizyłam się ze smakiem i stwierdziłam, że czegoś podobnego to rzeczywiście jeszcze nie jadłam.

I to akurat była prawda.

Następnie upuściłam widelec, a kiedy dzentelmen Bruno i Kasia – pozująca na dobrze wychowaną – zanurkowali pod stół, dwa kolejne korpusy wylądowały na jego talerzu, a dwie macki w torebce. Róża niczego nie zauważyła, bo zawzięcie soliła frytki. Pozostały jeszcze trzy.

I tu przyszedł mi z pomocą grecki zespół, który postanowił urozmaicić wieczór kiczowatą wiązką romantycznych przebojów. Kiedy wszyscy się odwrócili, żeby popatrzeć na oliwkowych muzyków, zgarnęłam resztę potworków z talerza i wrzuciłam pod stół sąsiadów, którzy w tym momencie też byli odwróceny. W ten właśnie sposób „zjadłam” swoją kolację i byłam straszliwie głodna.

4 września, środa

Rano wstałam i wyrzuciłam torebkę. Całą noc czymś dziwnie zalaatywało spod łóżka, aż w końcu wykręciło mi nos. Bruno też się krzywił i stwierdził, że w restauracji mieli najwyraźniej fatalną wentylację. Żeby cały smród pozostał na ubraniach!?

Żeby tak rybą cuchnęło!?

Skandal.

W pracy trzęsienie ziemi. Zamiast tłumu kandydatów do ręki Ewy, zjawił się Adaś i oskarżycielsko wycelował paluch w brzuch Kai.

– Co to jest? – spytał mało inteligentnie.

– Brzuch.

– Ale dlaczego taki wypukły? – dopytywał się odrobinę jakby zdenerwowany.

– Bo jestem w ciąży – wyjaśniła Kaja, słusznie rozumując, że każda inna odpowiedź nie miałaby już w tej chwili najmniejszego sensu.

– No, tego się właśnie domyśliłem. Pytanie tylko: z kim? – Adaś zaczął nerwowo skubać strupek na prawej dłoni.

W tej sytuacji Kaja absolutnie nie mogła wyznać prawdy. Facet, który skubie strupek na samą myśl, że jego plemniki znowu zrobiły mu głupi żart, stanowczo nie nadawał się na ojca.

– A... to jest właśnie ten eksperyment, o którym ci wspominałam – rzuciła Kaja, rozpaczliwie szukając mojej pomocy.

Adaś uniósł efektownie brew, a strupek bezszelestnie upadł na ziemię.

– To jest... to jest sztuczne zapłodnienie! – krzyknęłam poruszona własnym geniuszem i refleksem.

– Sztuczne? Z kim? – Adaś jest jednak kretynem. Jak to z kim?

Kaja wyjaśniła mu, że właśnie nie wiadomo z kim, bo to nie jest istotne. Ona bardzo chciała mieć dziecko, więc zgłosiła się do specjalistycznej kliniki medycznej...

– ... za granicą – wtrąciłam, żeby odsunąć widmo poszukiwań specjalistycznych klinik przez Adasia.

– ... i tam dokonali sztucznego zapłodnienia – dokończyła Kaja.

– Ojciec jest prawdopodobnie pochodzenia belgijskiego – poinformowałam dodatkowo.

– Belgijskiego? – Adaś wyglądał coraz bardziej idiotycznie. Co on tak się dziwi? W końcu Belgia leży w Europie.

– Prawdopodobnie... W każdym razie nie jest Polakiem – podsumowała Kaja.

Nie wiem, czy Adaś nam uwierzył, ale tak przynajmniej powiedział. Myślę, że on uwierzyłby nawet wtedy, gdyby Kaja oznajmiła, że zaszła w ciążę z dmuchaną lalą z sexshopu.

Tchórzliwa świnia.

Najwyraźniej przerażała go myśl o kolejnych alimentach, bo odetchnął z ulgą przy informacji o Belgu. Zdaje się, że dziecko Kai jest w końcu bezpieczne.

5 września, czwartek

Śnił mi się dzisiaj kwiat knifofii. Intensywnie pachniał, był różowy, rozchyłał swoje delikatne płatki i szeptał: „Wieczna młodość”...

Obudziłam się z poczuciem życiowej klęski. Moje oczy przypominają oczy starej Indianki, która wyplakała je do ostatniej kropli, chowając całą swoją rodzinę, która wymarła na cholere. Zrobiłam sobie kompres z zielonej herbaty. W końcu to też roślina i to dużo tańsza.

Opuchlizna odrobinę zeszała.

W pracy odwiedził nas dzisiaj Aleksander – harleyowiec – i spytał, czy w zakresie naszych usług znajduje się również doradztwo. Zamieniłyśmy się w słuch.

– Genia chce mieć dziecko – wystękał w końcu. – A mi się wydaje, że chyba jesteśmy już na to za starzy.

Chyba?

– Ale z tego, co wiemy, to pan chciał mieć dziecko – nieśmiało wtrąciła Kaja.

– Ja? Ja tylko powiedziałem, że byłoby fajnie, gdyby dzieci z nami zamieszkały. Ale miałem na myśli moje dzieci! A w zasadzie jedno dziecko – córkę.

Biedna Genia. Najpierw martwiła się, że nie ma okresu. Potem chciała nielegalnie, przez Internet, zaadoptować dziecko. A teraz taki strzał. Na stare lata Aleksander funduje jej dorosłą pasierbicę z mężem. A co jeśli się będą nad nią znęcali i trzymali pod łóżkiem, jak w filmie *Ballada o Januszkę*?

Aleksander wyjaśnił nam, że jego córka to urocza kobieta, ale jest chora na stwardnienie rozsiane i w związku z tym potrzebuje opieki. Męża nie ma, a na razie zajmuje się nią ciotka – niestety coraz starsza. Poczulałam się głupio. Nie sądzę, aby osoba ze stwardnieniem rozsianym kazała komukolwiek siedzieć pod łóżkiem. Poradziłyśmy Aleksandrowi, żeby spokojnie porozmawiał z Genią i to w miarę szybko, zanim ją aresztują za internetowy „dzieciokup”.

6 września, piątek

Wydała się sprawa z Wichrem i jego pobytem na posterunku.

Co za wstyd! A wszystko dlatego, że Matylda chodzi na spacer do tego samego parku co ja.

Podobno dzisiaj zatrzymali ją municypalni i spytali, skąd ma TEGO psa. Oznajmiła, zgodnie z prawdą, że z hodowli i że nie rozumie tak dziwnego pytania. Chwilę później oskarżyli ją o kradzież Wichra chorej osobie (czyli mnie), która z powodu swojego upośledzenia (Alzheimer) najprawdopodobniej znowu zapomniała, że to jej zwierzę. Matylda zaś wykorzystała tę słabość i przywłaszczyła sobie cudzego psa.

Moja koleżanka potrzebowała godziny, zanim zrozumiała, o czym mówią panowie w mundurach. W końcu zadzwoniła do Brunona i poprosiła o dodatkowe wyjaśnienia. Wobec takich okoliczności mój mąż mnie zdradził i teraz Matylda nie chce mieć nic wspólnego z osobą chorą nie tyle na Alzheimera, co na głowę. Tak powiedziała, a Bruno dokładnie ją zacytował.

Kaja radzi, żeby się nie martwić. Matyldzie na pewno przejdzie, poza tym Wichrowi nic się przecież nie stało. Mimo wszystko, czuję się jakbym zjadła żuczka gnojarka. Śmierdząco i obrzydliwie.

Róża pojechała w końcu do domu, bo zbliża się weekend, a oni z Emilem planują kurs salsy.

7 września, sobota

Córka Aleksandra zamieszka wspólnie z nim i Genowefą. Podobno Geni spadł kamień z serca, bo sama nigdy nie miała dzieci i nie była pewna, czy poradzi sobie z noworodkiem z Internetu. Poza tym, za zaoszczędzone pieniądze chce kupić skórzany kombinezon na motor. W dresie czuje się bowiem nieatrakcyjnie.

Doszły nas plotki, że znęcam się nad Kasią. Takie rewelacje przyniósł po południu Bruno, którego zaczepiła sąsiadka (mieszka trzy domy dalej, a takie ma wiadomości!) i spytała, dlaczego zezwala na tak okrutne traktowanie córki.

– Podobno pana żona nie daje jej jeść.

Mój mąż taktownie zaprzeczył.

– Podobno zamyka ją w ciemnym pokoju na noc, a mała się boi.

Bruno nadal spokojnie wyjaśnił, że Kasia ma lat czternaście i od dawna nie śpi przy zapalonym świetle. To trochę zbiło sąsiadkę z pantaląku (co to jest u diabła pantaląk?), ale dzielnie brnęła dalej.

– Ale że ją bije, to pan nie zaprzeczy?

Mężczyzna niestety musiał to zrobić, czym ogromnie rozczarował sąsiadkę. Zanim zdążyła mu zadać kolejne pytanie, wpadł jej w słowo.

– Moja żona czasem tylko przywiązuje Kasię za nogę do kaloryfera i rozpalonym pogrzbaczem przypala jej pięty, a następnie okłada nahajem.

Podejrzewam, że sąsiadka przez następne dni będzie usilnie myśleć, co to jest nahaj. Ale i tak boję się pokazać na własnym osiedlu. A co, jeśli dowcip Brunona zostanie potraktowany zbyt serio i naślą na mnie opiekę społeczną? Swoją drogą, ciekawe kto rozpowiada wszystkie te bzdury?

– Może to ta baba od ciasta, co jej ostatnio nie zaprosiliście? – podsunęła dziewczyna.

No tak. W końcu to ona wymyśliła, że nasz sąsiad siedział za sadomasochistyczne upodobania. Chciałam od razu iść ją zabić, ale Bruno z Kasią mnie powstrzymali.

– Jednak na wszelki wypadek możesz mi zrobić kolację. Może te wszystkie babole siedzą teraz z lornetkami w oknach. Będiesz miała alibi – poklepała mnie po plecach.

Uch! Znowu to skandaliczne spoufalanie się. Ale lornetki są bardzo prawdopodobne, więc poświęciłam się i przygotowałam kanapki. W końcu *Big Brother* miał w Polsce ogromną oglądalność. Kiedy się skończył, trzeba było wrócić do starego zwyczaju podglądania zwykłego sąsiada.

8 września, niedziela

Kasia namówiła mnie dzisiaj na jogging. W każdej innej sytuacji bym odmówiła, ale obawa przed lornetkami i chęć utarcia sąsiadkom nosa była większa. Zmusiłam się więc do założenia dresu i wspólnego biegania z maltretowaną pasierbicą. Bruno twierdzi, że już dawno powinnam zmusić się do jakiegoś ruchu, bo przed komputerem sflaczeję do reszty. Pomacałam udo i brzuch. Fakt. Sflaczałe. Ale to jeszcze nie powód, żeby obrażał mnie mój własny mąż!

Po południu

Nienawidzę biegania. Nie wiem, kto wymyślił tak absurdalny sposób spędzania wolnego czasu.

Kiedy ruszyliśmy, już po pięciu minutach poczułam pierwsze klucie w lewym boku. Po siedmiu klucie nasiliło się. Po dziesięciu myślałam, że rozerwie mi podbrzusze. Kasia tymczasem biegła sobie lekko i jeszcze cały czas gadała. Niestety, nie mam pojęcia o czym, bo zmęczenie zatkało mi bębenki. Po piętnastu minutach, kiedy czułam klucie w całym ciele, serce waliło jak oszalałe, a w mózgu huczało, zostałam zmuszona do zastosowania planu awaryjnego. Wypatrzyłam innych joggujących (co to za moda!?), i kiedy zbliżyli się do mnie z naprzeciwka, zamknęłam oczy, po czym wpadłam na jednego z nich.

Co za ulga. Nie musiałam już dalej biec.

– Strasznie panią przepraszam. – Z błogiego stanu bezruchu wyrwał mnie

przestraszony głos. – Myślałem, że pani skręci, a jakoś na siebie wpadliśmy. – Gdzieś tak na oko osiemnastoletni chłopak z ryzawym zarostem pochylał się nade mną i podawał rękę.

– No wiesz!? Mogła przez ciebie złamać sobie nogę! – Kasia wydawała się szczerze oburzona i na dodatek chwyciła mnie pod pachy.

– Przepraszam, kompletnie nie wiem, jak to się stało.

– Nie szkodzi. – Uśmiechnęłam się z taką wdzięcznością, że ryzawego aż przytknęło.

A potem wszystko poszło jak z płatka. Oznajmiłam Kasi, że niestety nie mogę dalej biec. Wracam do domu, biorę kąpiel i może zrobię kolację. Nie zrobiłam. Po kąpeli padłam na łóżko i spałam kilkanaście godzin bez przerwy.

9 września, poniedziałek

Nie mogę się ruszyć. Poprosiłam Brunona, żeby mnie zawiózł do szpitala, bo mam postępujący paraliż, ale tylko wtarł mi w nogi jakiś rozgrzewający żel i kazał wypić magnez.

Jestem poruszona jego bezduszością.

Chyba nie pójde dzisiaj do pracy. Nie jestem w stanie nacisnąć nogą sprzęgła. Kaja okazała się wyrozumiała. Nie wiedziała tylko, dlaczego zmusiłam się do tak nadludzkiego i absurdałnego wysiłku.

– W ramach obalenia sąsiedzkich domniemań o znęcaniu się nad dzieckiem w ciemnym pokoju. – Wyjaśniłam nieskładnie, ale Kaja o nic już nie pytała, tylko kazała wracać do łóżka.

Tak też chyba zrobię.

Wieczorem

Jest coraz gorzej. Bolą mnie dodatkowo plecy i pośladki. Bruno dzielnie wciera w nie żel, ale odnoszę wrażenie, że to jednak coś poważniejszego. W końcu Kasi nic nie jest.

Po kolejnych magnezach muszę ciągle biegać do łazienki, a każde zetknięcie się moich pośladków z klapą wywołuje przeszywający ból. A co jeśli pokarało mnie stwardnieniem rozsianym za to, że źle myślałam o córce Aleksandra???

Nie chcę już kwiatu knifofii, tylko wilkakorę od tego księdza z Peru!

10 września, wtorek

Jest dużo lepiej. Chyba nie mam stwardnienia ani paraliżu. Kasia uważa, że gdybym dzisiaj pobiegała, natychmiast zapomniabym o bólu. To możliwe, bo pewnie od razu straciłabym przytomność.

Nie można ufać pasierbicy.

Dzisiaj siedzę w pracy sama, bo Kaja ma badania. Może nawet dowie się, jaka pleć. Trzymam za nią kciuki – żeby na zdjęciu USG pojawił się cień małego penisika. Nie mogę więc odebrać poczty ani migającej żółtej koperty. Po kilku chwilach wysiłku kliknęłam w klawiaturę nosem.

Amor (niedostępny): „Szkoda, że nie masz ostatnio czasu, żeby pogadać. Ale zapytam cię mimo wszystko, a ty przyślij odpowiedź. Po pierwsze – kiedy już

pocałowałaś chłopaka, to czy to oznacza, że jesteście parą i nie wolno ci myśleć o innych facetach? I po drugie – mieszkam już z ojcem i jest fajnie, ale mama chce, żebym wróciła. Podobno przemyślała wszystko i twierdzi, że się dogadamy. Co ty na to?”

W kwestii drugiej odpowiadam natychmiast: wracaj do mamy, wracaj do mamy, wracaj do mamy!!!

W kwestii pierwszej, pomyślmy. Pocałunek nie musi przecież oznaczać zniewolenia (zwłaszcza w tym wieku), dlatego chyba wolno myśleć o innych chłopakach.

Nie daje mi spokoju kwestia pierwsza. Może Kasia też się w końcu dogada z mamą???

Z wrażenia zapomniałam, że trzymam kciuki za penisika w brzuchu Kai i odpisałam:

„Zanim zdecydujesz się na ostateczny celibat, wycałuj się z różnymi męskimi ustami. Warto mieć porównanie”.

Wiem, co piszę. Osobiście żałuję, że pocałowałam tak małą liczbę facetów w moim życiu. Najpierw zasłaniałam się dziewiczym wstydem, potem odgrywałam nieprzystępną, a teraz jestem po prostu za stara. No i zaobrączkowana, a w takiej sytuacji szanse na pocałunek okazują się dużo mniejsze. Ciekawe, dlaczego u facetów jest odwrotnie.

W kwestii drugiej postanowiłam okazać nieco taktu i nie namawiać dziewczyny do natychmiastowego powrotu.

„Pomyśl o tacie. Może on będzie za tobą tęsknił?” – spytałam, choć szczerze mówiąc uważam, że powrót do domu jest – w każdej sytuacji – najlepszym rozwiązaniem.

Zadzwoił Bruno. Podobno skontaktowała się z nim matka Kasi (co za bezczelność!!!) i spytała, czy nie sądzi, że chyba najwyższy czas, aby ich córka znowu z nią zamieszkała. Niesamowite! Zmowa porzuconych matek czy co? Nagle wszystkie interesują się własnymi dziećmi i marzą o ich powrocie. Osobiście uważam jednak, że matka Kasi nie powinna ot tak sobie wydzwaniać do mojego męża i konsultować z nim spraw dotyczących naszego domu. Niech dziewczyna sama zadecyduje.

Nie, żebym ją zatrzymywała...

Wieczorem

Kasia oznajmiła, że na razie nie wraca.

– Chyba mnie nie wyrzucacie? – spytała niepewnie. Tak jest. NIEPEWNIE. Cudowny widok.

Bruno zachował się jak profesjonalny ojciec z przepełnionych miłością sag rodzinnych. Przytulił swoje dziecko (choć wciąż pryszczate) i oznajmił, że może zostać tak długo, jak chce (no chyba troszeczkę przesadził, nie można przecież w nieskończoność trzymać potomka pod kloszem).

Ja również wyraziłam opinię pozytywną, ale tylko dlatego, że akurat rozboleła mnie głowa i nie miałam ochoty na kłótnie. Poza tym, zrobimy na złość matce Kasi,

a to też jakaś pociecha.

Dzwoniła Kaja.

Podobno nie widać na razie penisika, ale lekarz twierdzi, że nie wszystko jeszcze przesądzone. To dlatego, że puściłam kciuki, kiedy musiałam odpisywać w sprawie pocałunków.

11 września, środa

Nie zarobiłyśmy na Ewie. Podobno sama znalazła sobie faceta, co automatycznie oznacza, że nie dostaniemy honorarium. Nigdy już nie uzbieram na knifofię.

Nowy wybranek Ewy ma na imię Jacek i jest aptekarzem. Zauroczyła go, kiedy kupowała Scorbolamid, a przyszła po Rutinoscorbin, albo odwrotnie. Niestety, obie reklamy telewizyjne ciągle jej się mylą, więc poplątała się przy okienku. Jacek rozwiązał ten problem (jednak Scorbolamid), a do rachunku dołączył karteczkę ze swoim numerem telefonu.

Myślałam, że takie marne chwytty są możliwe tylko w książkach, ale widocznie aptekarze też szukają miłości na wszystkie możliwe sposoby. Ewa wydaje się zachwycona. Zobaczymy. Romans z aptekarzem nie może się dobrze skończyć. Przecież to skończeni nudziarze!

Dzwoniła mama.

Zamknęli klub FKK, bo władze miejskie dopatrzyły się nieprawidłowości w konstrukcji budynku. Nie wiadomo dokładnie o co chodzi, ale na razie niemiecka wioska pod Berlinem przestała być atrakcją turystyczną. Sąsiadki triumfują, choć mama zgasiła jedną stwierdzeniem:

„Coś Otto ostatnio posmutniał...”

Mama skandalicznie naraża własną reputację i życie.

Włączyłam telewizor. Jakiś dziennikarz z fryzurką pajacyka wspomina tragiczne wydarzenia z Nowego Jorku. W tej grzywce, ze sterczącymi kogutami, jest jednak mało przekonujący, nawet gdy efektownie próbuje zawiesić głos lub obniżyć jego tembr do granic możliwości własnego gardła. Przez to relacja nie wywołała we mnie zamierzonego wzruszenia.

Bruno uważa, że się czepiam.

12 września, czwartek

W naszym domu pojawił się Kuba. Podobno ma naprawić Kasi komputer, bo się zawiesza.

Kuba jest nowy w klasie i zdaje się, że wszystkim koleżankom Kasi w najbliższym czasie coś się zawiesi. Byle tylko Kuba mógł to coś naprawić. Muszę przyznać, że jest śliczny. Cera jak marzenie (chyba rozdał wszystkie pryszcze swoim młodszym braciom), czarny potargany włos i niebieskie jak u Wichra oko. Drugie też niebieskie. Ruchy kocura, uśmiech zniewalający, a do tego spodnie opinające mały, zgrabny tyłeczek. To zupełne zaskoczenie, bo u większości kolegów Kasi krok spodni wije się w okolicach kolan, skracając groteskowo nogi.

Ciekawe, co Dominik powiedziałby na takie „zawieszanie się komputera”?

Kuba odjechał na rowerze, a Kasia w milczeniu zjadła kolację, nie marudząc nawet, że w pasztecie tkwią pieczarki, których nie znosi.

- Naprawił? – Ze stanu zamyślenia wyrwał ją Bruno.
- Tak. – Kasia westchnęła, a ja odniosłam wrażenie, że wcale jej to nie cieszy. No cóż, zawsze może przegryźć jakiś kabelek i znowu poprosić Kubę o pomoc.

Wieczorem

Zrobiłam straszne głupstwo. Kiedy wyrzucałam śmieci, spotkałam naszą plotkarską sąsiadkę – autorkę bzdur związanych z moim rzekomym znęcaniem się nad pasierbicą. Zamiast zignorować babsztyla, wywaliłam w jej stronę język, zaczęłam wrzeszczeć i stroić głupie miny.

Sparaliżowało ją.

Uspokoiliam się dopiero wtedy, kiedy Bruno z Kasią zwabieni hałasem wyszli do ogrodu i siłą zabrali mnie na górę.

Głupia jęcza.

Dobrze jej tak.

Zdaje się, że zrobiłam z siebie idiotkę...

Nie wyjdę z domu przez następny rok.

13 września, piątek

Pechowa data.

Wszyscy sąsiedzi wiedzą już, że jestem nie zrównoważona psychicznie. Zdaje się, że jedynym wyjściem będzie zmiana miejsca zamieszkania. Na moje ponure „Dzień dobry” większość sąsiadów, których miałam pecha spotkać dzisiaj rano, albo zareagowała pukaniem się w czoło, albo zaczęła intensywnie patrzeć w niebo, najprawdopodobniej w poszukiwaniu komety. Postanowiłam ich wszystkich zignorować. I tak są święcie przekonani, że powinnam się leczyć i że tłukę pasierbicę pogrzebaczem.

Czy oni widzieli *Dzień Świra*? Modlitwę balkonową w intencji sąsiada kieruję bezpośrednio do nich.

Owinęłam się kocem i sięgnęłam po pilota. Przemawia były prezydent. Nie wiem, na jaki temat, bardziej nurtuje mnie jego chudość. Czy on w ogóle przestał jeść? A może stosuje jakieś, tybetańskie techniki uwalniania pozytywnej, wewnętrznej energii, która przegania tłuszcz, wygładza cerę i mocno ją brązowi? Madonna też się doskonale prezentuje, ale to podobno dzięki urynoterapii.

Czyżby prezydent...?

Nie, to niemożliwe. W końcu codziennie spotyka się z ludźmi i nie może brzydko pachnieć.

14 września, sobota

W biurze kilku nowych klientów. Niestety, na dwojgu z nich nic nie zarobimy, bo siedząc w poczekalni od razu wpadli sobie w oko i wyszli w ogóle się nie zarejestrowawszy. To skandal. Powinnyśmy dostać przynajmniej dziesięć procent. Kaja chciała nawet za nimi pobiec, ale w porę uprzytomniła sobie, że kobiecie z brzuchem nie wypada ścigać obcych osób i domagać się od nich pieniędzy. Knifofia coraz bardziej się oddala, a wraz z nią resztki mojej młodości.

Kliknęłam na żółtą kopertę.

Amor: „Czy może podobać się jednocześnie dwóch chłopaków?”.

Co za pytanie. Nie tylko może, ale i powinno. Dla własnego zdrowia psychicznego, i emocjonalnego chyba też. Czy jest na świecie kobieta, która wzdycha tylko do jednego mężczyzny? Prawie zawsze marzy przynajmniej o dwóch aktorach, jednym piosenkarzu, kilku milionerach, a czasem nawet o koledze z pracy. Co wcale nie przeszkadza jej być wierną i kochającą żoną.

„Może. Pytanie – który bardziej?”.

Amor: „Obaj tak samo. Nie wiem, którego wybrać”.

Tego z mercedesem, naturalnie.

„Tego, który ciebie bardziej lubi. W przeciwnym razie możesz się bardzo rozczarować”. – Chyba powinnam otworzyć cyberporadnię. „Roma ci pomoże” albo „Mejluj do Romy”. Albo jeszcze inaczej: „Szukasz pomocy? Jesteś zagubiona/y? Czeka na ciebie wirtualna Roma”.

Amor: „OK. To już wiem nieco więcej. Dzięki”.

No właśnie. Jestem niezastąpionym wirtualnym spowiednikiem i lekarzem dusz. Nie rozumiem tego całego zamieszania wokół Santorskiego. To przecież wcale nie jest takie trudne.

Kaja ciągle nie wie, czy urodzi chłopca, czy dziewczynkę. Wygląda jednak wyjątkowo ładnie, więc mam ogromną nadzieję, że jednak chłopca. Dziewczynki od samego początku wysysają z człowieka wszystkie soki, odbierają cerze blask, a włosom połysk. Z każdym rokiem ich życia jest coraz gorzej, a na końcu wbijają ci nóż w serce jednym zdaniem: „Mamo, jestem w ciąży”. Nie zawsze są przy tym pełnoletnie. Kaja z kolei uważa, że dziewczynka nie jest aż taką życiową tragedią. Zastanawia się nawet, czy jako samotnej matce nie byłoby jej łatwiej wychować i dogadać się z córką niż z synem, który, jak głosi znany slogan, „potrzebuje ojcowskiej ręki”.

– Dziewczynka jest bardziej przywiązana do matki – zaczęła Kaja.

– Bzdura. To właśnie chłopak jest bardziej związany z matką, a córka z tatusem.

– No, ale jak nie będzie tatusia? – Kaja myślała logicznie.

– To jeszcze gorzej. Jak dorośnie, zaczniesz ci wypominać, że to przez ciebie nie ma ojca. A chłopak dałby ci oparcie i może nawet w przyszłości wymyślił krwawą zemstę na swoim nieodpowiedzialnym tatusiu. – Uważam, że również jestem logiczna.

– Ale przecież ja mu powiem, że jest z próbówki.

– Nie wiem, jak to zniesie. On i jego nauczyciel religii. Może lepiej powiedz, że tatuś zginął w tajnej wyprawie na Księżyc. – Podsunęłam genialne rozwiązanie.

– Albo, że oddał życie za ludzkość. – Fantazjowała dalej. – Wtedy będzie z niego dumny.

– Ale tylko chłopak. Dziewczynka i tak nic z tego nie zrozumie. – Podsumowałam pocieszając Kają, że przy następnym badaniu na pewno pojawi się cudowny, mały penisik Viga.

15 września, niedziela

Kasia poszła na randkę z Dominikiem, choć odniosłam wrażenie, że zrobiła to bez większego entuzjazmu, zupełnie inaczej niż zazwyczaj. Czy ona naprawdę myśli, że

z taką cerą ma szanse umówić się z Kubą? Numer z komputerem mógł przejść, ale tylko raz. Bezinteresowne zainteresowanie Kuby jej osobą, moim zdaniem, zdecydowanie nie wchodzi w grę.

Bruno leczy kota syjamskiego, któremu podobno wypada sierść. Spytałam, czy to nie jest czasem normalny objaw przed nadchodzącą zimą, ale kot łysieje plackowato i ma gołe plamy na futrze. Biedak. Nie wiem, czy są ampułki hamujące wypadanie sierści, ale może warto zafundować mu preparat na wypadanie włosów? Stosowałam go kiedyś, i co prawda nie zauważyłam większych zmian, ale łysa też nie jestem. Bruno obiecał, że to przemyśli.

16 września, poniedziałek

Dzwoniła Ewa. Podobno aptekarz jest całkiem do rzeczy i dba o nią jak o największy skarb. Ja myślę. Takie piersi w tym wieku!

Przechodziłam dzisiaj koło naszej dawnej kawiarenki. Okna zamalowane na czerwono, drzwi też, i do tego nad wejściem napis „Salon masażu”. Obskurna speluna. Nie dziwię się, że odwiedzało nas tak mało klientów. W końcu wewnątrz śmierdziało piwnicą i nie miałyśmy nawet dobrej kawy. Ciekawe, że miłośnikom masażu to nie przeszkadza. Chyba że Abibas celowo zaprojektował wnętrze w stylu średniowiecznych lochów, w których skazane kobiety – w ramach pokuty za czary – muszą oddawać się lubieżnym facetom. Wszystko odbywa się na więziennych pryzkach lub gnijącym sianie, a w rogach stoją wiadra z odchodami. Śmierdzi szczykami i stęchlizną. Nazwa jest myląca, wtajemniczeni wchodzi na hasło „Królowa Margot”. Coś podobnego widziałam w *Oczy szeroko zamknięte*, tylko tam było bardziej czysto.

No, ale w polskich realiach właścicielem jest Abibas, a klientami stali bywalcy bram. Wysłałam maila do Elizy i podzieliłam się z nią moimi wrażeniami. Spytałam też, czy dostali wreszcie jakieś zlecenie i czy mają dobrą kawę. Robię się sentymentalna.

17 września, wtorek

Minęły zaledwie dwa tygodnie, a Kasia znowu ma problemy w szkole. Tym razem jednak naraziła się swojej żydowskiej koleżance, która umówiła się po lekcjach z Kubą. Podejrzewam, że jej komputer też się zawiesił.

Kiedy Kasia dowiedziała się, że Zuzanna „za jej plecami” funduje sobie randkę z klasowym przystojniakiem, podobno na dużej przerwie podłożyła jej nogę i biedna Zuzia straciła w ten sposób przedniego zęba. Kasia zaprzecza (ze strzępków jej tłumaczeń nie trudno było się domyślić, że chodzi o Kubę), Zuzia jest obrażona – i słusznie. Po pierwsze – nic nie wyszło z randki. Po drugie – została oszpecona. Nauczycielka angielskiego, która była świadkiem zajścia, twierdzi, że noga Kasi celowo wyprostowała się, gdy w pobliżu pojawiła się Zuzanna. Kasia mówi, że noga jej ścierpła, dlatego ją nagle wyprostowała, a Zuzia przypadkowo się o nią potknęła. Zuzia trzyma naturalnie z nauczycielką. W sytuacji dwóch do jednego Kasia przegrała i Bruno znowu został wezwany do szkoły. Oby tylko nie musiał pokryć kosztów wstawienia zęba, zwłaszcza jeśli rodzice Zuzi zdecydują się na najdroższą wersję. Na przykład na porcelanowy implant.

Wieczorem

Zdecydowali się. Mój mąż musi zapłacić za implant. Na jego miejscu sama bym spakowała Kasię i za pośrednictwem firmy przewozowej wysłała do domu. W końcu stęskniona mamusia czeka.

18 września, środa

Kasia zachorowała. Myślę, że ze wstydu. Ja też bym nie poszła do szkoły, gdyby cała klasa wiedziała, że wybijam zęby rywalkom, aby nie dopuścić do randki. Bruno twierdzi, że jego córka rzeczywiście ma gorączkę, ale ja znam metody pocierania termometru albo pukania w jego końcówkę. Mój mąż jest stanowczo zbyt łatwowierny.

Zaparzyłam Kasi herbatę z potworną ilością miodu i cytryny. Nikt by tego nie przełknął, ale przynajmniej nie można mi zarzucić, że jej nie wspieram.

Ciekawe, jak Dominik zareagował na tę wyraźnie przecież antyżydowską akcję?

19 września, czwartek

Kasia ciągle choruje, ale odmówiła dzisiaj przyjęcia herbaty.

No cóż.

Do pracy wpadła Eliza. Podobno musi zrezygnować z posady grafika w agencji reklamowej, bo jedyna kampania, jaką dostali, okazała się największym niewypałem w całym jej trzydziestoczteroletnim życiu.

Otóż zgłosili się do nich producenci tabletek wybielających protezy. Trzyosobowy zespół plus Eliza postanowili swoją pierwszą reklamą zaszokować zleceniodawców, a przy okazji całą Polskę, i pokazać coś, o czym trudno byłoby zapomnieć.

Zlekceważyli więc sugestię firmy, że odbiorcami są głównie osoby starsze, i na dwa tygodnie przed premierą w telewizji, zaprezentowali swoje dzieło. Zleceniodawca spadł ponoć z krzesła, otworzył usta i jak ryba zaczął łykać powietrze, do czasu, kiedy przerażona Eliza chlusnęła w niego szklanką lodowatej wody. Wtedy się ocknął i zaczął przeraźliwie krzyczeć, aż koledzy Elizy wyrzucili go w końcu za drzwi. A wszystko z powodu filmu reklamowego, który miał wstrząsnąć światem.

Film (Eliza przyniosła go ze sobą), rozpoczyna scena, w której kilku ubranych na czarno mężczyzn, idzie przez cmentarz. Tutaj dokonują ekshumacji. Kiedy otwierają trumny, oczom widzów ukazują się rozkładające się zwłoki, nadzarte przez robaki i efektownie gnijące. Jedynymi rzeczami, które lśnią w tej odrażającej scenerii są sztuczne szczęki, wystające ze zdeformowanych czaszek. Hasło reklamowe brzmi: „Nasze tabletki działają nawet po śmierci”...

Jestem wstrząśnięta. Kaja również. Z wrażenia zapomniała, że jest w ciąży i obrzydliwie zakłęta. Nie robiła tego od miesiący, twierdząc, że płód wszystko słyszy i od urodzenia zostanie marginesem.

Eliza, widząc nasze reakcje, pokiwała głową i smętnie uśmiechnęła się.

– Czy wy też uważacie, że reklamy tabletek do protez powinny pokazywać wyłącznie starszych panów z kaszkietem na łbie i ze swetrem w romby? – spytała zaczepnie.

No nie... Ale dlaczego zaraz gnijące zwłoki?

Chyba jesteśmy zbyt staroświeckie i nie rozumiemy współczesnych reguł

reklamowego rynku.

20 września, piątek

Dzwonił Dominik i zapytał, czy z Kasią wszystko OK. Zaprosiłam go do nas, bo wiem, że Kasia nie ma na to najmniejszej ochoty.

– Dominik przyjdzie! – zawołałam do niej przez zamknięte drzwi, starając się, aby mój głos brzmiał normalnie.

– Kiedy? – Z pokoju byłej bojowniczkii o prawa Żydów dało się wyczuć zdecydowany popłoch.

– Dzisiaj, po szkole – zaćwierkałam słodko i poszłam do pracy.

Niech sama pije piwo, które... itd.

Kaja od rana pocieszała Ewę. Minął zaledwie tydzień od jej pierwszej randki z aptekarzem, a już okazało się, że to kolejna życiowa pomyłka. Aptekarz okazał się uzależniony od uzdrawiania Ewy. Nie dość, że zatruł ją aromaterapią, to jeszcze z okazji urodzin jej koleżance podarował masć na hemoroidy.

Straszna kompromitacja.

Ewa, ze łzami w oczach, popijała zieloną herbatę z rumem, którego nalałyśmy jej szczerze i od serca, i dokładnie streściła swoją tygodniową historię miłosną z doktorem Wilczurem.

Jacek okazał się właścicielem apteki „Zdrowy jak koń”, która przynosiła całkiem nie najgorsze dochody, co kobieta uznała za duży plus w ich związku. Dzięki temu Jacek obdarowywał swoją wybrankę drobnymi upominkami, które świadczyły o jego trosce i uwielbieniu. Ewa dostała więc syrop na kaszel, witaminki i nalewkę z czarnej porzeczki. Być może nie o takich podarunkach marzy współczesna kobieta, ale ona nie była drobiazgową.

Jacek dość szybko zaczął też decydować o ich wspólnym życiu. Rozpoczął od lodówki w domu Ewy. Kiedy znalazł tam masło orzechowe, wygłosił pouczający wykład:

– Co roku z powodu otyłości umiera trzysta tysięcy Amerykanów. Tyje się nagle. Za mało ruchu, za dużo kalorii. Wszędzie białko zwierzęce, nasycone kwasy tłuszczowe i alkohol. A potem nadciśnienie, choroby niedokrwienne serca, kłopoty ze snem i oddychaniem, no i zawały.

Następnie szczegółowo omówił każdy kolejny towar z lodówki, znieważył majonez, masło, tłuste sery, a pochwalił pomidora.

Dzień później aptekarz przyjechał obładowany jogurtami LC1, przekazał związłą informację o żywych bakteriiach kwasu mlekowego i obiecał, że następnym razem dostarczy jej sok z domieszką wapnia i żelaza, który zapobiega rozwojowi osteoporozy. Sobotę rozpoczęli od pieczywa pobudzającego układ krwionośny oraz napoju energetycznego o odpowiedniej liczbie kalorii, który podnosi zdolność koncentracji. Na obiad zjedli kawałek indyka i surówkę z marchwi, a następnie zagryźli to gumą do żucia z substancjami przeciwpróchnicznymi.

W niedzielę rano zadał jej romantyczne pytanie: „Czy zdarzają ci się biegunki?”

Ewa przyznała, że dawno nie miała problemów z wypróżnieniem się, czym zmartwiła Jacka, bo właśnie dobrał odpowiednie ziółka. Wieczorem wybrali się na

felerne urodziny do przyjaciółki Ewy. Tam aptekarz od razu zwrócił na siebie uwagę, bowiem wręczył solenizantce maść przeciw hemoroidom oraz obiecał, że przy okazji dorzuci jeszcze korzeń żeń-szenia, znany z tego, że przedłuża życie.

„Myślałam, że żeń-szeń przedłuża co innego”.

Kiedy impreza rozkręciła się na dobre, mężczyzna nagle oznajmił gościom:

– Na świecie prowadzi się badania nad szczepionkami transgenicznymi. Są już ziemniaki, które skutecznie chronią przed bakterią wywołującą biegunkę.

Pięć minut później wyszli, bo Ewa spaliła się ze wstydu.

W poniedziałek doktor Wilczur postawił na aromaterapię. Na początku było miło. Kobieta skorzystała bowiem z domowych zabiegów inhalacyjnych, wdychała lawendę na przemian z mandarynką i zażywała kąpiele w jaśminowych płatkach. W domu postawiła wiklinowe koszyczki z suszonymi kwiatkami, nasączonymi zapachem zielonej herbaty, paczuli i palmarozy, a kuchnię zdominował majeranek. Po dwóch godzinach rozbolała ją głowa.

– *Citrus Aurantium* – oznajmił wtedy Jacek. – Przywraca równowagę w przypadkach szoku i hysterii. Przynosi uczucie spokoju. To niezwykle ważne w dzisiejszych czasach, kiedy żyjemy w ciągłym stresie i pośpiechu.

Ewa oczywiście się z nim zgodziła, ale pomyślała jednocześnie, że hysterii u siebie nie odnotowuje. Wieczorem odwiedziła ich sąsiadka, która zamierzała kupić swojemu synkowi króliczka i przyszła dowiedzieć się, czy są ewentualnie jakieś przeciwwskazania, bo Ewa ma właśnie króliczka. Co prawda, na jakiś czas odstawiła go do rodziców, bo biedak dostał kataru i alergii. Jacek nie domyślił się oczywiście dlaczego.

Sąsiadka weszła do środka i o mało nie zemdlała.

– Coś się u pani psuje?

Ewa przeprosiła sąsiadkę i wyjaśniła, że jej chłopak jest kreatorem perfum i stąd te zapachy. Rozmowa mogłaby ciągnąć się jeszcze dłużej, niestety sąsiadka poczuła, że za chwilę straci przytomność i poszła do siebie. Kobieta postanowiła wtedy pozbyć się wszystkich tych aromatów, a Jackowi powiedzieć prawdę.

Że to jest nie do zniesienia.

Że śmierdzi nawet na klatce schodowej.

Że jej mózg zamienił się w gigantycznego kwiatu, który zadusza ją powoli na śmierć.

Oczywiście obraził się i poszedł spać do siebie, nie zaspokoivszy jej seksualnie.

Odwiedziła go następnego dnia w aptece i wyjaśniła, że lekarz stwierdził u niej alergię na zapachy. Wybaczył jej i zaprosił na obiad z dużą ilością czosnku, bo czosnek działa bakteriobójczo i hamuje miażdżycę.

Ostatnim dniem ich związku była zdaje się środa. Pojechali sobie za miasto, nad jezioro, bo była wyjątkowo piękna pogoda i Ewa chciała się jeszcze troszkę poopalać. Kiedy położyła się na kocu, Jacek nagle przeraźliwie wrzasnął. Stał nad nią z przerażoną miną i wpatrywał się w nią z niedowierzaniem.

Czyżby zapomniała założyć stanik?

Pomacała się.

Nie, wszystko w porządku.

To może zaskroniec?

Ewa zerwała się z koca i rozejrzała nerwowo.

Zaskronca też nie było.

To co, do cholery?

– Jak mogłaś nie posmarować się kremem?

Ewa poinformowała ukochanego, że jest wrzesień i rak raczej jej już nie grozi.

Niestety, Jacek wtarł w nią bloker numer sto, po czym oznajmił uduchowiony:

– Wpadłem na genialny pomysł. Zahibernujmy się. Poprosimy, żeby nas odmrozili, kiedy już opracują szczepionki na wszystkie choroby świata.

Jezu...

Dolałyśmy Ewie rumu i sobie przy okazji też (Kaja tylko odrobinę), bo ta historia po prostu zwała nas z nóg.

21 września, sobota

Za tydzień jedziemy do Róży. Chyba skorzystam z pomysłu Kasi i po prostu się rozchoruję.

Najgorsze jest to, że nie wiem, jak przebiegała wczorajsza wizyta Dominika, bo po rewelacjach Ewy długo jeszcze siedziałyśmy w biurze, aż definitywnie wypiliśmy całą butelkę rumu. Bruno po mnie przyjechał, bo podobno bełkotałam przez telefon, a potem kazałam zahibernować wszystkie Kopciuszkę świata.

Nie pamiętam. Ale Kopciuszek to chyba przenośnia. Mam nadzieję, że mój mąż nie wpadł na to, jaka.

Podobno udało mu się wyleczyć łysiejącego kota (odkrył u niego niespotykane dotąd zmiany grzybiczne), a właściciel w zamian za to obiecał mu niespodziankę. We wtorek dowiemy się jaką. Może jest właścicielem biura podróży i zafunduje nam dwutygodniowy pobyt na Malediwach? Będę wylegiwać się pod palmą, popijać drinki o zadziwiających smakach i aromatach, kąpać się turkusowych falach i nurkować w rafie. Nurkować co prawda nie umiem, ale podejrzewam, że na Malediwach to nie powinno być trudne. A może pan od zagrzybionego syjama jest właścicielem ekskluzywnego butik i wręczy mojemu mężowi talon na dziesięć tysięcy złotych na drobne wydatki w jego sklepie? Talon dla żony, oczywiście. Nareszcie jakieś konkretne korzyści z leczenia zwierząt.

Spróbowałam dyskretnie podpytać się, jak tam wizyta Dominika, ale Bruno tradycyjnie niczego ciekawego nie zauważył. Chłopak przyszedł, przyniósł zeszyty, żeby Kasia nie miała zaległości, posiedział u niej z godzinę i poszedł. Przez ten czas można sobie wiele wyjaśnić, na przykład nagłą fascynację zgrabnym tyłeczkiem Jakuba. Ale oczywiście mój mąż o niczym nie ma pojęcia, a jego córki przecież nie spytam.

Rozłupałam sobie garść orzechów i zasiadłam przed telewizorem.

Gdyby ktoś jeszcze zechciał mi pomasażować stopy...

Niestety, Bruno pojechał umyć samochód.

22 września, niedziela

Przyszedł Konrad. Palec złamany po nieudolnym kopnięciu kotka w dupkę,

całkowicie się wygoił. Konrad zrezygnował jednak z tak drastycznych metod karania i teraz, kiedy kotek coś przeskrobie, przyjaciel mojego męża stosuje wobec zwierzątka metodę perswazji.

– I co? Działa? – spytałam z niedowierzaniem.

– Nie wiem. Ale kotek słucha i zdaje się głęboko rozważać wszystkie za i przeciw. Niestety, nie mogę go nikomu oddać, bo żona zagroziła rozwodem. – Pokiwał głową.

Uch! Żona Konrada, Manuela, jest skończoną idiotką i pewnie nie wiedziałaaby nawet do kogo pójść w sprawie rozwodu. Oczywiście nie podzieliłam się z nimi moimi przemyśleniami. Spotkałam tę kobietę kilka razy w życiu i obiecałam sobie, że już nigdy nie dopuszczę do wspólnych odwiedzin, imienin, a zwłaszcza wypadów do kina. Kiedy poszliśmy ostatnio na Harry’ego Pottera (brrr... na samą myśl mam ciarki), bezustannie pytała o co chodzi, dlaczego oni latają na miotłach, zmieniają się w koty i noszą peleryny. Konrad wyjaśnił jej w końcu, że jest to film z gatunku fantasy i dlatego takie odstępstwa od normy są całkowicie dozwolone. Zamknęła się tylko na chwilę, po czym spytała, czy główny bohater nie jest przypadkiem czarodziejem.

Pod wrażeniem jej polotu o mało nie upiłam się colą.

Nie rozumiem, dlaczego Konrad, weterynarz z krwi i kości, w dodatku przystojny mężczyzna, żyje pod jednym dachem z Manuelą i jej durnym kotkiem. Bruno twierdzi, że decydujące znaczenie ma tu pewien uraz z dzieciństwa. Otóż matka Konrada była fizykiem jądrowym i używała zwrotów, których nikt nie rozumiał. Kiedy zmarła Konrad bał się, że napis na nagrobku „Żegnaj, mamó” jest zbyt prosty i banalny, a rodzicielka z pewnością tego mu nie daruje i ukarze go nawet z zaświatów.

Na razie jednak mu odpuściła, a Konrad postanowił ożenić się z najgłupszą dziewczyną, jaką uda mu się znaleźć. Kiedy spotkał Manuelę, zadał jej jedno pytanie testowe:

„Czy wiesz, czym zajmuje się fizyka jądrowa?”

Manuela z rozbijającą szczerością wyznała, że wie tylko, co to są jądra.

Tydzień później wzięli ślub.

23 września, poniedziałek

Siedzę w pracy sama, bo Kaja pojechała oglądać łóżeczka i pościel. Poradziłam jej, żeby od razu kupiła zestaw niebieski, to może podświadomie wywoła załazek penisika, ale nie wiem, czy mnie posłucha. Ona rozumie moje problemy z Kasią, ale strasznie jej się podoba imię Zosia, poza tym, różowe śpioszki są takie śliczne...

Z takim nastawieniem z pewnością ściągnie na siebie nieszczęście.

Przyjęłam dzisiaj jednego kandydata, choć wyglądał na niezdecydowanego. Ja też nie jestem pewna, czy dobrze robi. Po tym, jak podał listę wymagań dotyczących przyszłej pani Żółtko, poczułam, że opadam z sił. Lista jest dłuższa niż spis standardowych zakupów w Tesco dla czteroosobowej rodziny:

1. ładna,
2. inteligentna,
3. niezależna,

4. z własnym M3,
5. które można sprzedać,
6. z prawem jazdy,
7. i samochodem,
8. który można sprzedać,
9. dobrze gotująca,
10. nie znająca słowa brud,
11. z etnicznym podejściem do seksu.

Przy ostatnim punkcie spojrzałam z przerażeniem na pana Żółtko.

– Chodzi o to, żeby umiała się kochać w technikach różnych narodowości – wyjaśnił.

Po niemiecku, belgijsku, angielsku?

Szwedzku, holendersku, duńsku?

Francusku (to wiem jak!), hiszpańsku, turecku?

A czy przypadkiem w wielu z tych krajów to nie jest podobnie?

Wypisałam jednak jego życzenia i obiecałam, że osobiście zajmę się poszukiwaniami. No bo kto, jak nie ja?

Kliknęłam na żółtą kopertę.

Amor: „Zakochałam się w dwóch chłopakach”.

Co za rozrzutność uczuć! Poza tym już ostatnio miała taki problem.

„I...?” – spytałam, bo miłosne historie są zawsze interesujące, nawet w wykonaniu przyszczatych podlotków.

Amor: „I nie wiem, którego wybrać. Jeden jest inteligentny, a drugi przystojny”.

No cóż, rzadko kiedy można obie te cechy spotkać jednocześnie, w jednym męskim ciele. W jej wieku postawiłabym na urodę. Na stare lata lepiej jest wybrać partnera inteligentnego, choć przykład Konrada pokazuje, że nie zawsze jest to prawda.

„Wybierz tego, z którym wolisz spędzać czas”.

Amor: „Raz wolę z jednym, raz z drugim”.

„A który woli ciebie?”

Amor: „Chyba ten inteligentny”.

No tak. W tej sytuacji lepszy wróbel niż gołąb. Poza tym, uroda nie jest najważniejsza.

Ha! Ha! Ale bzdury. A co jest ważne dla ludzi w tym wieku? Poradziłam Amorowi, żeby jeszcze raz wszystko przemyślała i na wszelki wypadek na razie z żadnym nie zrywała.

Po co palić za sobą mosty?

24 września, wtorek

Mamy łóżko wodne. Co za potworny wstyd. Zawsze wydawało mi się, że łóżko wodne to największy przejaw bezguścia i tandety oraz snobizm tak zwanych dorobkiewiczów.

Łóżko wodne to podarunek od właściciela kota syjamskiego. Bruno podobno się wzbraniał, ale facet był nieugięty. Po południu przyjechała specjalna ekipa wodnołóżkowa i zamontowała to świństwo w naszej sypialni.

Usiedliśmy.

Spod pup wydobyl nam się podejrzany bulgot, a uda zafalowały. Ostrożnie położyłam się na wznak. Przez moje ciało przewaliły się morskie fale, a mi natychmiast zrobiło się niedobrze.

– Chyba mam chorobę morską – zajęczałam, patrząc z przerażeniem na Brunona.

– Nie można mieć choroby morskiej na łóżku – zauważył niby racjonalnie.

– Ale to łóżko faluje, bulgocze i zapada się! – krzyknęłam, przerażona, że do końca życia będę musiała spać na tym sztormowym świństwie. Szanse, że mój mąż uratuje życie zwierzakowi jakiegoś faceta, który handluje NORMALNYMI materacami są oczywiście żadne.

Kasia przyszła do naszej sypialni i z zachwytu aż zapiąła.

– Ale bajka! Ciekawe jak będziecie uprawiać seks? – spytała z zainteresowaniem.

Seks? No właśnie! Przecież każda pozycja wywoła we mnie odruch wymiotny, a tym samym nasze pożycie zaniknie i w wieku trzydziestu lat znowu zostanę dziewicą. Spojrzałam na Brunona z przerażeniem. Mój mąż najwyraźniej uznał łóżko wodne za mebel eksperymentalny, bo obiecał, że doznania będą podwójnie atrakcyjne.

Kasia zachichotała jak obrzydliwy gnom z równie obrzydliwej bajki i poszła do siebie.

Znowu czuję się skompromitowana, tylko jeszcze nie wiem przez kogo.

25 września, środa

Łóżko wodne to genialny wynalazek. Obudziłam się wypoczęta, zrelaksowana i po raz pierwszy nie bolały mnie plecy, a seks okazał się rewelacyjny.

Uważam, że właściciel kota syjamskiego to wybitnie inteligentny człowiek i gdybym teraz miała udzielać rady Amorowi, zdecydowanie postawiłabym na inteligencję.

Dzwoniła mama. Między wklepywaniem danych do komputera a parzeniem ziółek dla Kai (ma spóźnione poranne mdłości) musiałam wysłuchać historii szesnastolatka, który przespał się z własną babcią, nie wiedząc oczywiście o łączącym ich pokrewieństwie. To obrzydliwe. Babcia ma lat pięćdziesiąt, ale jest doskonale zakonserwowana, bo zażywa seksu z młodymi żigolakami, a chłopię dorabiało na boku, serwując usługi towarzyskie bogatym Niemkom. No i jakoś tak przez przypadek trafił na własną babcię. Nie wiadomo, jak to się wydało, ale szesnastolatek siedzi obecnie w areszcie za handlowanie własnym ciałem, a babcia za wykorzystywanie nieletnich. Oboje musi wykupić matka chłopaka i jednocześnie córka babci.

Mama została kuratorem żigolaka i próbuje wyprostować jego skrzywioną psychikę. Podobno chłopię, bardziej niż z powodu drastycznej różnicy wiekowej, cierpi na samą myśl o różnicy MAJĄTKOWEJ. W końcu to rodzina, a babcia, w przeciwieństwie do niego, żyła jak królowa.

Z wrażenia sama wypiąłam ziółka i natychmiast je wyplułam. Kaja na ten widok pobiegła do ubikacji, zasłaniając sobie usta ręką, a kobieta, która akurat weszła do naszego biura, jeszcze szybciej je opuściła.

Muszę zabronić mamie dzwonić do pracy.

26 września, czwartek

Łóżko wodne to wynalazek bogów, którzy mieli obolałe łądzwie. Jak ja mogłam pomyśleć, że to wstyd posiadać coś tak cudownego. Podobne podejście mam do elektrycznej szczoteczki do zębów. Może też się mylę?

Obliczyłam dzisiaj, że gdyby zsumować wszystkie moje zmarszczki pod oczami plus początki tych z czoła i ułożyć w jedną prostą linię, uzbierałoby się całkiem sporo kilometrów. W tej sytuacji muszę natychmiast zainwestować w porządny krem, bowiem za kilka lat moja twarz zacznie przypominać twarz Boryny, pooraną troskami i codziennymi kłótniami z synem o ziemię. Kaja twierdzi, że ciąża odmładza. Być może. Ale tylko na parę miesięcy, a potem człowiek starzeje się dwukrotnie szybciej. A przy dziewczynkach – trzykrotnie.

Pokazałam Brunonowi film reklamowy Elizy i jej ekipy. Zaniemówił, a następnie poszedł umyć zęby. To pewnie taka reakcja obronna. Wcale mu się nie dziwię. Lepiej jak najdłużej zachować własne, niż polegać na tych tabletkach do protez.

Kasia uznała film za genialny, ale tego akurat mogłam się po niej spodziewać.

27 września, piątek

Zapomniałam w porę zachorować i teraz nie ma już odwrotu – muszę pojechać do Róży i poznać kominiarza Emila. Kupiliśmy ciasto i elektryczny koc, bo moja teściowa zawsze chciała taki mieć. W Tesco była akurat przecena, więc skorzystałam. Przez trzy godziny jazdy układałam plan wykręcenia się od wspólnych posiłków i opowieści o miłości pachnącej morskimi solami. Niestety, leżenie w łóżku (na niewygodnym, twardym materacu) odpada, bo zanudzę się na śmierć. Nie będę też udawać artystycznej duszy, która musi kilka godzin dziennie spacerować w samotności w poszukiwaniu natchnienia. Jestem skazana na beznadziejny weekend.

...

Emil jest uroczy. Ma gęste, siwe włosy, które układają się w fale à la Chopin, i ogromny nos, ale wyjątkowo kształtny. To też jak Chopin. Nie mogę za dużo pisać, bo upiłam się czereśniówką i długopis... wypada... mi... z ręki...

28 września, sobota

Od rana byliśmy na grzybach. Zostałam brutalnie obudzona o wpół do szóstej i z na wpół zamkniętymi oczami zeszałam na dół, gdzie Emil szykował dla wszystkich kanapki. Odbijało mi się czereśniówką i byłam tak nieprzytomna, że zamiast noża do wycinania grzybów, wzięłam z szuflady łyżkę. Niestety, zorientowałam się dopiero w lesie. O siódmej jakoś doszłam do siebie i rozpoczęłam intensywne poszukiwania leśnych darów. Wszystkie grzyby, które jakoś udało mi się znaleźć, były co prawda bardzo podobne do prawdziwków, ale po przełamaniu kapelusza, obrzydliwie barwiły na granatowo. Podstęp. Na pewno są trujące, więc je wyrzuciłam i wytarłam ręce w spodnie. Żeby tylko jakiegoś uczulenia nie złapać.

Po dwóch godzinach uświadomiłam sobie, że nie słyszę żadnych głosów, tylko jakieś delikatne ćwierkanie ptaków, i że najprawdopodobniej zgubiłam się w tym

parszywym lesie.

W tym momencie obudził mnie Bruno i spytał, czemu śpię na mchu, mam pusty koszyk, a w ręku kurczowo trzymam łyżkę.

Oczywiście, znowu wyszłam na idiotkę. Kiedy dołączyliśmy do reszty, jako jedyna nie miałam ani jednego grzyba, za to na moim policzku pojawiły się ślady cellulitisu, na szczęście nie prawdziwego, ale wywołanego odciskiem szyszki. Co gorsza, i Emil, i Kasia mieli w koszykach pełno atramentowych pseudoprawdziwków, które okazały się jadalne. Swój granatowy kolor straciły zaraz po wrzuceniu do gorącej wody. I pomyśleć, że zignorowałam co najmniej kilkadziesiąt takich dorodnych okazów...

Wieczorem

Jestem objedzona zalewajką grzybową i znowu spojona czereśniówką. Nawet Róża wydaje mi się sympatyczniejsza. Nie rozumiem tylko, dlaczego nieustająco zachwyca się Kasią...

29 września, niedziela

Dzisiaj przy śniadaniu Emil wspominał swoją pierwszą miłość (Róża nerwowo wbiła zęby w kanapkę z serem) i swoje romantyczne sposoby podrywania Anieli. Podobno dopiero po pół roku oboje zorientowali się, że udają i że tak naprawdę mają ze sobą niewiele wspólnego (Róży wróciły rumieńce).

Przypomniała mi się moja pierwsza poważniejsza miłość z liceum.

Armin... Chodził ubrany cały na czarno i pisał opowiadania o miłości. Przy pomocy koleżanki przeistoczyłam się w czarną wronę i też zaczęłam udawać romantyczkę o melancholijnym spojrzeniu. W końcu zwrócił na mnie uwagę i pewnego pięknego dnia zaprosił na wspólną przejażdżkę na wieś. Umierałam ze szczęścia.

Wieś okazała się szara, brzydka i ponura, a ludzie patrzyli na obcych spode łba. Armin oczywiście tego nie zauważył, tylko szedł rozanielony i nagle oznajmił, że teraz idziemy obejrzeć jego dom.

– Znalazłem tu kiedyś taką maleńką, zieloną chatynkę pod lasem. Dach jest troszkę podziurawiony, a ogród chwastami zarósł, ale ma duszę. A w środku na pewno pachnie lawendą.

„Albo pleśnią” – pomyślałam wtedy, ale byłam dumna, że tak romantyczna osoba wybrała mnie spośród tłumu.

– Kocham dźwięk skrzypiącej furtki – powiedział Armin i pchnął kawałek płotu, który prawie cały runął na ziemię. Już wtedy powinnam była dać nogę.

Wieczorem wróciliśmy w końcu do domu, z prawdziwym wiejskim serem, który kupiliśmy w prawdziwym wiejskim sklepiku. Armin zdążył mi jeszcze szepnąć do ucha, że od dzisiaj będziemy nazywać sprzedawczynię „Panią od Puszystego Twarogu”, choć na plastikowej plakietce miała wyraźnie napisane: Aneta. A ser śmierdział, bo był zjełczały.

Pewnej słonecznej soboty mój ukochany oznajmił, że najwyższy czas odwiedzić jego rodziców. Oczywiście wpadłam w panikę, bo po pierwsze, nie wiedziałam, czy należy spowić się w czerni, czy raczej zmienić w grzeczną pensjonarkę, jakich słów używać podczas rozmowy, no i najważniejsze – jaki im kupić prezent? W końcu

wpadłyśmy z koleżanką na pomysł zakupu szklanej kuli, w której zamknięty będzie dla nich „mój uśmiech”. Tej bzdury same nie wymyśliłyśmy, zdaje się, że to było w jakimś Harlequinie.

Zakup szklanej kuli wcale nie był łatwy. Najpierw chciałam, żeby to była kula odkręcana, wtedy ten uśmiech łatwiej by się wydostawał na zewnątrz. Ale takich nigdzie nie było. Poprzestałam więc na zwykłej kuli, a ten uśmiech to już muszą na własną rękę jakoś wypuszczać. Ale zwykłej też nie znalazłam. Były tylko takie małe, duńskie, ale one już coś miały w środku, co wyglądało jak kolorowe piórko albo kawałek plastiku. Obeszłam wszystkie antykwariaty i wszystkie sklepy ze szkłem. Butelki były, owszem, nawet z zatopionym statkiem, kryształły w różnych kształtach, ale kul wcale. W końcu kula znalazła się sama. Na bazarze u Ruskich. Zdaje się, że sprzedawca był w jeszcze większym szoku niż ja, bo nie przypuszczał, że ktoś takie coś może chcieć kupić, i dlatego sprzedał nam kulę za jakieś nędzne grosze.

Oczywiście, jak mogłam się domyślić, rodzice Armina nie byli romantyczni. Mieszkali w najzwyklejszym mieszkaniu, mieli najzwyklejsze meble, a jego mama miała na głowie żółciutki loczki. Do tego powieki wymalowane na niebiesko, a na ustach zwarzoną pomadkę. Ucałowała mnie jak z dubeltówki, rozcierając palcem resztki szminki, a tata Armina klepnął mnie w plecy, jak jakąś rasową klacz. Sweterek miał w koła, ściągacze przy mankietach, a na skarpetkach dostrzegłam dwie skrzyżowane rakiety tenisowe. Jak im dałam tę kulę i powiedziałam, że tam jest mój uśmiech, to ryknęli oboje śmiechem. A potem wrzucili szklaną kulę do akwarium, twierdząc, że może rybkom się przyda trochę radości, bo oni jej mają bardzo dużo. Ale serdecznie dziękują za pamięć.

Armin miał tysiące pomysłów na sekundę. Niestety, wszystkie beznadziejne. Wymyślił na przykład „Dzień Uciekających Piorunów” – goniliśmy je wtedy po całym mieście i szukaliśmy ich kryjówek. Armin przeprowadzał rozmowę z odnalezionym piorunem (raz dopadł go w starej budzie, na szczęście bez psa) i kazał mu wracać do nieba, do swojej chmury-matki. W „Dniu Przyjaznych Pająków” tkaliśmy sieci z nitek, a w „Dniu Naburmuszonych Kotów” miauczeliśmy przeciągle, jedliśmy z misek i piliśmy mleko. Truskawkowe, bo tylko takie – według Armina – przepędzało naburmuszenie. Był też „Dzień Łapania Wiatru do Słoika”. Następnie musieliśmy go oswajać.

Nasz związek rozpadł się pewnego popołudnia, kiedy Armin wymyślił „Dzień Nagich Bożków”. To było bardzo erotyczne przeżycie, bowiem zrobiliśmy sobie z liści wieńce na głowy i udawaliśmy liściaste bożki, tańcząc NAGO po mieszkaniu. O mały włos nie skończyło się to tragicznie, bo w tańcu wpadłam na taboret, który z kolei upadł na klatkę z chomikiem, który wyskoczył przestraszony i ugryzł mnie w pierś. Usiadłam wtedy na ziemi i spytałam:

- Armin, dlaczego my biegamy nago po mieszkaniu?
- Bo jesteśmy bożkami.
- Bożkami czego?
- Lasu, wiatru, drzew.
- Ale czemu nago?

Niestety, na to pytanie Armin nie zdążył mi już odpowiedzieć, bowiem akurat weszła moja mama, i kiedy zobaczyła nas na golasa z liśćmi na głowie, chwyciła za miotłę i przepędziła mojego ukochanego. Szczerze mówiąc, wcale nie miałam jej tego za złe, chociaż wygnała Armina nago na ulicę i zabroniła kiedykolwiek pojawiać się w moim pobliżu. Ja tymczasem, uwolniona nareszcie od romantycznego związku, uroczyście wyrzuciłam przez okno czarne szmaty. Pięć minut później musiałam zejść i je pozbierać, bo przyszła sąsiadka z dołu i spytała, czy jestem pijana, albo raczej stuknięta, i kazała natychmiast sprzątnąć trawnik.

Szkoda, że już dzisiaj musimy wracać...

30 września, poniedziałek

Dwie sąsiadki odpowiedziały mi dzisiaj dzień dobry, istnieje więc spora szansa, że moja choroba psychiczna odchodzi powoli w niepamięć.

Chciałabym mieszkać tak jak Róża. Żaden szeregowiec, tylko wolnostojący dom, do najbliższego sąsiada jakieś pół kilometra, a i tak nie widać jego okien, bo zasłaniają je drzewa. Można sobie biegać nago po ogrodzie (na przykład w „Dniu Liściastych Bożków”), udawać pawiana, tupać, krzyczeć i puszczać bąki. Nikt cię nie zauważy, chyba że akurat siedzi na drzewie.

Przed moim wyjściem do pracy dzwonił Dominik i spytał, czy może wpaść po Kasię, bo idą dzisiaj na третią lekcję.

Dziwne.

Kasia wyszła normalnie, to znaczy wcześniej rano. Dominik też się zdziwił, ale inteligentnie pokrył zmieszanie efektywnym kaszlem i natychmiast się rozłączył. Kasia zdradza Dominika? Kasia ma romans z przystojnym Jakubem? Ale to przecież niemożliwe, żeby on spojrzał na nią bez obrzydzenia. Cóż za tajemnicza intryga, co najmniej jak w *Cieniu księżycy* albo innej wenezuelskiej telenoweli.

Dzisiaj w pracy nie było dużego ruchu, więc Kaja pokazała mi swoje piersi. Pocieszam się, że po karmieniu zwieszają się jej żałośnie i będzie je można odnaleźć gdzieś w okolicach pępka. Na razie jednak są doskonałe, jędrne i skandalicznie atrakcyjne. Kai też się podobają, dlatego zgodziła się pozować studentom z Akademii Sztuk Pięknych. Nago. Chce upamiętnić swoją boską sylwetkę.

Gdybym ja chciała upamiętnić moją, tytuł rzeźby lub obrazu brzmiałby: *Zmurszały grzyb*.

1 października, wtorek

Siedziałam w pracy i z tęsknotą patrzyłam w okno. Niedługo święta, a ja będę zmuszona spędzić je z pasierbicą. Co gorsza, z pewnością mi nie pomoże ani w pieczeniu, ani w gotowaniu, ani tym bardziej w lepieniu pierogów.

Kaja mówi, że powinnam ją o to poprosić, ale ja z góry znam odpowiedź.

– Nie dajesz jej żadnej szansy – zauważyła moja przyjaciółka, święcie przekonana, że powiedziała mądrą rzecz.

– Bo znam odpowiedź.

– A może ona właśnie chciałaby pomóc? – Kaja na prawie trzy miesiące przed Gwiazdką próbuje bawić się w Matkę Teresę. Nie za wcześnie? Ludzie starają się

być dobrzy na dwa, trzy dni przed świętami i zapominają o swoim postanowieniu wraz z pożarciem ostatniego kawałka karpia.

Coś mignęło w prawym, dolnym rogu.

Amor: „Dzięki za radę. Nie zerwałam z żadnym i szybko okazało się, że ten przystojny to zwykły dupek”.

Nic nowego. Adasiów na naszej planecie jest więcej niż roztoczy w poduszkach. „Gratuluje. Przynajmniej szybko to odkryłaś”.

Amor: „Muszę teraz wynagrodzić temu inteligentnemu, że go trochę zaniedbałam”.

„Ale bez przesady. Niech zna twoją wartość”. Brawo dla mnie, plus order za doradztwo.

Amor: „Ale w jakim sensie, wartość?”.

Nie wiem.

Amor: „No nic, dzięki za radę i do usłyszenia. Mam nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone”.

A mi to jest najzupełniej w świecie obojętne.

Wieczorem

Zanim zdążyłam się podeksycytować ewentualnym romanssem Kasi i Kuby, ciąg dalszy został brutalnie przerwany. W domu zastałam nastolatkę plotkującą w najlepsze z ZUZIĄ, i to na naszej kanapie, przed naszym telewizorem. Poszłam do kuchni i pod pretekstem przygotowywania kolacji, nastawiłam ucho. Aż mi poczerwieniało.

Po godzinie dowiedziałam się, że Kuba poderwał już niemal wszystkie dziewczyny z klasy i każdej serwował podobne komplementy. Wszystkie były „diamentami w kopalniach węgla”, czy coś w tym rodzaju, i miały „sarnie oczy”.

Fuj.

Co za tandeta.

Kasia podobno jako pierwsza zaczęła coś podejrzewać i szybko rozszyfrowała „jakubową intrygę”. Kiedy coraz więcej dziewcząt w klasie zaczęło mieć maślane oczy, patrzeć w okno i wzdychać oraz regularnie nie przygotowywać się do lekcji, Kasia była już pewna. Rozesała więc wszystkim koleżankom maila z opisem najbardziej kiczowatych komplementów Jakuba i spytała, kto jeszcze je słyszał i w jakich okolicznościach. Zgłosiło się dwanaście dziewczyn! Dziewięć z nich poczuło się urażonych i zaprzysięgło krwawą zemstę, ale trzy nadal mają maślane oczy i wierzą, że są „diamentami”. Kasia poczeka, aż im minie choroba i wtedy (wspólnie z Zuzią) przystąpią do akcji. Obie, jako jedne z pierwszych ofiar, zostały przywódczyniami gangu „Śmierć Jakubowi”, którego zadaniem jest wymyślenie zemsty i danie nauczki „pieprzonemu podrywaczowi”.

Nie chciałabym się wtrącać, ale zdaje się, że w najbliższym czasie Bruno znowu wyląduje przed obliczem dyrektorki.

2 października, środa

Wyczytałam w jakiejś gazecie, że Jennifer Lopez zapłaciła ponad dwadzieścia tysięcy dolarów za swoje ślubne upięcie włosów. Moja fryzura ślubna była bardzo

podobna (prosty kok) i kosztowała niecałe pięćdziesiąt dolarów.

Jennifer Lopez cesał jej najlepszy przyjaciel.

Nie chciałabym mieć takich znajomych. Zdzierca.

3 października, czwartek

Mamie udało się wyprostować psychikę ofiary kazirodztwa i pedofilii. Nastolatek, który miał przyjemność obcować z własną babcią obiecał mamie, że już nigdy nie wykorzysta swojego ciała do seksualnych celów zarobkowych. Następnie zatrudnił się jako pomoc pomocy dentystycznej, i teraz myje wiertła, podaje kubki z wodą płującym pacjentom, a nawet asystuje podczas narkozy. Jako wolny obserwator. Mama jest z siebie dumna.

Jej dokonania psychologiczne idą w o wiele lepszym kierunku niż moje.

4 października, piątek

Ewa, po tragicznym romansie z aptekarzem-psychopatą, postanowiła spróbować szczęścia za granicą. Wzięła więc zaległy urlop i wykupiła miesięczny pobyt w czterogwiazdkowym hotelu w Hiszpanii. Zaliczyła też kilka seansów w solarium, żeby jesienią nie razić bielą swego ciała, i pożegnała się z nami telefonicznie. Mam nadzieję, że tym razem będzie miała większe szczęście. W końcu nie zna hiszpańskiego i zanim uda jej się dogadać i zrozumieć hiszpańskiego kochanka, jej libido przestanie krzyżeć. Obiecała, że jak tylko coś „upoluje”, zaraz zda nam dokładną relację.

5 października, sobota

Dzisiaj w naszym domu odbyło się spotkanie gangu „Śmierć Jakubowi”. Dziewięć poszkodowanych plus Kasia i Zuzia zamknęło się w pokoju i obmyślało plan pogrążenia klasowego przystojniaka. Padały najróżniejsze propozycje zemsty. Moje wielkie ucho dosłyszało „ogolenie jaj”, „skopanie w pobliskim lesie i przywiązanie nago do drzewa”, „oplucie twarzy w miejscu publicznym” oraz „postraszanie ciążą”. Ta ostatnia kara zwróciła moją szczególną uwagę, bowiem najwyraźniej świadczyła o kontaktach cielesnych z przestępcą.

W pokoju zapadła cisza. Zdaje się, że do reszty też dotarła ta seksualna prawda. Przyłożyłam kubek do ściany w łazience (sąsiadującej z pokojem Kasi) i wyteżyłam słuch.

– Ciążą? – spytała, zdaje się, Kasia.

Autorka wypowiedzi chyba zrozumiała, że powiedziała nieco za dużo, i zaczęła chrząkać, kaszleć i mamrotać. Zdradzała tym samym wszelkie objawy świadczące o współżyciu seksualnym w wieku lat czternastu.

– No... tak... Czemu się dziwicie? – spytała w końcu, a ja dałabym sobie głowę odciąć, że pozostałe dziesięć par oczu wbiło w nią pytający wzrok.

– Spałaś z nim? – Głos nieznany.

– Tak. Ale pamiętajcie, że jestem od was o rok starsza.

No tak. To wiele wyjaśnia. W końcu piętnasty rok życia to ostatni dzwonek przed rozpoczęciem udanego pożycia.

– SPAŁAŚ Z NIM? – To już nie było spokojne pytanie, tylko krzyk, wydobywający

się z jedenastu dziewczęcych gardeł.

– Spałam. Dwa razy. – To było ewidentne przyznanie się do winy.

W tym momencie nie usłyszałam bynajmniej okrzyków oburzenia ani zniesmaczonych syków, ale ociekające pożądaniem pytania w stylu „jak było?”, „czy to był twój pierwszy raz?”, „gdzie to zrobiliście?” i „czy bolało?”.

Kubek wbił mi się w ucho, a z wrażenia nawet nie zwróciłam uwagi, że Bruno stoi w drzwiach i od dłuższego czasu przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Co robisz? – spytał w końcu elegancko, dając mi tym samym szansę na wybrnięcie z tej idiotycznej sytuacji.

– Myję ściany – odpowiedziałam, zdaje się dość kretyńsko.

– Kubkiem? – upewnił się Bruno.

– Bo zdrapuję osad – brnęłam dalej i modliłam się, żeby jak najszybciej opuścił łazienkę, zanim stracę wątek.

Pokiwał głową i z obrzydliwym uśmiechem na twarzy, zszedł w końcu na dół. Wróciłam do mycia ścian.

– Nie, to nie było po raz pierwszy. Mam już jakieś doświadczenie. – Głos zdawał się odzyskiwać dawną pewność siebie. Szum i szmer (podziwu? zazdrości?) dobiegł do moich uszu. Na pewno kłamie. Nadal jest dziewicą, ale wpadła na genialny pomysł zdobycia uznania wśród koleżanek. Co za czasy! Kiedyś szpanowało się piórnikiem, teraz brakiem błony.

– A te bzdury, że przy pierwszym razie boli, to chyba jakiś wymysł starych, żeby nas powstrzymać. Było bosko. – Głos zabrzmiał erotycznie i marzycielsko.

Co za kłamczucha! Pewnie, że boli. Mnie bolało... Chyba że im wcześniej się zaczyna, tym mniejszy ból?

– A gdzie to zrobiliście? – To była z pewnością Kasia. Pewnie szuka dla siebie odpowiedniego miejsca i bada grunt. Niedoczekanie, żeby zrobiła ze mnie babcochę w wieku trzydziestu lat!!! Osobiście ją zaszyję.

– U niego. Starych nie było, a my urwaliśmy się z religii i poszliśmy do domu Kuby. Trzeba mu oddać, że wie, jak należy dbać o kobietę.

Boże! Co za beznadziejna chwalipięta. I do tego zamiast religii zafundowali sobie przysposobienie do życia w rodzinie. Jeśli to oczywiście jest prawda.

Godzinę później nie miałam już żadnych wątpliwości, że głos jednak nie kłamał. Moim oczom ukazało się bowiem jednaście przeciętnych nastolatek, podobnych do siebie jak owieczki Dolly. Wszystkie miały podarte dzinsy, tandetne buty na koturnach i jeszcze gorszy makijaż na powiekach. Jedenaste dziewczę – „właścicielka głosu” – okazało się ponętą Sabriną z tak dorodnym cycem, że moje zaczęły piszczeć obrażone i upokorzone. Sabrina, oprócz gigantycznych piersi, miała również wydęte usta pociągnięte błyszczkiem, rzęsy jak skrzydła motyla (na pewno sztuczne) i rozłożyste biodra. Na oko dałabym jej dwadzieścia lat. Seks wyssała prawdopodobnie z mlekiem matki. Poczułam się przy niej nieatrakcyjną szarą myszą, której tylko wydawało się, że jest bardziej doświadczona. Sabrina była kolubryną seksu. Była wieżą Eiffla erotyzmu i Mount Everestem pożądania. Jej lubieżność przeszła mnie na wylot, a kiedy powiedziała „do widzenia”, poczułam się rozebrana i gotowa do aktu. Nawet Brunona przytknęło, na szczęście tylko na chwilę

– od piersi Sabriny oderwał go prozaiczny dźwięk telefonu.

Zdaje się, że z planu znieważenia Jakuba na razie nici. Seksualne przygody Sabriny przyćmiły wszystko, nawet niesmaczne zaloty przystojniaka o błękitnym spojrzeniu.

Tej nocy będę miała erotyczne sny.

6 października, niedziela

Dzisiaj przy śniadaniu Bruno spytał mnie, czy dokładnie oskrobałam ściany w łazience.

Szuja!

Rzuciłam mu mordercze spojrzenie, ale zyskałam tylko tyle, że zatkał się chlebem i nadal wrednie uśmiechał. Dobrze, że Kasia nie zwróciła na nas większej uwagi. Pewnie jest pochłonięta rozmyślaniami o seksie Sabriny i zastanawia się, czy może już powinna TO zrobić, czy raczej odczekać przynajmniej rok. Kiedy poszła do siebie, wygarnęłam mojemu mężowi co o nim myślę, a następnie poinformowałam go chłodno, że moja wczorajsza akcja z kubkiem miała na celu „trzymanie ręki na pulsie”.

– Aha. A w jakiej sprawie? – spytał uprzejmie.

– W sprawie twojego dziadostwa.

Bruno zamilkł, bo chyba nie zrozumiał.

– Chodzi o to, żebyś za wcześnie nie został dziadkiem – wyjaśniłam z uśmiechem.

Nareszcie! Nareszcie przestał się uśmiechać, tylko zamarł jak posąg.

– Kasia...? – wystękał w końcu, ledwo poruszając ustami.

– Kasia chyba jeszcze nie. Ale w jej klasie niektóre już dawno – oznajmiłam, używając co prawda liczby mnogiej, ale tylko po to, by spotęgować wrażenie.

– Seks? W tym wieku? – Bruno miał minę człowieka, który właśnie dowiedział się, że jego matką jest koza.

– Nie dziw się. Teraz nastolatki wcześniej dojrzewają – odparłam ze znawstwem, bo od wczoraj już zdążyłam oswoić się z rewelacjami zza ściany.

– Prawdziwy seks? – Boże, Bruno przypomina żonę Konrada.

– Prawdziwy. Z penisem w roli głównej. Ale Kasia na razie tylko pyta. –

Uspokoiliam go.

– Może powinna zmienić szkołę. – Mój mąż rozpaczliwie zaczął poszukiwać możliwości obrony cnoty własnej córki.

– W każdej jest tak samo. – Wzruszyłam ramionami.

– To może jakaś szkoła dla dziewcząt?

– Bruno, w szkole dla dziewcząt jest jeszcze gorzej. Podejrzewam, że tam większość pańek marzy o tym, żeby w końcu rozłożyć nogi – wyjaśniłam.

Wiem coś o tym. Jedna z moich koleżanek z podstawówki za namową rodziców wyłudowała w Urszulankach. W drugiej klasie wywiało ją na pielgrzymkę, z której wróciła, jak to mówią, „nieczysta” albo „naruszona”. Nie wiem nawet, czy dotarła do Częstochowy, ale wiem, że jest zaledwie szesnaście lat starsza od swojego syna.

Oczywiście usunęli ją ze szkoły i jako młoda matka skończyła liceum świeckie.

Bruno jęknął poruszony i do wieczora tępo wpatrywał się w telewizor. Zaliczył

nawet jakiś durny program, w którym facet zrobił niespodziankę ukochanej i ściągnął ją podstępem do studia. Tutaj, na oczach widzów, runął na kolana i oznajmił, że marzy, by zostać jej mężem. Ona, przerażona i zaskoczona, zgodziła się, choć na moje oko facet wyglądał na handlarza żywym towarem. W nagrodę zarobili kolacyjkę w jakimś sympatycznym hotelu.

Co za bzdury.

Idę spać, a Bruno niech obmyśla plan wyperswadowania Kasi przedwczesnych kontaktów płciowych. Nawet z Dominikiem.

7 października, poniedziałek

Zapisałam się na kurs rzeźby. Kaja mnie namówiła, bo podobno to relaksuje i uspokoja nerwy. Sama jest rzeźbą – pokazywała mi zdjęcia z sesji w szkole plastycznej. Uważam, że przesadzili z krągłością jej piersi.

Kurs odbywa się raz w tygodniu, a prowadzi go przemiły pan Sebastian, który podczas pierwszych zajęć kazał nam zamknąć oczy i uwolnić swoją artystyczną duszę, „zamkniętą w świecie wiecznego pośpiechu i stresu”. Chyba mi się nie udało, bo moje pierwsze próby wyrzeźbienia głowy wywołały grymas na jego twarzy. Grymas był co prawda niezidentyfikowany, ale wyrażał opinię negatywną. Być może sprawdzę się w rzeźbie abstrakcyjnej.

8 października, wtorek

Dzwonił pan Żółtko. Do listy wymagań mamy dopisać dwa kolejne punkty:

1. wybranka nie może mieć alergii na perskie dywany,
2. musi lubić masować męskie łydki.

???

Po co?

Tego niestety pan Żółtko już nam nie wyjaśnił.

9 października, środa

Spotkałam dzisiaj Matyldę. Była zadziwiająco miła – zabroniła nawet swojemu synkowi wypaćkać mnie czekoladą, choć jego ręce, brudne od jajka niespodzianki, niepokojąco zbliżały się do mojej spódnicy.

– Mam prośbę. – Matylda zniżyła głos.

O Boże, tylko nie to! Nie wezmę Wichra, nawet gdyby mi obiecała, że wyliże cały brud w moim domu. Wicher oczywiście, nie Matylda. Zrobiłam minę stanowczą i nieugiętą, ale Matylda akurat na mnie nie patrzyła, bo jej potomek połykał zawartość niespodzianki czekoladowego smakołyku. Po wyciągnięciu mu z buzi miniaturowej koparki wróciła do swojej prośby.

– Pojedź ze mną w weekend do Krakowa.

Czy ona oszalała? Zaprasza mnie konspiracyjnym szeptem na randkę do Krakowa? A syn? A mąż? A Wicher wreszcie? Musiałam wyglądać idiotycznie, bo Matylda nagle się roześmiała i dokończyła:

– Tam są przesłuchania, a ja nie chcę jechać sama. Poza tym, to tajemnica.

– Jakie przesłuchania? – Doszłam wreszcie do głosu.

– Do programu muzycznego.

Matylda postanowiła zrobić karierę piosenkarki. Mało ma problemów? Co miałam zrobić? Zgodziłam się. Oczywiście wersja dla jej męża jest nieco inna. W Krakowie zmarła właśnie moja ciotka i muszę wszystkim się zająć. A ponieważ czuję się przybita, poprosiłam o pomoc Matyldę. Kai nie mogłam przecież zaproponować wyjazdu, bo trudno namawiać osobę w ciąży do grzebania trupa. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu.

Poinformowałam Brunona, że jadę z Matyldą na weekend do Krakowa, bo ona chce śpiewać, ale gdyby dzwonił jej mąż, to zmarła mi ciotka. Nie wiem, czy coś z tego zrozumiał, ale się zgodził.

Genialnie! Jedziemy zobaczyć na żywo znanych piosenkarzy, choć tym razem w roli jurorów. Poczulałam się jak nastolatka, choć sama nie będę śpiewać. Natura obdarzyła mnie co prawda ładną twarzą (powoli marszczącą się...), ale niestety również kozim głosem.

10 października, czwartek

Kaja też jest podekscytowana. To przecież ona o mały włos nie zrobiła kariery w chórkach i nie dorobiła się platynowej płyty. Teraz przyrzekła sobie, że jak tylko urodzi dziecko i trochę je odchowają, wynajmie mnie na dwa dni... (uśmiechnęłam się skromnie)... do opieki nad maleństwem (NIGDY!!!) i pojedzie na eliminacje.

Mam nadzieję, że do tego czasu program zniknie z wizji.

11 października, piątek

Jestem już spakowana. Dzinsy na sobotę, spodnie bojówki na niedzielę, zwykle podkoszulki z napisami i puchowa kurtka. Niestety, w tym wieku pod żadnym pozorem nie należy nosić eleganckich ubrań, które by go zdradzały. W końcu trzydziestka to ostatni dzwonek przed ustępowaniem ci miejsca w środkach komunikacji miejskiej.

W pracy ledwo wysiedziałam. I tak nie pojawił się nikt ciekawy, z wyjątkiem pewnej kobiety, która skrytykowała naszą bazę danych, wystrój biura i brzuch Kai. Z takim nastawieniem nie znajdzie faceta, nawet gdyby okleiła się dolarami i obiecywała seks zawsze i tylko wtedy, gdy tego zechce partner.

Obrzydliwy babsztyl.

Wieczorem

Nie mogę uwierzyć, że Bruno po raz kolejny wymierzył mi cios w samo serce. To niemożliwe, żeby moje małżeństwo było aż taką pomyłką!

KASIA JEDZIE Z NAMI!!!

Kiedy tylko dowiedziała się o tajnym weekendzie – moim i Matyldy – przybiegła do naszej sypialni, usiadła na łóżku i oznajmiła, że tata się zgodził, ale ma jeszcze mnie zapytać.

O co? O zgodę na swój powrót do mamusi???

Niestety, szybko dowiedziałam się, że Kasia specjalnie odrobiła już wszystkie lekcje na poniedziałek i marzy, by pojechać z nami. Co za niewiarygodny brak taktu. To miał być babski wyjazd dwóch koleżanek ze studiów, które powspominają dobre czasy i wspólnie się powyglupiają, zanim pochłonie je morze zmarszczek. Ten plan

nie przewidywał wyjazdu pasierbicy, prawie nie-dziewicy, pryszczatej i będącej genealogiczną pomyłką. Wstałam, żeby wreszcie to z siebie wyrzucić, wygarnąć całą prawdę i osobiście przyłożyć się do jej natychmiastowego powrotu na łono stęsknionej matki. Otworzyłam usta i powiedziałam:

– OK.

12 października, sobota

Już sama podróż była prawdziwą przyjemnością (mimo obecności Kasi). Zanim pociąg ruszył, pożarłyśmy kanapki (pasztet plus pomidor – ja, pasztet – Kasia, sałata plus majonez – Matylda) i zapilyśmy colą. Do Warszawy mam uraz, po tym jak się zatrulałam zielonym ogórkiem. Bruno co prawda twierdzi, że zatrulałam się czymś innym dużo wcześniej, bo to przecież niemożliwe, żeby komuś zaszkodził ogórek. Ale dużo wcześniej jadłam wyłącznie gofra. Czy ktoś słyszał o zatruciu gofrem z truskawkami i cukrem pudrem? No właśnie.

Usiadłyśmy z Matyldą pod oknem (Kasia przy drzwiach) naprzeciwko siebie i podziwialiśmy widoki. Po dwóch minutach od ruszenia pociągu przestałyśmy cokolwiek podziwiać, bo w naszym przedziale pojawiła się jakaś tleniona małpa z tlenionym synkiem i zażądała ustąpienia miejsca. Podobno SPECJALNIE zamówiła sobie miejscówkę pod oknem, bo ma zawroty głowy. Syn też? Od czego? Od jazdy? Postanowiłyśmy jednak nie wdawać się w dyskusję, tylko grzecznie usiadłyśmy pośrodku.

Chwilę później spotkała nas przykra niespodzianka. Znienacka babsztyl spryskał się wodą kwiatową i o mało nas nie udusił. Boże, co za smród! Uciekłyśmy na korytarz, gdzie piorunująca mieszanka konwalii, jaśminu, róży i bzu, była trochę słabsza. Takich zapachów nie powinni sprzedawać nawet jako odświeżaczy do ubikacji!!! Po godzinie babsztyl udał się z synkiem do baru, a my wywietrzyłyśmy przedział.

Wieczorem

Jestem wykończona. Co gorsza, Matylda dostała numerkę sześćset któryś tam i przyjmą ją dopiero jutro. Spędziłyśmy kilka godzin w centrum kultury, gdzie spuchły nam głowy od słuchania tłumu ludzi trenujących swoje struny głosowe. Większość pań piała na korytarzu, w poczekalni, w bufecie, a nawet podczas sikania. Kiedy myłam ręce, doleciały mnie fragmenty *Dumki na dwa serca*, a kiedy po raz szósty poszłam do ubikacji, załatwiałam się przy akompaniamencie *Małgoški*. Na korytarzu były nawiedzone naśladowczynie Edyty Bartosiewicz i Kasi Kowalskiej – wszystkie miały prowokacyjnie przymknięte oczy i sprawiały wrażenie opuszczonych przez los. W wielkiej sali, gdzie część przysypiała, odsypiała i ziewała, od czasu do czasu tworzyły się grupki, które przypominały wszystkim pieśni harcerek i kościelne. Przy *Czarnej Madonnie* wyszłam na dwór.

– Też zaśpiewam. – Usłyszałam nagle głos z prawej strony. Kasia.

– Ty? – Moja reakcja przynajmniej była szczerą.

– No tak. Co się dziwisz. Każdy może spróbować.

Nie każdy. A poza tym, ona jest chyba za młoda? Gdyby tu była Sabrina, to co innego. Przyjęłoby ją nawet wtedy, gdyby zamiast zaśpiewania piosenki powiedziała

wiersz.

– A ty? – Dziewczyna trąciła mnie w ramię. Chyba nigdy nie oduczę jej tego klepania, trącania i poszturchiwania. Czy ja jestem worek treningowy Michalczewskiego?

Pokiwałam przecząco głową. Ja NAPRAWDĘ nie umiem śpiewać. Potwornie fałszuję. Jak kojot, albo jeszcze gorzej. Ale na pewno nie powiem tego Kasi.

– Nie mam ochoty. Poza tym, jestem trochę przeziębiona i mam chrypkę – oznajmiłam.

– Aha. I pewnie jeszcze narodziła na strunach.

Boże, co za bezczelność. Dlaczego ona nie mogła urodzić się potulną dziewczynką bez języka? Albo z zaburzonym hormonem agresji? Odwróciła się, mam nadzieję, pogardliwie, a ja poszłam poszukać Matyldy. Stała przyklejona do jakiegoś długowłosego Jezusa z gitarą i wspólnie odśpiewywali kolędy. No cóż, w zasadzie święta już niedługo...

W hotelu okazało się, że muszę spać z moją pasierbicą w jednym łóżku. Na pewno dostanę wysypki. Na dodatek, nie mogę jej udusić, bo od razu będzie wiadomo, że to ja. Nie mam już nawet siły na alibi. Idę spać.

13 października, niedziela

Obudziłam się co prawda bez wysypki, ale za to zmarznięta. W nocy kilkakrotnie wrywałam kódrę Kasi, ale nad ranem poniosłam ostateczną klęskę. I pomyśleć, ile siły tkwi w takim czternastoletnim ciele! Owinęłam się ręcznikiem, a na nogi nałożyłam rękawiczki. Rano znalazłam w szafie drugą kódrę.

Na przesłuchaniach było jeszcze więcej ludzi niż poprzedniego dnia. To niesamowite, ile osób marzy o karierze, choć większość zdecydowanie nie powinna. Jako osoba fałszująca, sama słyszę fałsz, a właśnie takie nieczyste dźwięki wydobywały się z poszczególnych gardeł.

– Aaaaaaa. – Z lewej strony brunetka z pieprzykiem pod nosem ćwiczyła hit z *Titanica*. Jeśli komisja to usłyszy, może już nigdy nie dojść do siebie. Ludzkie ucho nie powinno być narażane na tak okrutne dźwięki.

O piętnastej przyszła kolej na Matyldę. Dwadzieścia minut później wyszła cała czerwona, spocona, z błędnym wzrokiem i rozpiętą bluzką. Czy oni tam testują wyłącznie umiejętności wokalne? Chyba nie puszcze Kasi.

– I jak? – Nastolatka już była przy Matyldzie.

– Uff! Mocne przeżycie.

To widać.

– Śpiewałam *Remedium* Rodowicz, a potem kazali mi jeszcze zaśpiewać coś po angielsku i coś rockowego. Było mocno.

– W jakim sensie? – Zapytałam, wciąż mając przed oczami jej wygląd jak po seansie na sianie.

– No... wiesz. Ogniecie.

Nadal nie wiem, czy myślimy o tym samym.

Godzinę później weszła Kasia.

– Śpiewałam Alicji Key. Podobało się – oznajmiła, bardzo z siebie zadowolona.

Akurat. Z pewnością powiedzieli jej tak na pocieszenie.

Powrotną drogę próbowałam przespać, ale niestety Kasia z Matyldą bez przerwy wspominały cudowne jury, a ja poczułam się wykluczona. Trzeba było też iść zaśpiewać. Może dostałabym stówę za odwagę.

14 października, poniedziałek

Ledwo zwlokłam się z łóżka. Kasia o dziwo wstała bez problemu i nawet podśpiewywała sobie w łazience. Rozczarowanie będzie ogromne. Nie wezmą jej do następnego etapu, a do niej samej w końcu dotrze, że śpiew nie jest jej powołaniem.

Kaja od razu kazała mi opowiadać jak było, i czy według mnie Matylda ma szansę. Ma. Ale nie wolno jej zostawiać u mnie dziecka, bo przecież mam Alzheimera.

Po południu

Na zajęciach z rzeźby próbowałam nie zasnąć. Zamiast głowy wyszła mi gruszka z jedną dziurą na oko i przetrąconym nosem. Pan Sebastian postać chwilę nade mną i popatrzył przenikliwie, a ja ze zdenerwowania dokleiliśmy gruszcę ucho na samym czubku.

– Ty naprawdę tak widzisz modela? – upewniał się pan Sebastian.

Zwariował czy co? Widzę normalnie, ale glina jest oporna. Zanim wygładziłam czaszkę, zastygła w takim dziwnym kształcie, a nos przylepiał mi się do palców i w końcu, zdenerwowana, zostawiłam go w stanie przetrąconym.

Mruknięłam więc coś niejasno i zaczęłam drążyć dziurę na drugie oko. Gruszka pękła na pół, a ja miałam ochotę wbić dłuto w miękką pupę pana Sebastiana. Jestem zła na Kaję. Jak można uważać, że rzeźbienie uspokaja, skoro ja czuję się naładowana adrenaliną i potwornie wkurzona, bo nic mi nie wychodzi? Kaja skomentowała to jednym zdaniem:

– Oczyszczasz się.

15 października, wtorek

Bruno wydłubał mi dzisiaj glinę z włosów.

Przy śniadaniu Kasia oznajmiła, że fajnie byłoby zaprosić na święta Różę z Emilem oraz moją mamę z Ralfem. I pewnie ja będę musiała wszystko robić???

Mój mąż uznał, że to dobry pomysł i spojrzał na mnie pytająco. Dzięki i za to. Otóż osobiście uważam, że pomysł jest beznadziejny, bo wyszedł od Kasi. Dlatego nie odpowiedziałam jednoznacznie, ale obiecałam, że zadzwonię dzisiaj do mamy oraz do Róży i spytam, jakie mają plany.

Mama była naturalnie zachwycona.

– Syn Ralfa wyjeżdża z rodziną na święta do ciepłych krajów i zostają tam do Nowego Roku.

Proszę, jak niektórzy mają dobrze.

– Więc bylibyśmy sami. Dlatego chętnie skorzystamy. – Mama posłała mi milion buziaków i szybko dodała, że nastolatka (tego od babci) wyrzucili z pracy.

– Nie sprawdził się jako pomoc pomocy? – spytałam zdziwiona.

– Gorzej – odparła mama. – Podobno nagrywał ludzi wybudzających się z narkozy, a potem ich szantażował. Większość płaciła kupę kasy, bo jak zobaczyła swoje miny

i usłyszała bzdury, które wygaduje, żadne pieniądze nie były zbyt wielkie. Jeden prawnik krzychał, że marzy o stosunku ze skazaną, bo mu przypomina mamusię, a znany polityk bredził coś o łapówkach.

Genialne dziecko. Kamerę ukrył na szafce i nikt niczego nie zauważył. Zanim go nakryli, zarobił podobno przynajmniej trzyletnią pensję dobrego dentysty. Jestem pod wrażeniem.

W pracy nie działa się nic ciekawego, więc kliknęłam na żółtą kopertę.

Amor: „Mam plan załatwienia dupka. Wykończę go jego własną bronią”.

To brzmi groźnie.

„Uważaj lepiej, żeby cię nie nakryli”.

Amor: „Spoko. Plan jest doskonały. Jak wypali, wszystko ci opowiem. Trzymaj kciuki”.

Nie chce mi się.

16 października, środa

Kaja wróciła od lekarza. Nadal nie widać penisika i szanse, że się pojawi są coraz mniejsze. Kaja przyzwyczaja się do imienia Zosia i do różowych śpioszków. Przecież ja nie mogę być matką chrzestną dziewczynki!!! Przecież ona wyczuje, że nie będę jej darzyć należytą, chrzestną miłością i pograży się w nieskończonej depresji.

Poradziłam Kai, żeby jadła dużo mięsa. Mężczyźni lubią mięso.

17 października, czwartek

Oglądałam dzisiaj fascynujący program o kobietach, które nie chcą własnego dziecka. Odważnie przyznały, że nie cierpią własnych brzuchów i mają zamiar zaraz po urodzeniu oddać dzieci do adopcji.

Ciekawe...

18 października, piątek

Po dwóch latach przerwy spotkałam dzisiaj Joannę, moją koleżankę ze studiów. Kobieta mieszkała ostatnio w Warszawie, bo jej mąż, Sławek, dostał tam pracę. Dość szybko jednak okazało się, że życie w stolicy nie jest ich marzeniem, więc spakowali się i wrócili na stare śmieci. Joanna znowu pracuje w galerii, a Sławek przeniósł się do filii banku w naszym mieście.

– Roma, życie w Warszawie to horror. Codziennie stałam w przerażających korkach, a jak nie zdążyłam w porę przejechać na zielonym świetle, to od razu chciało mnie zabić kilkunastu kierowców. W naszym bloku mieszkał Wietnamczyk, który handlował na Stadionie Dziesięciolecia i codziennie przynosił nam albo obrzydliwe dzinsy, albo szaliki, albo swetry w jakieś geometryczne wzory. Co gorsza, Sławek kupował coś od czasu do czasu, bo obawialiśmy się wietnamskiej zemsty.

Pokiwałam ze zrozumieniem głową. Zemsta sąsiada potrafi być gorsza niż hemoroidy. Umówiłyśmy się na niedzielę i Joanna pognęła do galerii, bo dzisiaj przychodzi nowa dostawa prac pewnego nawiedzonego plastyka, który słynie z tego, że rozbija swoje dzieła, jeśli się ich w porę nie pochwali.

W biurze Kaja ćwiczyła skłony i zdaje się rozciąganie. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego uparła się, żeby w siódmym miesiącu zrobić szpagat. Gdybym to ja była

w ciąży, nie kiwnęłabym palcem. To chyba i tak duże poświęcenie dźwigać przez dziewięć miesięcy gigantyczny brzuch? Kaja mówi, że brzuch jest ogromny tylko przez ostatnie dwa miesiące.

Nie szkodzi. Sama świadomość ciąży ciąży.

19 października, sobota

Nie lubię opery. Nie wiem czemu, ale zupełnie nie przekonują mnie śpiewające ludziki na scenie, z głosami naruszającymi spokój moich bębenków. Tymczasem Bruno próbuje zdobyć bilety na występ José Cury (czy Cura się odmienia?). Ma być za miesiąc w Warszawie. Jest on niewątpliwie przystojny i ma czarny pas w dżudo albo karate (nie wiem dokładnie, bo nie rozróżniam tych dwóch dyscyplin). Ma też interesujące czarne oczy i z pewnością ładnie śpiewa, skoro ma już zapełniony kalendarz na następne dwa lata. Mimo wszystko, nie jestem przekonana.

Czy to grzech?

20 października, niedziela

Przyszła Joanna, a Sławek wyciągnął mojego męża na dni otwarte jakiegoś salonu samochodowego. Kasia poszła na basen, więc miałyśmy niepowtarzalną okazję, aby nagadać się z Joanną do upadłego i streścić dwa lata niewidzenia się. Niestety, Joanna od razu przeszła do rzeczy.

– Sławek mnie zdradza.

Oj. To głupia sytuacja, bo nigdy nie wiadomo, co powiedzieć. „Może się mylisz?” „Na pewno się mylisz?” „Bywa”?

Ograniczyłam się do niemego pytania i podciągnęłam w górę brwi.

– Nie wiem jeszcze z kim, ale to pewne. Już w Warszawie coś podejrzewałam, ale zmylił mnie tym, że bez problemu zgodził się na powrót. A teraz jeździ raz w tygodniu do stolicy i twierdzi, że służbowo.

Bardzo podejrzane.

– To może jednak jeździ służbowo? – spytałam, bo na razie nic nie wskazywało na zdradę.

Joanna pokręciła głową.

– Jeździ. Ale nie służbowo. Zadzwoniłam do niego do pracy i tam mi powiedzieli, że od trzech tygodni bierze na czwartki urlop.

O! To zaczyna być interesujące.

Niestety, dalsze smaczki z pożycia Joanny i Sławomira przerwał brutalny powrót Kasi, która przyprowadziła ze sobą Sabrinę. Joannę aż zatkało. Nie dziwię się. Sama tak zareagowałam. Ciekawe, co doświadczona seksualnie nastolatka robi w naszym domu? Może uczy Kasię wstępnych pozycji seksualnych i podsuwa najlepsze techniki?

Ciąg dalszy zdrad Sławka zostałyśmy zmuszone odłożyć na później.

21 października, poniedziałek

Kaja kupiła dwie sukieneczki i różowy kocyk. Jestem przerażona jej beztroską. Pocieszam się jednak, że może córka – którą najprawdopodobniej urodzi – kiedyś poczuje się niewygodnie we własnej skórze i wtedy łatwo namówię ją na zabieg. Jak

u Ludwiki, tylko że w drugą stronę.

Na kursie rzeźby poszło mi dzisiaj dużo lepiej. Mieliśmy ulepić garnek i o dziwo nawet mi się udało, chociaż pan Sebastian mruknął nad moim uchem:

– Interesująca torebka.

Ja myślę, że on wypróbowuje moje nerwy. Michała Anioła też na początku zniechęcano, nie wspominając o van Goghu. Uśmiechnęłam się z wystudiowaną obojętnością i lepiłam dalej.

Bruno nie dostał biletów na Cureę.

22 października, wtorek

Skandal w szkole Kasi. Oczywiście dowiedziałam się wszystkiego od Dominika, bo na relację pasierbicy nie ma co liczyć. Skandal dotyczy Myszy oraz Jakuba. Otóż, od pewnego czasu Mysz znajdowała w torebce liściki od Kuby, w których zapewniał, że jest ona ucieleśnieniem prawdziwej kobiety, że marzy o niej nocami, i że czeka na swój pełnoletni wiek, by móc porwać ją w ramiona. Jednocześnie Kuba znajdował podobne liściki, w których Mysz pisała o swoim gorącym uczuciu i obiecywała, że poczeka na jego pełnoletniość, by oddać mu się bez wyrzutów sumienia. Obie strony napisały również, że w razie wpadki wszystkiego się wyprą, by nie narażać ukochanej/ukochanego na nieprzyjemności. Mysz, najprawdopodobniej zbulwersowana skandalicznym zachowaniem swojego ucznia, zaniósła liściki do dyrektorki. Niestety, Kuba zrobił to jako pierwszy i oznajmił, że w szkole czuje się molestowany. Kiedy doszło do konfrontacji, zarówno Kuba, jak i Mysz wszystkiego się wyparli, co było do przewidzenia, bo tak przecież zaznaczyli w liścikach. W tej sytuacji dyrektorka zażądała odłożenia na inny czas tych żenujących amorów i zabroniła chłopakowi i nauczycielce dalszego kontaktowania się w pisemnej formie. Poinformowała ich również, że wie dlaczego donieśli na siebie nawzajem (pół szkoły już huczało od plotek, bo Kuba wszystkim się pochwalił) – chodziło im o uśpienie wroga, czyli samej dyrektorki. Zagroziła Myszy usunięciem ze szkoły, a Kubie obniżeniem oceny z zachowania i przeniesieniem do innego gimnazjum.

Udowodnienie ich niewinności na podstawie charakteru pisma okazało się naturalnie niemożliwe, bo liściki pisane były na komputerze, dla dodatkowego utrudnienia, różną czcionką.

Brawo.

W ten właśnie sposób Kasia za jednym zamachem zemściła się na Myszy i niewiernym kochanku, zyskując sobie prawdopodobnie uznanie koleżanek z klasy. Tylko biedny Dominik niczego się nie domyśla.

23 października, środa

Róża potwierdziła swoje uczestnictwo we wspólnej Wigilii. Oczywiście przyjedzie z Emilem i przywiezie pasztet.

Dobre i to.

Po pracy wpadłam do galerii Joanny. Ładnie urządzone. Najbardziej podobał mi się parawan z zasuszonego kopru, choć szczerze mówiąc, nie widzę dla niego żadnego zastosowania. Jest prześwitujący i cały się sypie.

Joanna wyglądała na przybitą i zrozpaczoną. No tak. Jutro czwartek. Pocieszylam

ją, że może tym razem Sławek nie pojedzie w żadną delegację.

– Wiem, że nie pojedzie. Wszystko się wydało.

I ona mówi o tym tak spokojnie? Przysiadłam z wrażenia na krześle, ale jeszcze szybciej wstałam, bo okazało się kolejnym dziełem sztuki i zamiast normalnego obicia miało powtykane zasuszone osty. I za to trzeba zapłacić tysiąc trzysta złotych? W tej sytuacji postanowiłam postać i zniecierpliwiona poprosiłam Joannę o kontynuowanie wątku.

– Mój mąż jest plemnikiem – oznajmiła smutno.

Mimo wszystko usiadłam, bo taka rewelacja dosłownie zwała mnie z nóg.

Okazało się, że mąż Joanny jeździł w czwartki na castingi, aż w końcu załapał się do reklamy prezerwatyw. Niestety, został przebrany za plemnika, który testuje swój nowy, gumowy domek. Zdaniem Joanny twarz Sławka jest rozpoznawalna na zdjęciu i ona teraz wstydzi się pokazać znajomym. Wcale jej się nie dziwię. Gdyby Bruno został plemnikiem, też umarłabym ze wstydu.

– Wolałabym, żeby miał romans – załkała Joanna.

Pewnie. W takiej sytuacji każdy romans byłby lepszy od zdrady z gąbczastym strojem z gigantycznym czułkiem na głowie.

24 października, czwartek

Mam nowy krem pod oczy. I to zupełnie za darmo. Wpadłam na rewelacyjny plan odwiedzenia kilku sklepów z kosmetykami i w każdym poprosiłam o próbkę tego samego kremu. Próbka ma trzy mililitry. Razy siedem sklepów równa się dwadzieścia jeden mililitrów, czyli nawet więcej niż oryginalny flakonik. W domu wycisnęłam wszystkie tubki do pustego słoiczka i natychmiast wklepałam sobie nowy specyfik pod oczy.

Jestem genialna. Chyba zrobię to samo z kremem na twarz, dekolt i szyję. Że też wcześniej tego nie wymyśliłam!

Dostałyśmy kartkę od Ewy:

Muchos facetos!

Jestem zaspokojona i szczęśliwa. Uwielbiają moje ciało. Całują piersi i usuwają pył spod nóg!

Szukam męża!

Buzios!

Ewa.

25 października, piątek

Wydaje mi się, że widziałam dzisiaj pod naszym domem Kubę. Mam nadzieję, że nie zorientował się, kto go wrobił i ośmieszył w całej szkole, i nie podpalił nam domu. Może na wszelki wypadek zadzwonić do pana Jurka z agencji „Pulp Fiction”?

Bruno poinformował mnie dzisiaj wieczorem, że Sławek ma poważne kłopoty. Podobno szef banku na zdjęciu reklamowym prezerwatyw rozpoznał w nim plemnika i nie wie, czy ktoś taki jest wiarygodny dla klientów. Sławek może stracić pracę, a wszystko dlatego, że chciał dorobić jako sperma.

Dzwoniła mama. W jakimś programie rozrywkowym niemiecka telewizja puściła

film z rwania zęba znanej aktorki. Aktorka była pod narkozą i podczas wybudzania się zaczęła krzyczeć, że ma dosyć byle jakiego seksu z niemieckimi radnymi i marzy o jakimś generale. Podobno oglądalność kilkakrotnie przewyższyła oczekiwania właścicieli stacji, którzy błyskawicznie stali się milionerami. Wszyscy bowiem chcieli posłuchać, który radny jest beznadziejny w łóżku, który domaga się, by podczas stosunku polewać go sokiem malinowym, a który udaje koguta i pieje, gdy dochodzi. Mama słusznie podejrzewa, że autorem filmu jest jej były podopieczny, którego aktualnie ściga policja i prokuratura.

26 października, sobota

W Anglii jacyś przestępcy próbowali porwać Victorię Beckham, była Spice Girl. Nie wyglądała na przerażoną. Moim zdaniem była zachwycona, że znowu jest w centrum uwagi i że pisze o niej cała brytyjska prasa. Pewnie sama nagrała tę akcję, żeby wrócić na pierwsze strony gazet jako bohaterka. W końcu ile można czytać o własnym beztalenciu?

27 października, niedziela

Wiadomości dotyczące polskich realiów też stają się coraz ciekawsze. W pewnej parafii jakiś psychopata podszedł do proboszcza, przyłożył mu pod zebro plastikowy pistolet, machnął w powietrzu różą i krzyknął: „Dosyć tego gadania!”. Oczywiście został aresztowany, chociaż osobiście wcale się nie dziwię, że nie wytrzymał kazania. Kiedy jako mała dziewczynka chodziłam grzecznie do kościoła, regularnie przysypiałam w połowie mszy. Myślałam, że mi to z wiekiem przejdzie, ale jako nastolatka też nie mogłam wytrzymać smęcenia księdza z ambony, który przekazywał nam tak zwane prawdy wiary głosem monotonnym, jednostajnym i pozbawionym emocji. Pomyślałam więc, że odczekam jeszcze parę lat i może jako osoba dorosła wreszcie zrozumieć święte słowa i poczuję spływającą na mnie łaskę. Niestety, kazania nadal mają to do siebie, że są nudne, bowiem większość księży wygłasza je tak, jakby robili to za karę. Dlatego chodzę do kościoła regularnie dwa razy w roku. Na Wielkanoc, ze święconką, i na Boże Narodzenie, oglądać żłóbki.

28 października, poniedziałek

Leje. Leje i jest obrzydliwie zimno. Mam gęsią skórę nawet na pośladkach, więc z samego rana dolałam sobie rumu do herbaty. Siedzę sama, bo Kaja musi dzisiaj leżeć. Płód tak ją w nocy skopał, że prawie zobaczyła wierzgające stópki. To pewnie dlatego, że ciągle ćwiczy szpagat. Poleciłam jej, żeby włączyła dźwięki lasu i spoiła płód ciepłym mlekiem. Obiecała, że się dostosuje.

Migająca koperta.

To pewnie Amor oznajmi mi wreszcie, jaki był plan udupienia dupka.

A nie! Jakiś xxx. Jestem po rumie, więc mogę trochę pogadać.

xxx: „Jesteś wielorybkiem?”

Kretyn.

„Tak. A dokładnie waleniem”.

xxx: „Tłuściutkim?”.

Kretyn.

„Bardzo”.

xxx: „Pobaraszkujemy?”.

„Nie mogę. Mam okres” – odpisałam i rozłączyłam się.

Wieczorem

Pan Sebastian uznał, że jednak coś ze mnie będzie. Nie wiem czy się z tego cieszyć, bo skorzystałam z nieobecności Kai i wzięłam jej garnek do wykończenia. Porobiłam na nim efektowne cięcia i dokleiłam ucho. Ale komplement był miły.

29 października, wtorek

Sławek zostaje w pracy. W razie czego ma mówić, że ten plemnik to jego brat bliźniak, z którym od lat nie ma żadnego kontaktu.

Bruno przyniósł dzisiaj do domu królika. Na tydzień, na przechowanie, bo jego koleżanka z pracy (Brunona oczywiście) wyjechała na szkolenie i nie miała z kim zostawić ulubieńca. Królik ma na imię Drops i jest zupełnie spokojny. Nie trzeba z nim wychodzić na spacer, nie trzeba uciekać przed municypalnymi i nie trzeba wyprowadzać na siku. Kreta też z ogrodu nie wygrzebie, bo sam jest niewiele większy. Je zagraniczne kolby pomarańczowo-cytrynowe z dodatkiem orzechów arachidowych oraz dropsy. Stąd imię. Dropsy są waniliowe i kosztują więcej niż kilogram polskich krówek. Na szczęście Ewa, koleżanka mojego męża, zostawiła zapas, więc królik nie nadwyręży naszego budżetu. W przeciwieństwie do Kasi, która robi to nieustannie.

Dzwoniła Matylda i wyznała, że martwi się tym, iż jeszcze nie zadzwonili z programu muzycznego. I nie wie, czy przeszła dalej. Wyjaśniłam jej, że tak od razu to chyba nie podają wyników, bo muszą przecież jeszcze raz przesłuchać te wszystkie kasety z nagraniami. Uspokoiła się trochę. Nie chcę myśleć, co to będzie, jak w ogóle nie zadzwonią. Są jeszcze inne programy tego typu, ale Matylda twierdzi, że tam mają niekompetentne jury. Wyjąłym uczestnikom mówią na przykład: „Jesteś katastrofalnym zaprzeczeniem kogoś, kto umie śpiewać”, „Przebijasz się przez gąszcz własnej beznadziejności i szarzyzny”, „Czuję od ciebie skompromitowany zapach Cepelii” czy „Idź lepiej reklamuj pastę do zębów, bo jedyne, co w tobie błyszczy, to szczeka”. Porażające spostrzeżenia. Ciekawe, ilu nastolatków strzeliło sobie po takich eliminacjach w łeb, ilu jest obecnie na prozaku, a ilu siedzi na kozetkach u psychoanalityków i reperuje własną osobowość?

Biedne, niezdolne wyjce.

30 października, środa

Znalazłam dwa zasuszone bobki przy lodówce. Myślałam, że to kulki jałowca, ale pachniały zupełnie inaczej. Dobrze, że ich nie ugryzłam.

Moje stosunki z sąsiadami uległy zdecydowanej poprawie. Nie dlatego jednak, że nagle wybaczone mi znęcanie się nad pasierbicą oraz chorobę psychiczną, ale dlatego, że zmienił się obiekt zainteresowania. Big Brother naszej ulicy skierował swoje oko na panią Urszulę Pomieć (cztery domy, licząc od lewej), która rzekomo jest czarownicą. Plotka głosi, że kiedy pani Pomieć spotyka na swojej drodze zwierzę, po tygodniu pada ono nieżywe. Czarownica rzuca też klątwy na ludzi,

odprawia jakieś dziwne rytuały i wywołuje duchy. Te rewelacje przyniosła dzisiaj Kasia, którą po szkole zaczepiła jedna z sąsiadek i spytała, czy podpisze petycję. Kasia wykręciła się swoją niepełnoletnością i przyniosła pismo do domu. Dla nas.

My społeczność sąsiedzka z ulicy Różanej protestujemy przeciwko bliskości Urszuli Pomieć, niebezpiecznej czarownicy i znachorki. Domagamy się, aby urząd miejski wyeksmitował ją z domu nr 56 i zakazał powrotu na naszą ulicę pod jakąkolwiek postacią. Urszula Pomieć znana jest z tego, że odprawia czary, uśmierca zwierzęta oraz prawdopodobnie ludzi, a także eksperymentuje w sposób niedozwolony. Jest niebezpieczna dla otoczenia i jako wiedźma stanowi społeczne zagrożenie.

Pod petycją znalazło się kilka autografów.

„Pod jakąkolwiek postacią” – ten zwrot szczerze mnie zainteresował. Czy to oznacza, że pani Urszula Pomieć umie zmienić się w papugę albo chomika? Bruno pokiwał głową na znak dezaprobaty i wyrzucił petycję do kosza. Zdaje się, że będziemy następni na liście do eksmisji. To niemożliwe, żeby w tak dużym mieście mogły mieszkać zabobonne babsztylki i do tego wszystkie na naszej ulicy. Jestem przerażona zbiorowym idiotyzmem naszych sąsiadów i zastanawiam się, jak ich wszystkich umieścić w zakładzie dla obłąkanych.

Jutro ma się odbyć polewanie wodą święconą posiadłości pani Pomieć.

Chyba żyjemy w czasach *Szkarłatnej litery*.

31 października, czwartek

Kasia zaproponowała, abyśmy ostentacyjnie przeszły się pod dom pani Urszuli i na dodatek wzięły ze sobą Dropsa. Jeśli po tygodniu nie zdechnie, plotki umilkną.

Dobry pomysł.

A jeśli Drops zdechnie?

...

Oczywiście wcale nie wierzę w wiedźmowość pani Pomieć, ale ostrożności nigdy dosyć. Po pracy zapakowałam jednak Dropsa do koszyka, Kasia wzięła pączki i tak uzbrojone udałyśmy się do przekłętego domu numer pięćdziesiąt sześć. Trafiliśmy na polewanie wodą święconą, którą w ilości kilku litrów zamówiono u księdza z pobliskiej parafii. Ciekawe, czy wiedział po co święci?

– Dokąd? – Drogę zagroziła nam najwredniejsza z sąsiadek (ta od ciasta! I pomyśleć, że wpuściliśmy ją do domu!) i wbiła w nasze twarze przeszywający wzrok głodnej hieny.

– Do pani Uli. Jesteśmy umówione na seans z Dropsem – wyjaśniła uprzejmie Kasia, a ja tylko przytaknęłam.

Sąsiadkę zatkało, i zanim zorientowała się, kim jest Drops, czmychnęłyśmy do ogrodu. Pani Pomieć otworzyła nam drzwi z błyskiem w oku i wałkiem w ręku, ale Kasia w porę zadeklarowała naszą misję pokojową. W domu sąsiadki nic nie wskazywało na odprawianie czarów czy też rzucanie klątw, dopiero w maleńkim pokoiku sprawa nieco się wyjaśniła. Pani Urszula Pomieć była wróżką i jako profesjonalistka posiadała zestaw kart do tarota, komputerowe wykresy znaków zodiaków i oczywiście kryształową kulę, ale tylko jako rekwizyt ozdobny. Sama nie

rozumie, jak to się stało, że zyskała przydomek czarownicy. Pocięliśmy ją, że mniej więcej raz na miesiąc klan sąsiadek poszukuje nowej ofiary, a ponieważ zbliżający się listopad sprzyja duchom, wiedźmom i wampirom, wybrały sobie właśnie ją. Podziękowała za wsparcie i obiecała darmową wróżbę. Ja skorzystam na pewno.

Kiedy wracałyśmy do domu, pod płotem pani Pomieć nikogo już nie było, ale obecność oczu zza firanek wyczuwało się na odległość.

Drops na razie żyje, a w nagrodę dostał marchewkę.

1 listopada, piątek, Wszystkich Świętych

Jestem wykończona sprząaniem grobów. Najpierw pojechałyśmy z Kasią na grób mojego ojca, a kiedy go dokładnie pozamiatałam i wyszorowałam płytę, okazało się, że pomyliłam alejki. Mój ojciec leży o jedną dalej. Dziwne, że żadna z nas nie spojrzała na napis. Potem sprzątnęłam prawdziwy grób ojca (upewniłam się dwukrotnie, że to ten i nawet kazałam komuś obcemu przeczytać nazwisko), a dziewczyna w tym czasie nosiła wodę na kwiaty. Brunona z nami nie było, bo pojechał do swojej mamy pomóc jej przy grobie ojca i dziadków. Moi (ze strony mamy) na szczęście jeszcze żyją, tyle że w Bieszczadach, a rodziców taty nie znałam. O tyle mniej sprząania.

Na koniec zagrabiłyśmy liście, a ja w intencji ojca odśpiewałam pieśń patriotyczną. Kasia poradziła mi, żebym zmówiła tradycyjny pacierz, bo to bardziej pasuje do dzisiejszego święta, ale ja lepiej znałam mojego ojca. Był zagorzałym komunistą, a w kościele pewnie był tylko raz i to przypadkiem. Lubił za to pieśni patriotyczne oraz przeboje Niemena. Niestety, z moim głosem Niemena postanowiłam sobie odpuścić.

Do domu wracałyśmy przez trzy godziny. Dlaczego wszyscy akurat dzisiaj musieli wyjechać samochodami? Ja to co innego, w końcu mieszkam dość daleko od cmentarza. Kiedy dowlekłyśmy się wreszcie do celu, byłam zmęczona, śpiąca i uboższa o zestaw do dziobania w ziemi oraz grabienia liści, bowiem zostawiłam go przy grobie. Trudno. Nie jadę tam z powrotem. Zresztą i tak pewnie ktoś już zdążył przywłaszczyć sobie moje zielone grabki.

Wieczorem

Między dwudziestą a dwudziestą drugą zaatakowały nas trzy bandy poprzebieranych dzieciaków, które przy użyciu jakiegoś dziwaczego zaklęcia domagały się cukierków. Co to w ogóle za pomysł? Dałam im stare ciastka, na które nawet Drops nie chciał spojrzeć, i zamknęłam drzwi. Kiedy po dwudziestej drugiej pojawiła się kolejna grupka kościotrupów, wydałam z siebie przerażający ryk oraz pohukiwanie puszczyka. Kasia popukała się w czoło, ale bachory pouciekały.

Ileż można mieć w domu starych ciastek!?

2 listopada, sobota

Bruno wrócił z sernikiem pana Emila oraz dwoma słoiczkami marynowanych grzybków. Jedyna pozytywna strona Wszystkich Świętych i Zaduszek. Poza tym, mój mąż skrócił sobie intrygująco grzywkę, bo podobno nie umiał zapalić znicza.

Kiedy w końcu zapalniczka strzeliła ogniem, Bruno osmalił sobie czoło i uwędził włosy.

Dziwnie wygląda.

Właśnie dowiedziałam się, że kinowej premierze kolejnej części Harry'ego Pottera (ten bachor z różdżką będzie mnie prześladował do końca życia), towarzyszył poważny skandal moralno-marketingowy. Otóż pewna firma wyprodukowała miotły z wibrującą rączką, które rzekomo miały symulować latanie. Niestety, dość szybko okazało się, że można używać ich również do innych celów, o czym świadczyły gigantyczne kolejki, składające się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z kobiet. Kiedy przekonano się, że wibrująca miotła ma znaczny wpływ na życie seksualne nieletnich dziewczynek, wycofano ją ze sprzedaży. Pewna matka zaskarżyła nawet producenta o wywołanie u jej córki skłonności onanistycznych. Mam nadzieję, że zaskarżą również Joanne K. Rowling. Należy jej się za skandaliczne traktowanie fanów swojej książki oraz polityczne odrzucanie pomocy z kraju byłego bloku wschodniego.

3 listopada, niedziela

Od rana Drops wyglądał dziwnie. Najpierw siedział w kącie i trząśł się jakby zobaczył przed sobą węża z otwartą paszczą. Następnie przewrócił się na bok i zaczął podrygiwać jak epileptyczna Barbara Radziwiłłówna. Bruno natychmiast złapał zwierzątko i osłuchiwał jego schorowane ciało. Następnie zapytał, czym go nakarmiłyśmy.

– Marchewką – odpowiedziałam zgodnie z prawdą, choć już poczułam się jak zbrodniarka.

Pół godziny później okazało się, że o mały włos nie wysłałam Dropsa na tamten świat, bowiem królik Ewy miał uczulenie na zieleninę. Na szczęście Bruno zrobił mu lewatywę i doprowadził do gigantyczno-śmierdzącego rozwolnienia, wskutek czego radziwiłłowskie drgawki Dropsa w końcu ustały.

To jakaś paranoja.

Żeby królik był uczulony na marchewkę?

To co teraz jedzą gryzonie? Golonkę?

4 listopada, poniedziałek

Uświadomiłam sobie przerażającą rzecz. Jutro kończę trzydzieści jeden lat. Przekroczyłam magiczną liczbę trzydziestu i moje życie potoczy się teraz z górki. Kiedy byłam w liceum wydawało mi się, że kobieta trzydziestoletnia jest próchnem, któremu pozostała nędzna vegetacja oraz problemy gastryczne. Spikerki telewizyjne, nauczycielki, sportsmenki, piosenkarki – zawsze były ode mnie starsze. Już nie są. A w zasadzie jeszcze gorzej – są młodsze. Muszę zmienić swój punkt widzenia. Może życie kończy się dopiero po pięćdziesiątce?

Kaja podziękowała mi za skończenie garnka. Będzie miała gotowy prezent dla swojej mamy na Gwiazdkę. Pan Sebastian pokiwał tylko głową, odniosłam wrażenie, że z dezaprobatą. Mało mnie to obchodzi. W końcu co gorszego od skończenia trzydziestu jeden lat może mnie spotkać?

5 listopada, wtorek

Obudziłam się z oddechem staruchy. Na dodatek dostałam zapalenia spojówek, bo wczoraj nałożyłam sobie pół kilo kremu pod oczy, żeby wreszcie położyć kres moim obrzydliwym zmarszczkom. Bruno przyniósł mi do łóżka kwiaty i obrane pomarańcze w kształcie serca. Wręczył też paczuszkę z precudowną, staroświecką broszką w kształcie jaszczurki. Mam nadzieję, że to nie jest żadna aluzja.

Kasia złożyła mi dość sztywne życzenia i podarowała własnoręcznie namalowany obrazek. Dam sobie głowę uciąć, że gdzieś go kupiła. Jak na nią, to zdecydowanie za ładny.

Dowlokłam się do pracy, łapiąc na twarz krople deszczu, bowiem słyszałam, że deszczówka ujędrnia i wygładza cerę. Kaja wyczuwała mnie w starcze poliki i wręczyła przewodnik po współczesnych terapiach upiększających. Cudownie, ale potrzebuję jeszcze kogoś, kto dorzuci fundusze na te zabiegi.

Około dwunastej zadzwoniła mama.

– Witam moją starą córkę! – wykrzyknęła radośnie.

Straszne. Żeby własna matka dobijała dziecko i to w dniu jego urodzin.

– Nie martw się. Mam dla ciebie zestaw cudownych kosmetyków. Przywiozę w grudniu. – Mama była najwyraźniej w doskonałym humorze. Pewnie do niej dotarło, że nie tylko ona się starzeje.

Ale kosmetyki na pewno się przydadzą. Poza tym, obiecała mi dodatkową niespodziankę, ale to na razie tajemnica.

Wieczorem Bruno zabrał mnie na wspaniałą kolację. Dwie godziny siedzieliśmy sami i delektowaliśmy się pysznym winem oraz rybą w cytrynie, ale później sytuacja nieco się pogorszyła. Przyszedł Konrad z Manułą. Bruno dawał mi co prawda tajne znaki, że nie ma z tym nic wspólnego, ale i tak go zabiję.

– Cześć, laleczko, ślicznie wyglądasz – zapiła Manuela i pocałowała powietrze koło mojego ucha.

Fuj.

Konrad wyczuwał mnie za to siarczyście i wręczył butelkę mojego ukochanego, różowego wina oraz czekoladki o smaku rumowym. Pycha! Od Mańci dostałam oddzielny prezent. Szklaną kulę z zatopionym w środku aniołkiem dzierżącym choinkę. Po obróceniu wszędzie pływały złote gwiazdki. Kwintesencja kiczu. Dam ją Dropsowi.

Manuela zamówiła płonący deser, a potem piszczała jak oszalała, kiedy przynieśli jej pucharek z zapalonym sztucznym ogniem. „Ojej, tu trzeba strażaka!” – zawołała uradowana i zaczęła dmuchać. I tak dobrze, że wie, kto gasi ogień.

6 listopada, środa

Łóżko wodne ma jedną wadę. Nie można na nim klęczeć, bo natychmiast człowiek się przewraca. Po kilku próbach umieraliśmy z Brunonem ze śmiechu, aż w końcu Kasia zapukała do drzwi i zawołała, żebyśmy „bzykali się trochę ciszej”.

Od razu przeszła nam ochota.

7 listopada, czwartek

Zdaje się, że dziecko Kai będzie miało ojca. I to murzyńskiego. To chyba dobije

Adasia bardziej niż belgijska próbówka.

Kiedy dzisiaj przyszłam do pracy, Kaja siedziała na kolanach wielkiego Murzyna (podobny trochę do tego, któremu wstrzykiwałam zupę pomidorową), a on z czułością klepał ją po brzuchu. Z wrażenia upuściłam siatkę z owocami. Murzyn rzucił mi się na pomoc i dokładnie pozbierał wszystkie mandarynki i banany (ha! ha!), po czym uklonił się i przedstawił:

– Wesley.

– Roma.

Spojrzałam pytająco na Kaję, bo nadal nie rozumiałam, dlaczego w siódmym miesiącu ciąży siedziała na kolanach obcego Murzyna w zielonym swetrze.

– No co ty? – Pokiwała głową. – Przecież to jest TEN Wesley.

No tak!

Kilka lat temu Kaja wpadła na genialny pomysł zwiedzenia Afryki. A ponieważ nie miała własnych pieniędzy, zgłosiła się do agencji pośredniczącej w wysyłaniu za granicę opiekunek do dzieci. Miesiąc później moja przyjaciółka leciała na podbój Czarnego Lądu, a dokładnie do Johannesburga, gdzie miała opiekować się trójką małych dzieci, chodzić do szkoły w celu szlifowania angielskiego i naturalnie poznawać Afrykę. Pierwszy szok przeżyła już na lotnisku. Najmłodsze dziecko miało lat szesnaście, środkowe – dwadzieścia, najstarsze – dwadzieścia dwa. Kaja na próżno wypatrywała maleńkich murzyńskich bączków o urodzie Bambo z elementarza. Cała trójka była biała, wyrosnięta i żądała od niej wożenia ich do szkół i na uniwersytety. Pani domu, Niemka z pochodzenia, zdradziła swój wredny charakter jeszcze tego samego wieczora, kiedy oznajmiła, że na szkołę angielskiego to Kaja z pewnością nie znajdzie czasu, bo dom trzeba codziennie sprzątać, a dodatkowo gotować. Tego co prawda w umowie nie było, ale dziewczyna postanowiła być miła przynajmniej pierwszego dnia, więc tylko się uśmiechnęła ze słowiańskim wdziękiem. Kolejne dni utwierdziły moją przyjaciółkę w przekonaniu, że RPA poznawane przez pryzmat ściery w domu państwa R. jest jeszcze gorsze niż Afryka na pocztówkach. Poza tym w tym drugim przypadku nie trzeba lecieć tysięcy kilometrów i usługiwać rozpuszczonym „bachorom”. Zadania Kai były dość monotonne i sprowadzały się do: rozwożenia całej trójki po różnych szkołach (pierwszego dnia wystraszyła się, że ktoś ukradł kierownicę, bo odruchowo siadła po lewej stronie, ale zniesmaczone „dzieci” szybko wyjaśniły jej, że w RPA obowiązuje ruch lewostronny), gotowania obiadu (nic nie smakowało) i sprząwania (zawsze źle). Wieczorem była tak zmęczona, że natychmiast zasypiała, choć z mocnym postanowieniem, że następnego dnia zobaczy przynajmniej żyrafę.

Po dwóch tygodniach doszło do pierwszego kryzysu. Kaja uświadomiła sobie, że marnuje tu swój czas, a na dodatek szesnastolatek regularnie podkradał jej bieliznę i podglądał w łazience. Kiedy został przez nią lojalnie ostrzeżony, że następnym razem wepchnie mu stanik do gęby i obije go prysznicem, uciekł z krzykiem do mamusi, że „służąca” mu grozi. Przerażona pani domu zainterweniowała u męża, który – nie wiedząc czemu – postanowił poważnie porozmawiać z Kają w środku nocy i to w jej pokoju. Następnego dnia, z ogromnym siniakiem na udzie (Kaja walnęła go glinianą figurką) oznajmił przy śniadaniu, że ubiegłej nocy został

narażony na pokuszenie i ledwo się obronił. Pani domu zaczęła krzyżeć i machać rękami, po czym zagroziła dziewczynie „poważnymi konsekwencjami w ambasadzie”. Tego dnia Kaja sama uregulowała sobie pensję za ostatni tydzień harówki (pieniądze leżały w kuchennej szafce) oraz zafundowała małą premię za straty moralne i zwiłała od państwa R.

Kiedy siedziała samotnie na przystanku i nie miała pomysłu, w którą stronę pojechać, nadjechał zdezelowany samochód, a za kółkiem siedział sympatyczny Wesley. Późniejsze afrykańskie przygody mojej przyjaciółki potoczyły się szybko i romantycznie. Kaja zamieszkała z Wesley’em u jego rodziny i wreszcie miała okazję zrobić wszystko to, co zaplanowała – na własne oczy zobaczyć żyrafę, słonia, małpy oraz lwa, pojeść suszonego mięsa i owoców o niepowtarzalnym smaku (te mango z Tesco nawet nie wachały swoich afrykańskich kolegów), kupić bębenek, maskę, kołczan na strzały oraz siedem par butów. Powoli też rozwijała się jej miłość do Wesley’a. Wtedy zmienacka dopadło ją wezwanie z ambasady. Tam dowiedziała się, że:

1. Uciekła z pracy.
2. Okradła swoich chlebodawców.
3. Molestowała pana domu.
4. Biła dzieci.
5. Próbowwała uwieść nieletniego.
6. Zachowywała się skandalicznie.

Po odczytaniu tych kompromitujących zarzutów, Kaja dostała „afrykańskiego misia” do paszportu, po czym została wydalona z Czarnego Lądu. Wesley tęsknił, ale nie był w stanie nic zrobić, bo tęsknota nie pozwoliła mu na opłacenie biletu do Polski, podążenie za ukochaną i zamieszkanie z nią wspólnie w kraju Mickiewicza, którego i tak nie znał.

I nagle, po trzech latach Wesley pojawił się w naszym biurze z mocnym postanowieniem studiowania socjologii na Uniwersytecie – nomen omen – Adama Mickiewicza (przez trzy lata odkładał na to pieniądze) oraz poślubienia Kai. Brzuch nie stanowi, dla niego żadnego problemu. Wręcz przeciwnie – ucieszył się, że od razu będą mieli dziecko.

Do takiej miłości zdolny jest tylko młody, murzyński chłopak z biednej, murzyńskiej wioski.

8 listopada, piątek

Całą noc śniły mi się dźwięki tam-tamów oraz *Król Lew*.

9 listopada, sobota

Według mnie Kaja oszalała. Jak można po trzech latach nie widzenia się wiązać swoje życie z Murzynem, który zamierza studiować socjologię i nie jest autorem Kajowego brzucha? Moja przyjaciółka najpierw oznajmiła mi, że nie mówi się Murzyn, tylko Afroamerykanin, i dodała, że zawsze z miłością myślała o Wesley’u, często do siebie pisali, ale nie przypuszczała, że jeszcze kiedyś go spotka. Gdyby tylko istniał jakiś cień szansy, nigdy nie wskoczyłaby do łóżka Adasiowi.

Tymczasem Wesley, po licznych atakach na ambasadę i bezskutecznych próbach

złagodzenia wyroku Kai, poddał się wreszcie i zdecydował, że to on podąży za nią. Rzucił się zatem w wir pracy i dzięki temu wreszcie ma możliwość połączenia swojego życia z ukochaną.

Bruno jest wzruszony, Kasia również. Sentymentalizm mają pewnie w genach, choć dotychczas jakoś się z nim nie obnosili.

10 listopada, niedziela

Ślub ma się odbyć w Wigilię. To nie może być prawda. Takie rzeczy zdarzają się wyłącznie w Harlequinach, a i to rzadko kiedy z Murzynem, to znaczy Afroamerykaninem w roli głównej. Na razie Wesley zapisał się na intensywny kurs języka polskiego, a w czerwcu startuje na socjologię. Przestałam nadążać za życiem swojej przyjaciółki.

Muszę się napić.

11 listopada, poniedziałek, Święto Niepodległości

Zjadłam siedem rogalików marcińskich. To dlatego, że ciągle jestem w szoku. Potwornie boli mnie brzuch, dlatego nie wzruszyłam się dzisiejszym świętem. Próbowałam obejrzeć *Wyprawę po złote runo*, ale ból odebrał mi zdolność logicznego myślenia. Nic nie zrozumiałam i nie zorientowałam się, kiedy główny bohater ściągnął z drzewa złoty, barani łeb. Bruno zaparzył mi miętowej herbaty, a ja resztę narodowego święta sprofanowałam w ubikacji.

12 listopada, wtorek

Ślub Kai i Wesley'a będzie na razie tylko cywilny, bo nie mogli znaleźć wolnego terminu w kościele. Poza tym, nieco się zrazili, kiedy na widok przyszłego pana młodego jeden z księży przeżegnał się, jakby zobaczył antychrysta. Wesley wystąpił w stroju narodowym, czyli jakimś pomarańczowym chałacie, a Kaja w etnicznej wersji sukni ślubnej, bo tak obecnie nakazuje moda. Mam być świadkiem.

To straszne. Mam być świadkiem na tym dziwnym ślubie i matką chrzestną dziewczynki. Zostałam niesprawiedliwie pokarana przez los.

Szczęście mojej przyjaciółki ma tylko jedną dobrą stronę – podświadomie przyciągnęło do naszego biura trzy kandydatki i aż czterech kandydatów, mało atrakcyjnych co prawda, ale za to z piękną duszą. Jeden jest malarzem pokojowym, porzuconym przez żonę dla malarza artysty. Obecnie chodzi na kurs malowania akwarelą, żeby w przyszłości nie dać się niczym zaskoczyć. Szuka kobiety przeciętnej, niekoniecznie wrażliwej na sztukę, ale pragnącej z nim „spijać rosę ze źdźbeł trawy”. Według mnie malarz pokojowy w tajemnicy zalicza również kurs pisania wierszy.

Dostałam dzisiaj wiadomość od Amora, który poinformował mnie, że plan wypalił w stu procentach, ale pojawił się inny problem. Otóż wielbiciel numer dwa (ten inteligentny) zamknął się w sobie i wydaje się obrażony. No cóż, wcale się nie dziwię. Skoro wyczuł, że przez moment groziła mu detronizacja z powodu urodziwej buzi rywala, musiał poczuć się idiotycznie. Poradziłam jednak, żeby na razie się nie przejmować, to ukochany sam dojdzie do wniosku, że obrażanie się nie przyniesie mu żadnych korzyści.

Nie jestem pewna, czy to dobra rada.

13 listopada, środa

Boli mnie ząb. Potwornie.

Wieczorem

Ból nie do zniesienia.

14 listopada, czwartek

Zostałam dzisiaj fachowo zahipnotyzowana. Konrad załatwił mi wizytę u swojego dobrego znajomego, a przy okazji dentysty, który od niedawna zajmuje się borowaniem, rwaniem i plombowaniem właśnie przy pomocy hipnozy. Gdybym nie wiedziała, że to znajomy Konrada, nigdy nie usnęłabym dobrowolnie w pokoju obcego mężczyzny. Na wszelki wypadek dokładnie zbadałam wszystkie szafki i sprawdziłam, czy nigdzie nie jest zainstalowana kamera, a następnie usiadłam na fotelu.

– Najważniejsze jest wzajemne zaufanie między hipnotyzerem a osobą hipnotyzowaną – powiedział dentysta i spojrzał na mnie z prawdziwą głębią w oczach.

Poczułam dreszcz zaufania.

– Czy jesteś skłonna poddać się hipnozie? – zapytał nie mniej głęboko.

Oczywiście przytaknęłam, bo ból zęba był naprawdę nie do wytrzymania.

– Zatem zaczynamy.

Dentysta powoli skierował mój wzrok na strumień światła z małej latarki. Kiedy mimowolnie zamknęłam oczy, kazał mi przypomnieć sobie najmiłsze wydarzenie w życiu i nazwać je trzema wyrazami-hasłami. Przedtem poinformował mnie, że jego pacjentki najczęściej wspominają pierwszy kontakt z dzieckiem, kiedy krótko po porodzie przytulają je do piersi, dzień ślubu czy pierwszą miłość. Ponieważ na szczęście nie doświadczyłam porodu, postanowiłam skupić się na miłości.

Moja pierwsza miłość miała na imię Olaf i była kolegą z ławki. Olaf ofiarowywał mi najpiękniejsze prezenty świata – kolorowe szpulki z nićmi, mydełko do rysowania na materiale i szpilki. Miał tego sporo, bo jego mama była krawcową – podobno bardzo dobrą i niedrogą. Tak głośno osiedlowa plotka. Kiedy już oficjalnie staliśmy się parą, mama ukochanego uszyła mi na Pierwszą Komunię przepiękną sukienkę, i tylko nie wiadomo, czemu moja mama miała z tego powodu kwaśną minę. Już jako osoba dorosła dowiedziałam się, że mama Olafa zdarła za tę sukienkę potworne pieniądze, które nie miały nic wspólnego z tak zwanym zwrotem „po znajomości”. Wręcz przeciwnie. Uczucie wczesnoszkolne skończyło się równie szybko, jak się zaczęło. Otóż okazało się, że Olaf zazdrości mi dosłownie wszystkiego – ocen, pochwał na lekcjach, a nawet dwustronnego piórnika (prezent od wujka z Niemiec), który w latach osiemdziesiątych był równie dużą atrakcją jak podpaski w aptekach. Nie tylko piórnik okazał się solą w oku. Również pachnące gumki, w kolorze wściekłego różu, składane, miniaturowe nożyczki „Made in Taiwan”, cienkopisy oraz ołówki z truskawkowymi nakładkami. Kiedy dodatkowo

przyniosłam do szkoły trzydziestosześciorozowy zestaw pisaków, Olaf o mało mnie nie ugryzł. Zażądał zmiany miejsca i zerwał ze mną wszelkie kontakty. Co ciekawsze, nie przeszło mu to aż do ósmej klasy. Początki były jednakże piękne i dlatego z dużą czułością wspominam teraz tamte czasy.

Siedząc na fotelu dentystycznym w eleganckim gabinecie pana hipnotyzera, wymieniałam trzy słowa hasła:

– Nici, sukienka, piórnik.

Wtedy pan doktor wreszcie przystąpił do właściwego zabiegu. Charakterystycznego zgrzytu wiertła nie dało się nie słyszeć, ale moja podświadomość w jakiś niewytłumaczalny sposób kazała go odrzucić, dzięki czemu borowanie nie wywołało – po raz pierwszy w życiu – stanu lękowego.

Reszty nie pamiętam. A kiedy się ocknęłam, w mojej bolącej jeszcze przed chwilą szóstce tkwiła elegancka plomba.

Rewelacja.

Kaja też była pod wrażeniem.

– Zahipnotyzował cię?

– Dokładnie tak. Nie wiem, co się działo, pamiętam tylko muzykę i delikatny dźwięk wiertła.

– Delikatny?

– Takie ma się wrażenie.

– Co jeszcze robił?

– No nic, tylko borował.

– To dobra metoda dla zboczeńców.

– No co ty!? – Puknęłam się w czoło, choć przed zabiegiem miałam podobne myśli.

– Pacjentka nie ma pojęcia, co się z nią dzieje. Niby hipnoza, niby plomba, a jeśli coś jeszcze? – Kaja przemieniła się w seksualnego detektywa.

– Za mało czasu.

– Akurat. Jakby faceci potrzebowali na to więcej niż pół minuty. Z wyjątkiem Wesley'a – zaznaczyła ucziwie.

Najważniejsze, że ząb mnie nie boli.

Ani nic innego.

15 listopada, piątek

Wesley chce, żeby to była dziewczynka i bardzo podoba mu się imię Zosia. Od dzisiaj lubię go trochę mniej.

16 listopada, sobota

Przeżyłam dzisiaj kolejną kompromitację w swoim życiu. Stanęłam oko w oko z matką Kasi i wyglądałam jak ósme dziecko stróża.

Zamiast powiewnej sukienki, pachnącej eleganckimi perfumami i skandalicznie drogą metką, miałam na sobie powyciągane spodnie od dresu, dwie różne skarpetki, koszulkę mojego męża z napisem „Dlaczego kobiety żyją dłużej? Bo nie mają żon!” oraz trzy białe plamy na twarzy, czyli maść cynkową, walczącą z moimi pryszczami, które pojawiły się nagle i bez zapowiedzi. Podobnie zresztą jak matka Kasi.

Oczywiście ona przygotowała się na to spotkanie i wbiła się w najlepszą garsonkę

(choć kiepski krój) oraz wykonała PRAWIE profesjonalny makijaż (tusz trochę posklejał jej rzęsy). Na jej ustach błyszczała pomarańczowa pomadka (bezguście) oraz błąkało się pytanie: „Czy pani tu sprząta?”.

Dobrze, że go jednak nie zadała, bo inaczej musiałabym ją obić szczotką.

– Dzień dobry – oznajmiła od progu i bezczelnie weszła do środka, nie czekając na zaproszenie. To chyba u nich rodzinne.

Odrzuciłam włosy, żeby pokazać moje złote, długie pukle, ale niestety nic z tego nie wyszło, bo były tłuste. Zaprowadziłam ją do pokoju (gdzie jest Bruno???) i błyskawicznie przebrałam się w czarną kreację, na głowę wcisnęłam kapelusz, a twarz zamalowałam fluidem. Automatycznie zyskałam pięć lat więcej, więc szybko umyłam twarz wodą i spryskałam się perfumami.

Kasia na widok matki nie okazała specjalnego wzruszenia, co jest o tyle niepokojące, że automatycznie świadczy o dość oziębłych stosunkach między nimi. Rozumując dalej i logicznie – o powrocie pewnie nie ma mowy. Przygotowałam herbatę, choć wątpię, czy matka Kasi cokolwiek przełyka przez tak mocno zaciśnięte usta.

Na szczęście wrócił Bruno, choć również w nie najlepszym stanie, bo właśnie mył samochód. Niestety sam, co było widać po jego ubrudzonej twarzy i równie atrakcyjnym dresie, jak mój. Na widok swojej byłej żony uniósł brwi ze zdziwienia, ale w jego oczach nie dostrzegłam ani radości, ani wzruszenia, ani nawet sentymentalnego błysku (hurra!!!). Jeden zero dla mnie, mimo mojego wyglądu. Mój mąż umył ręce, wrzucił na siebie sweter i spytał uprzejmie: „Czemu zawdzięczamy tę niespodziewaną wizytę?”.

Właśnie. Też chciałabym wiedzieć.

– Przyjechałam bez uprzedzenia, bo chciałam, żeby Kasia była w domu. To dotyczy przede wszystkim jej – była żona Brunona ma głos równie skrzekliwy jak wiedźma z bajki *Jasiu i Małgosi*. Albo ta od jabłka od *Królewny Śnieżki*. Albo jeszcze gorzej – jak wiedźma Ple Ple z *Fragglesów*.

Kasia chrząknęła mało zachęcająco, a ja zamieniłam się w słuch. Czyżby mój horror z pasierbicą w roli głównej dobiegał wreszcie końca?

Wieczorem

Zapach pierwszej żony na szczęście już wywietrzał, a ja nadal zastanawiam się nad ogromnym szczęściem, które mnie odwiedziło szesnastego listopada! Otóż matka Kasi zaproponowała swojej córce roczne stypendium w Anglii!!!

Oznajmiła, że wie, że córka na razie nie chce do niej wracać, ale niech w takim razie skorzysta z propozycji wyjazdu. Stypendium załatwił przyszły mąż matki Kasi (i ojczym, ha! ha!, to jednak istnieje), który pracuje w jakimś stowarzyszeniu współpracy między szkołami różnych krajów, no i jakoś udało mu się przepchnąć kandydaturę dziewczyny. Spryciarz! Przynajmniej na rok pozbywa się kłopotu!

Teraz wszystko zależy od Kasi (czy chce?) oraz jej dyrektorki (czy ją puści?) – Bruno ma iść do szkoły i z nią porozmawiać. W końcu taka okazja nie zdarza się zbyt często. Nastolatka obiecała, że się zastanowi, ale widziałam, że pomysł chyba jej się spodobał! To byłoby cudowne i jakże zaskakujące zakończenie tego roku.

W styczniu, niemal zaraz po świętach, Kasia poleciałaby do Londynu i zdobywała nowe doświadczenia w deszczowych, angielskich warunkach.

Z całej tej wizyty wyciągnęłam dodatkowy morał – zawsze należy sprzątać z ułożonymi włosami, makijażem i w kostiumie co najmniej od Chanel.

17 listopada, niedziela

Czuję, że Kasia się waha. Ale raczej na tak. Spytała Brunona, co on by zrobił na jej miejscu, a mój cudowny mąż odpowiedział, że to chyba fajna szansa w życiu. Chyba? Ja myślę, że fajna, ale mnie nikt o zdanie naturalnie nie pytał.

Nie szkodzi.

I tak jestem zadowolona.

Poza tym, idę jutro do pani Urszuli Pomieć na obiecaną darmową wróżbę, a tam na pewno dowiem się czegoś więcej. Zjadłam batonika i poszłam spać. Nie myję zębów, bo w razie czego mam przecież hipnotyzera.

18 listopada, poniedziałek

Nie poszłam dzisiaj na zajęcia z rzeźby, bo pani Pomieć dokładnie w tym samym czasie rozkładała przede mną karty Tarota i odczytywała moją świetlaną przyszłość.

– Miłość. Głęboka, mądra miłość – wyszeptła pani Ula.

To na pewno ja i Bruno.

– Ojciec i córka.

Co za brednie. Jak miłość to tylko ja i mój mąż, a córka i ojciec to najwyżej przywiązanie. I obowiązek, często przykry.

– Daleka podróż.

Tak!!! O to właśnie chodziło!!!

– Smutek i tęsknota.

To pewnie Dominik.

– Małe dziecko.

To cięża Kai. Na razie wszystko się zgadza.

– Zostanie pani matką.

Owszem. Ale chrzestną.

– Widzę dziewczynkę, a właściwie dwie. Będzie mieć pani bliźniaki.

Zaraz, zaraz...

– Ja będę mieć bliźniaki? – upewniłam się mocno zaniepokojona.

– Karty nie kłamią. Tuż obok siebie leżą dwie karty narodzin.

Wcale nie dziwię się, że pani Urszula Pomieć uznana została za wiedźmę i czarownicę. Jak można na kogoś rzucać takie klątwy!!!???

Bliźniaki!!! I do tego jeszcze rodzaju żeńskiego. Zgroza!

19 listopada, wtorek

Nie myliłam się. Wtedy koło naszego domu rzeczywiście widziałam Jakuba. Dzisiaj miał zdecydowanie więcej odwagi, bo około piątej po południu usłyszałam dzwonek do drzwi. Kiedy zobaczyłam Kubę, od razu pomyślałam, że wszystko się wydało, a poszkodowany przyniósł siekiere, którą najpierw odrąbie głowę Kasi, a potem weźmie się za nasze.

Na szczęście dziewczyna nawet nie wpuściła intruza-mordercy do środka, tylko na korytarzu wyjaśniła mu, żeby poszukał szczęścia gdzie indziej. Właśnie, niech zamorduje Urszulę Pomieć.

Swoją drogą, wcale się nie dziwię Kasi, że odesłała go do stu diabłów. W końcu Kuba to towar wybrakowany i zużyty przez seksualnego demona – Sabrinę. Nastolatka wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną.

Bez przesady.

20 listopada, środa

Kaja żyje przygotowaniami do ślubu. Co prawda po ceremonii zamiast przyjęcia planują tradycyjną Wigilię, ale i tak jest dużo roboty. Przede wszystkim trzeba do tego czasu reanimować matkę Kai, która na widok swojego przyszłego zięcia zemdląła i do tej pory nie odzyskała przytomności. Przynajmniej mentalnie. Kaja oswaja ją książkami Kapuścińskiego, ale jak na razie bezskutecznie. Teściowej najwyraźniej nie pasuje kolor skóry Wesley'a. Nie pociesza jej nawet fakt, że dziecko Kai będzie miało w końcu ojca, a na wakacje pojedzie sobie do Afryki, a nie nad polskie morze. Moja przyjaciółka jest jednak dobrej myśli. W końcu do jej ciąży matka też przyzwyczajała się ponad miesiąc, istnieje więc szansa, że murzyński, to znaczy afroamerykański zięć także zostanie w końcu zaakceptowany.

Dzwonił pan Żółtko i złożył rezygnację z usług naszego biura. Podobno jesteście niekompetentne, skoro do tej pory nie udało się nam znaleźć kandydatki na żonę. Szczerze mówiąc, poczułam ulgę. Nigdy nie znalazłybyśmy kobiety spełniającej listę oczekiwań naszego (byłego już) klienta. Do tego te etniczne zdolności seksualne!

21 listopada, czwartek

Wróciła Ewa! Wygląda zachwycająco, jest opalona, wypoczęta i co najważniejsze po raz kolejny spotkała miłość swojego życia. Mimo naszych podejrzeń, nie jest to gorący Hiszpan, który w wolnych chwilach kładzie byki jednym spojrzeniem, ale polski właściciel hotelu na Costa del Sol. Właściciel ma na imię Roman, a do Hiszpanii wyemigrował kilkanaście lat temu, zaraz po tym, jak jego pierwsza żona przy rozwodzie oskubała go nawet z brudu za paznokciami. Na szczęście uraz do kobiet już mu minął, więc kiedy ujrzał Ewę, zapałał do niej szczerym, słowiańskim uczuciem, odrobinę podrasowanym przez śródziemnomorski klimat. Ślubu co prawda na razie nie planują, ale będą żyć razem. Ewa przyleciała do Polski tylko na parę dni, polikwidować jakieś swoje sprawy i dać ogłoszenie o wynajmie mieszkania. My mamy się tym zająć, bo ona wraca w ramiona stęsknionego Romana, który tylko podczas naszej rozmowy wysłał kilka SMS-ów zachwalających jej piersi na przemian z udami.

Wieczorem

Wpadła do nas Joanna. Sławka wyrzucili jednak z banku, bo wziął udział w reklamie zup rozpuszczalnych. Zagrał pomidorówkę. Sławek oczywiście nie przejął się zwolnieniem, bo od dawna marzył, żeby zostać aktorem. Joanna zastanawia się, czy znowu nie powinni zamieszkać w Warszawie, bo tam najczęściej odbywają się castingi, a Sławek postanowił do końca przyszłego roku zagrać

Hamleta. Reklamówki są tylko treningiem. I to doskonałym. W końcu nawet Jerzy Stuhr miałby problemy, aby przekonująco zagrać zupę. Pomidorową.

22 listopada, piątek

Nie wiem, jak to się stało, ale Kasia znalazła moje opowiadanie o Kopciuszku, jeszcze z czasów liceum. Co za potworny wstyd. Co gorsza, spytała, czy może je sobie pożyczyć i poczytać w szkole koleżankom, bo strasznie jej się podoba.

Co za podłość. Co za brak taktu i wychowania. Dlaczego nie może jej spaść cegła na głowę i spowodować trwałą amnezji?

Kopciuszek popatrzył na swoje ręce i pomyślał, że najwyższy czas zacząć stosować jakieś kremy.

– Te środki czyszczące są obrzydliwie żrące. Nie dość, że cuchną aż do bólu nosa, to jeszcze wyżerają kawałki skóry. Koszmar – zamruczał do siebie i poszedł do pokoju swoich przyrodnicich sióstr.

Mógł sobie na to pozwolić, bo jedna już od trzech godzin walczyła ze zwałami tłuszczu na siłowni, a druga po raz siódmy zdawała egzamin na prawo jazdy. Kopciuszek był więc sam w domu. Wyciągnął jakiś babski magazyn i uważnie przeglądał kartka po kartce. Pojawiła się próbka szamponu, fluidu w odcieniu kawy z mlekiem, a pod sam koniec próbka kremu do rąk z arniką i witaminami. Kopciuszek wyrwał delikatnie małeńką saszetkę, odłożył gazetę i poszedł do kuchni posmarować swoje spierzchnięte dłonie.

Miał wolny poniedziałek, więc postanowił pójść do kosmetyczki i umówić starszą siostrę na zabieg nawilżająco-ujędrniająco-energetyzująco-leczniczy. Kosmetyczka uświadomiła mu straszną prawdę. Otóż dowiedział się, że nie ma praktycznie żadnych szans na zachowanie wiecznej młodości, bowiem od piętnastego roku życia nie używa regularnie kremu przeciwzmarszczkowego. Kopciuszek próbował wytłumaczyć jej, że chciał o tym pomyśleć grubo po trzydziestce, ale kosmetyczka spojrzała na niego z politowaniem. Z jej wywodu wynikało jasno, że po pierwsze – prawdziwym i jedynym przyjacielem każdej kobiety, i to od najmłodszych lat, powinien być dobry krem. Po drugie – mikstury z kwasami owocowymi, koenzymami i innymi składnikami od A do Ż muszą znajdować się w codziennej diecie, podobnie jak ujędrniacze biustowe, szyjne i dekoltowe. W przeciwnym razie, w wieku trzydziestu pięciu lat Kopciuszek będzie miał zmarszczki i wory pod oczami, a jego szyja zacznie przypominać wzburzone morze z falami. I nie znajdzie się na tym świecie ani jeden książe, który zaakceptuje taki wygląd. Chyba że ślepiec.

Pod spodem było dopisane „Autorka – Roma S.”.

Chyba nie mogę udawać, że to ktoś inny.

23 listopada, sobota

W Londynie powinno być ciekawie. Podobno rodzina królewska ma sporo pikantnych grzeszków na swoim koncie. Ostatnio na przykład podejrzewa się ich o homoseksualne gwałty na kamerdynerach oraz odsprzedawanie politycznych prezentów. Jak się jeszcze okaże, że Diana była siostrą Karola, a ten jest synem Kamili, która jako bardzo nieletnia matka oddała go do adopcji albo porzuciła

w szuwarach Tamizy, sama tam pojedę. Kasia jest coraz bardziej zdecydowana. Wypożyczyła nawet przewodnik po Londynie, a wczoraj słyszałam, jak powtarza angielskie zwroty. Mam nadzieję, że jest tak pochłonięta rozważaniem ewentualności wyjazdu, że zapomni o moim beznadziejnym wypracowaniu. Swoją drogą, kiedy ja to napisałam?

I po co?

24 listopada, niedziela

Sprawdziłam dzisiaj, czy moje tabletki antykoncepcyjne nie są czasem przeterminowane. Nie chciałabym dać satysfakcji pani Pomieć. Dowiedziałam się właśnie, że mimo swojej wiedźmowatości, nie zostanie eksmitowana. Petycja nie została w końcu wysłana, bo podpisało się pod nią tylko kilkoro sąsiadów, wszyscy na wszelki wypadek dość nieczytelnie. Skończyło się więc na jednorazowym polewaniu święconą wodą oraz kilku znakach krzyża wykonanych pospiesznie na widok wróżki. A ponieważ listopad dobiega końca, ustaną w końcu problemy pani Pomieć. Ciekawe, kto padnie ofiarą grudniowych plotek.

Kasia bezczelnie zadzwoniła do mojej mamy i spytała ją o zdanie w sprawie wyjazdu. Mama na szczęście była na tak i wyraziła natychmiastową chęć, aby odwiedzić swoją „przyszywaną wnuczkę” w Londynie. Zdecydowanie dochodzi między nimi do zbyt dużej zażyłości. W końcu to zupełnie dwie obce sobie osoby! Przejęłam słuchawkę, bo to MOJA mama i spytałam, kiedy zamierza przyjechać. Około dwudziestego grudnia, żeby mi pomóc w przygotowaniach.

Miło z jej strony.

25 listopada, poniedziałek

Dostałam dzisiaj rozpaczliwego maila od mojej dawnej przyjaciółki z liceum. Daria mieszka teraz w Szwecji i zdaje się niedługo kończy trzydzieści jeden lat.

Starzeję się. Każdy kolejny balejaż to krok ku wacie cukrowej na głowie, a każdy dzień bez niego nieuchronnie prowadzi mnie ku wizerunkowi szaroburego myszochomika. Jestem w kropce. Do tego wszystkiego blade ciało jak kluski lane lub alternatywnie – solariowa mandaryna. Dupa w dołki – można na niej grać w golfa, tylko za dużo dołków. Sylwetka kobiety z atlasu człowieka – jakoś wzrostu nie przybywa, a ciało szersze niż dłuższe – typowe symptomy wkraczania w wiek rozrodczy. Hitem są oczywiście piersi dyndające jak dzwonki bożonarodzeniowe, elegancko pomarszczone. Nie miałabym chyba problemu ze zlokalizowaniem ewentualnego guza, bo struktura tkanek z gąbczastej coraz bardziej ewoluuje ku gązie opatrunkowej, czyli miękkiego sitka. Pomimo nieodwracalnych zmian, które świadczą o niechybnym wkroczeniu w wiek dojrzały, cera nadal tłusta, czarne wągry zdobią nos, a czerwono-białe ropne wypryski, gdziekolwiek urozmaicają krajobraz kraterów-blizn, pozostałości po licealnym wyciskaniu. Tak to wygląda niestety i żadne kilogramy tynku na gębie nie zmażą dokuczliwej świadomości stanu rzeczy. Co robić? Na siłowni młode panienki wyginają chude ciała – odechciewa się wszystkiego, a w szczególności ćwiczenia. Zresztą po co? Męczysz się trzy godziny, by zgubić sto kalorii (czyli równowartość chudego jogurciku Danone), po czym

przychodzisz do chaty tak piekielnie głodna, że wciągasz kolejny tysiąc. Marnujesz kupę forsy na pseudopięszacze, po których w trzy dni mają być widoczne rezultaty i są, ale niewidoczne nawet po trzech miesiącach stosowania. Chciałam tu w Szwecji zapisać się na kurs tańca. Ale porzuciłam tę myśl po pierwszych warsztatach, bo postanowiłam darować sobie widok mojego cielska, wyginającego się oczywiście zawsze w odwrotną stronę niż wszyscy. Jak ja do tego wszystkiego mogłam dopuścić? Za dwa tygodnie kończę trzydzieści jeden lat. Jestem zrozpaczona. Całuję. Daria.

Straszne. Jak można tak źle o sobie myśleć? I ta obsesja na punkcie starzenia się...

Na zajęciach ulepiłam postać kobiety z piersiami wiszącymi niczym „bożonarodzeniowe dzwonki”. To na cześć Darii.

26 listopada, wtorek

Kaja wypożyczyła dla mamy *Pożegnanie z Afryką*. Jest święcie przekonana, że już niedługo Wesley zostanie zaakceptowany, bowiem jej mama uwielbia Meryl Streep. Nie bardzo rozumiem, co aktorka ma wspólnego z potwornie czarnym ciałem Wesley'a, ale moja przyjaciółka ma swój plan. Mam nadzieję, że do Wigilii wypali.

Żółta koperta.

Amor: „Gdybyś miała możliwość wyjechać gdzieś daleko, powiedzmy na rok albo dłużej, to skorzystałabyś z takiej szansy?”

Oczywiście. Pytanie tylko, gdzie. Do Rumunii chyba nie chciałabym pojechać.

„A dokąd?”

Amor: „No, na przykład do Stanów, albo Anglii, albo Francji... Żeby nauczyć się języka”.

Odpisałam, że gdyby ktoś zaproponował mi rok za granicą, w kraju, w którym przemysł kosmetyczny jest o wiele bardziej rozwinięty niż u nas, gdzie mają najpiękniejsze sklepy, gabinety odnowy biologicznej, a na ulicach można spotkać sławnych ludzi (bo w Polsce widziałam tylko Olbrychskiego na rowerze, ale nie dam sobie głowy uciąć, bo miał maseczkę na twarzy. Podejrzewam jednak, że to był on, bo kiedy przejeżdżał usłyszałam syki „Olbrychski, Olbrychski”), to pojechałabym bez zastanowienia. Możliwość poznania języka jest również pewnym atutem takiej przygody.

Amor: „A gdybyś miała chłopaka?”

„Skoro nie wytrzyma bez ciebie przez rok, to znaczy, że nie był tego wart”.

A jeśli wytrzyma, to znaczy, że jest nieatrakcyjny. Tego oczywiście już nie napisałam.

27 listopada, środa

Ciekawe, dlaczego dość dawno nie widziałam u nas Dominika. Czyżby wyczuł, że między Kasią a Kubą doszło do czegoś więcej niż tylko „odwieszania zawieszonoego” komputera? Nawet nie mam kogo zapytać, bo Bruno oczywiście nie wie, a Kasia mi nie powie.

Do biura wpadła Matylda, a Kaja natychmiast zajęła się jej trzyletnim synkiem. To pewnie taka próba generalna. Matylda wyglądała na załamana. Pomyślałam, że

to z powodu braku odzewu z programu muzycznego, który miał się stać trampoliną do sukcesu i wielkiej sławy. Nie myliłam się.

– Nie zadzwonili. – Chlipnęła.

– Bo jeszcze mają czas. – Uspokoiliam ją. – Przecież oni nie mogą tak od razu zdecydować.

Kaja pokiwała głową.

– Niepotrzebnie się martwisz. Moim zdaniem zadzwonią dopiero po świętach.

Tacy jurorzy też mają na pewno rodzinę i muszą kupić prezenty, pomyśleć o świątecznym menu i śpiewaniu kolęd. A może nawet sami coś pieką? – Pocieszała Matyldę jak mogła.

– No właśnie – dodałam. Co roku w telewizji jest wspólna Wigilia i myślę, że każdy musi coś przygotować. Może uczyć się robić celebrycki kulebiak?

– Kulebiak na Boże Narodzenie?

– No to może makiełki, albo chociaż skrobią śledzie. Daj im trochę czasu. – Poklepałam Matyldę po ręce. Doskonale ją rozumiem. Do dziś pamiętam, jak czekałam na odpowiedź Rowling. Pamiętam też, co przeżyłam, kiedy w końcu mi odpisali. No, ale może Matylda będzie miała trochę więcej szczęścia.

28 listopada, czwartek

To niesamowite! Moja matka okazała się najwspanialszą kobietą na świecie. Przyjechała do nas zupełnie z zaskoczenia i oznajmiła, że czas na zapowiadaną niespodziankę urodzinową. Kremy? Nie, kremy przyjadą w grudniu.

Jedziemy na trzy dni do Austrii na terapię radonową! Nie wiem dokładnie, co to radon, ale głęboko wierzę, że usuwa zmarszczki. Bruno o wszystkim wiedział, ale nie zdradził się jednym słowem.

Wieczorem

Mały zgrzyt. Mama przywiozła Kasi przepiękne kozaki. Ze skóry. W przyrodzie zawsze musi być równowaga – najpierw radość, a zaraz potem kop w dupsko. Mam nadzieję, że radon poprawi mi nieco nastrój, a kozaki wkrótce rozkleją się od śniegu.

29 listopada, piątek

Mamie zdecydowanie służy niemiecki klimat. Nie dość, że przez całą drogę sama prowadziła, to jeszcze w ogóle nie wyglądała na zmęczoną. W przeciwieństwie do mnie. Mnie boli kręgosłup i coś dzwoni w uszach. Po powrocie muszę się dokładnie zbadać.

30 listopada, sobota

Rano zeszliśmy do recepcji, gdzie wręczono nam pouczającą ulotkę. Przekazałam ją mamie, bo jej niemiecki jest zdecydowanie dużo lepszy niż mój.

– „Znajdujący się w sztolniach skoncentrowany gaz wraz z towarzyszącym mu promieniowaniem alfa to doskonała dawka energii. Każdego roku przyjeżdżają tu tysiące chętnych z całej Europy, gotowych poddać się tej specyficznej terapii. Wewnątrz góry panują optymalne warunki – temperatura dochodzi do czterdziestu dwóch stopni Celsjusza, a wilgotność powietrza sięga nawet sto procent. Zestawienie

tych czynników oraz skoncentrowanego radonu pozwala efektywnie zwalczać takie choroby jak na przykład gościec i zdecydowanie zmniejsza ból kości i stawów” – odczytała mama.

– Czy nas bolą kości i stawy? – Chciałam się upewnić.

– Mnie nie.

– A mnie trochę.

– To może masz gościec?

Spojrzałam na mamę z politowaniem – co za koszmarnie poczucie humoru!

– W żadnym wypadku. W naszej rodzinie też nikt nie miał.

– To fakt. A od strony twojego ojca dziedziczne są tylko odstające uszy.

Wiem coś o tym.

Obie doszłyśmy jednak do wniosku, że profilaktyka jeszcze nikomu nie zaszkodziła, więc poddałyśmy się badaniom wstępnym. Skontrolowano nam ciśnienie, zmierzono puls, wbito w płaszcze kąpielowe i wywieziono podziemną kolejką, która pomknęła kilka kilometrów w głąb góry. Jeśli ktoś boi się zamkniętych pomieszczeń, powinien od razu zrezygnować z radonowej przygody. Wiem to niestety dopiero teraz. Dzielnie udawałam jednak, że wszystko jest w porządku, a fakt, że w sztolni było duszno i parno, starałam się jakoś zlekceważyć.

– Dziwnie tu – wyszeptalam.

– Wiem, ale to podobno zdrowe. Udawajmy, że jesteśmy w saunie – odszepnęła mama.

Ławo jej mówić.

– Ale z sauny można w każdej chwili wyjść.

– A tutaj są podobno guziki. Jak naciśniesz, kiedy ci będzie słabo, to natychmiast przyjadą i cię wywiozą.

– Ale wstyd trochę.

– No, lepsze to, niż się udusić. – Mama jak zwykle miała rację.

Pomarudziłam jeszcze trochę i postanowiłam dzielnie znieść terapię, tym bardziej, że mama wyglądała na zachwyconą. Przecież nie mogę być gorsza. Przez następne pięćdziesiąt minut poleżałam sobie na drewnianej pryczy, wokół skał, a moja skóra wchłaniała gorące powietrze oraz naturalnie radon. Poczułam, jak moje zmarszczki wygładzają się, a cellulitis z krzykiem ucieka w głąb góry. Mama oddała się błogim medytacjom, a ja wyobrażałam sobie, że leżę na wielkiej łące, że jest chłodno (to było najtrudniejsze), i że w każdej chwili mogę wstać i pójść popływać. Po seansie pognałyśmy z mamą pod letni prysznic i na godzinę położyłyśmy się w pomieszczeniu relaksacyjnym. Spałyśmy pięć. Obudził nas pewien miły pan z informacją, że zamykają.

1 grudnia, niedziela

Dzisiaj w sztolniach było o wiele lepiej. Kiedy leżałam i wdychałam młodość, przypomniały mi się słowa mamy o dziedzicznych uszach ze strony mojego ojca. Niestety. Te uszy były moim przekleństwem w młodości, bo wszyscy żartowali, że są tak wielkie, iż na jednym mogę spać, a drugim się przykrywać. Do dziś nie zapomnę tego upokorzenia. Kiedy skończyłam liceum, postanowiłam poddać się operacji

plastycznej, aby już nikt nigdy nie znieważył mnie uszną obelgą. Znalazłam klinikę i pojechałam na rozmowę wstępną.

– Uszy – oznajmił mi lekarz, kiedy tylko przekroczyłam próg jego gabinetu.

Całe szczęście, że od razu zauważył przyczynę mojej wizyty i nie powiedział na przykład „nos”.

– Uszy – przytaknęłam.

– Rzeczywiście odstają. Ale widziałem gorsze.

Ja też. U Urbana.

– Proponuję termin w czwartek o jedenastej. Wpisać panią? – spytał i sam to zrobił w swoim skórzanym kalendarzu.

Czwartek. Czyli za dwa dni, a ja nie miałam ani pieniędzy, ani pewności. Z opresji wyratowała mnie mama, która udzieliła pożyczki oraz matczynego wsparcia. To ostatnie było co prawda za darmo, ale pieniądze musiałam odpracować w śmierdzącej pizzerii, gdzie nikt nie dawał napiwków, bo przychodzili tam wyłącznie studenci i jedli Margheritę.

W czwartek o jedenastej leżałam na stole operacyjnym, a miły pan doktor wbijał mi się kilka razy igłą w ucho oraz jego okolice. Myślałam, że umieram, ale to i tak nie byłoby najgorsze. Ponieważ dostałam wyłącznie znieczulenie miejscowe, słyszałam dokładnie każdy zgrzyt, świst i chrobotanie. Kiedy poczułam, że po plecach spływa mi jakaś dziwna ciecz, spytałam nieśmiało, czy czasem nie wyciekł mi z ucha środek znieczulający.

– Nie. Ma pani po prostu krwotok.

No tak. Wszystko było jasne. Wykrwawiałam się na stole operacyjnym, a jakiś konował drapał mnie za uchem. I dodatkowo zabawiał idiotycznymi historyjkami o różnych rodzajach uszu, odstających w kilku miejscach jednocześnie. Takie podobno najtrudniej zoperować. Po paru minutach zorientowałam się, że mówi dokładnie o moim przypadku i poczułam wyrzuty sumienia. Żeby to jakoś zagłuszyć, spytałam cicho o ewentualne komplikacje.

– W zasadzie nie ma żadnych. Operacja odstających uszu należy do jednych z łatwiejszych.

To miłe. Zaniepokoiło mnie jednak sformułowanie „w zasadzie”.

– Czasem zdarza się, że lekarz może uszkodzić jakiś nerw twarzy, ale to są bardzo rzadkie przypadki.

Cudownie. Już sobie wyobraziłam własną głowę z przyklejonymi co prawda uszami, ale za to ze sparaliżowanym policzkiem. Na szczęście moja operacja należała do udanych, a ja wróciłam do domu z normalną twarzą. Trzy godziny później, kiedy przestało działać znieczulenie, ból rozsadził mi czaszkę.

...

Z błogich rozmyślań wyrwała mnie mama, która oznajmiła, że czas na prysznic i odpoczynek. Na wszelki wypadek wzięła ze sobą budzik, żeby uniknąć kompromitującego zaspania.

2 grudnia, poniedziałek

Zamiast kursu rzeźby zafundowałam sobie dzisiaj kąpiel w pianie. To o wiele

przyjemniejsze zajęcie, zwłaszcza, że pana Sebastiana zastąpił zupełnie inny pan, myjący mi plecy i dolewający gorącej wody.

Mama zrobiła mi naprawdę cudowny prezent. Po trzech dniach wybaczyłam jej obrzydliwą „zradę kozakową”. Ze skóry.

3 grudnia, wtorek

Całą drogę spałam. Wieczorem skontrolowałam swoją twarz w lusterku i muszę przyznać, że są efekty. Być może zareklamuję radon Darii, bo to rzeczywiście doskonały sposób na rozwiązanie problemów przedwczesnej starości.

Kiedy Kaja mnie zobaczyła, uznała, że radon to coś dla niej, zwłaszcza jako regeneracja ogólna po ciąży. Być może. Mam tylko nadzieję, że w razie czego pojedzie sama (albo ze mną), a ich CÓRECZKĄ zajmie się Wesley.

Wiadomość od Amora: „Zdecydowałam się. Wyjeżdżam na jakiś czas”.

Szkoda. W sumie miło się rozmawiało.

4 grudnia, środa

Odrzuciłyśmy już trzech kandydatów chętnych do wynajęcia mieszkania Ewy. Pierwszy wyglądał jak premier Szwecji, tylko był jeszcze bardziej obły i co chwila żuł tabakę. Nie sądzę, aby Ewa chciała oddać swoje wypieszczone mieszkanie w ręce kogoś tak nieatrakcyjnego. Drugi przypominał chłopca z boysbandu i to w zasadzie mogło być jego zaletą, gdyby nie fakt, że czekająca na niego pod biurem dziewczyna również była chłopcem z boysbandu. Nie mamy nic przeciwko parom jednolitym pod względem płci, ale Ewa mogłaby mieć. Trzeci odpadł zanim skończył się przedstawiać, tak okropnie śmierdziało mu z ust.

– Siki – stwierdziła Kaja.

Nie wiem, czy to były siki, ale wierzę jej, bo kobiety w ciąży mają wyostrzone zmysły.

Czekamy dalej. W końcu normalni ludzie też szukają czasem mieszkań.

5 grudnia, czwartek

Bruno był dzisiaj w szkole. Jeśli Kasia zaliczy wszystkie przedmioty przed świętami, może jechać. Dyrektorka wyraziła nadzieję, że Anglia nastolatce się spodoba i życzyła jej wszystkiego najlepszego.

Ja myślę, że ona bardzo chętnie pozbyłaby się jej. W końcu opowiadanie o miłości Żydówki do Niemca nadal zajmuje pierwsze miejsce w rankingu wypracowań opublikowanych w szkolnej gazetce.

Czy Kasia wreszcie podjęła decyzję???

6 grudnia, piątek

Podjęła!!!

Kasia oznajmiła nam dzisiaj przy śniadaniu, że jedzie do Londynu! Ale po roku wraca do nas. Nie do matki.

Na razie cieszę się tym, co mam. Przez rok może się wiele wydarzyć. Może dziewczyna pozna kogoś z synów Diany i spędzi resztę życia na królewskim dworze? A nie, jeden syn już jest zajęty. No i o skandalach w Pałacu Buckingham

jest coraz głośniejszy, ale to i tak lepsze, niż życie na naszej plotkarskiej ulicy z ojcem weterynarzem, który nie operuje gryzoni w narkozie, i trzydziestoletnią macochą.

Za tydzień będziemy mieć w domu zlot przyszczatych nastolatków, którzy przyjdą na imprezę pożegnalną. W drodze wyjątku nawet jestem skłonna upiec ciasto.

Wieczorem

Moje ciało jest zapchane cudownymi pralinkami o smaku rumowym, które dostałam od Brunona na Mikołajki. Pycha!

Dwie godziny później

Nie wiem, co ludzie widzą w pralinkach o smaku rumowym. Są przereklamowane, zdecydowanie za słodkie, i mają mdlące efekty końcowe. Mój mąż mówi, że po trzydziestu pralinkach też by tak uważał.

7 grudnia, sobota

Kaja nie chodzi już do pracy. Czekają z Wesley'em na rozwiązanie i mają nadzieję, że Zosia nie przyjdzie na świat z żadnym opóźnieniem i nie wykręci im numeru w dniu ślubu. Na wszelki wypadek zakleпали sobie drugi termin w pierwszej połowie stycznia. Swoją drogą, jak Kaja sobie w ogóle wyobraża ślub świeżo po porodzie? To, że w Afryce kobiety w godzinę po urodzeniu dziecka idą w pole albo skaczą po drzewach bananowych to jeszcze nie powód, żeby moja przyjaciółka musiała je naśladować.

Cały czas mam nadzieję, że urodzi się Vigo. W końcu penisik mógł mu się podwinąć albo go sam przekornie ukrył między nogami, kiedy lekarka skierowała na niego sprzęt USG.

Schowałam butelkę rumu głęboko do szafki. Źle mi się kojarzy.

8 grudnia, niedziela

Moje wczorajsze zapiski są nieaktualne. Zostałam matką chrzestną! Nagle i zupełnie bez przygotowania. Jeszcze kilka godzin temu Kaja miała wielki brzuch, a już dzisiaj rano wypłuła z siebie dziecko! Kiedy siedziałam w szpitalu i czekałam na wynik, skupiłam całą swoją wewnętrzną siłę na wywoływaniu obrazu Viga. „Chłopiec, chłopiec, chłopiec” – mruczałam jak w transie i wtedy właśnie przybiegł do mnie Wesley (chyba czerwony z podniecenia, choć u niego trudno to stwierdzić) i wydał z siebie jedno brutalne i odzierające mnie z resztek nadziei słowo:

– Dziewcinka!!!

Nic się już nie da zrobić. Niezłe ze mnie medium.

9 grudnia, poniedziałek

Biuro dzisiaj nieczynne. Siedzę od rana w szpitalu i próbuję pocieszyć Kaję, choć ona najwyraźniej wcale tego nie chce. Uważa, że Zosia to najpiękniejsze dziecko na świecie, na dodatek inteligentne i z poczuciem humoru. Jak ona to tak szybko odkryła?

Muszę przyznać, że Zosia w różowym kocyku wygląda dość obrzydliwie. Jest

czerwona, pomarszczona, nie ma zębów ani włosów. Próbowałam spojrzeć na nią oczami matki, ale niestety ciągle widziałam to samo. Na pytanie świeżo upieczonej mamy, czy „mała jest śliczna”, odpowiedziałam z uśmiechem:

– Interesująca. I taka maleńka.

Przynajmniej nie skłamałam.

Wesley stał się ulubieńcem pielęgniarek. Zupełnie nie wiem dlaczego, skoro gołym okiem widać, że nie jest ojcem dziecka. Wesley jednak tak przekonująco gra rolę tatusia Zosi, że pielęgniarki powoli, ale dostrzegają podobieństwo. To jakaś przerażająca czarna komedia w polskim szpitalu położniczym.

Bruno odwiedził moją przyjaciółkę po południu i uznał, tak jak przypuszczałam, że Zosia jest śliczna.

Z wrażenia nie poszłam dzisiaj rzeźbić. To pewnie mała strata dla rodzimej sztuki.

10 grudnia, wtorek

Wśluchałam się dzisiaj w siebie, gdyż chciałam usłyszeć, czy tyka mój zegar biologiczny.

Nie tyka.

Czy to znaczy, że jeszcze nie pora na dziecko, czy że już za późno? Zosia wywołuje u mnie niewielkie, ale jednak rozczulenie. Stwierdziłam to dzisiaj, kiedy Kaja pozwoliła mi ją potrzymać na rękach. Stąd ten zegar. Dziewczynka nie jest aż taka brzydka, jak mi się na początku wydawało. Kto wie, może wyrośnie z niej Maria Skłodowska-Curie? W końcu nie wszystkie dziewczynki lądują na ulicy albo w poprawczaku.

Kupiłam Zosi różową sukienkę. Na pierwszy spacer z cicią Romą i matką chrzestną w jednej osobie.

11 grudnia, środa

Kaja jest już w domu i próbuje w błyskawicznym tempie dojść do siebie, żeby na własnym ślubie nie wyglądać jak posłanka Samoobrony. Wesley dzielnie jej pomaga i wstaje w nocy za każdym razem, gdy mała zapłacze. Podejrzewam, że gdyby mógł, podałyby jej własną czarną pierś.

Kasia powoli się pakuje. Albo raczej zastanawia się, co ze sobą zabrać, by rzucić na kolana przyszczatych londyńskich nastolatków. Wieczorem wpadł Dominik. Zdaje się, że dotarło do niego, iż traci swą ukochaną na rzecz angielskiego księcia, i postanowił spędzać z nią każdą wolną chwilę. Może kiedyś załatwi mu wystawienie sztuki *Śmierć motyli* na prywatnym przyjęciu u królowej Elżbiety?

12 grudnia, czwartek

Nie mam czasu na pisanie, bo docieram randkę malarza pokojowego z pewną kwiaciarką.

13 grudnia, piątek

Znowu pechowa data, ale nie dla zakochanych. Otóż mimo całego zamieszania w ciągu ostatnich dni, udało mi się doprowadzić do zapoznania pani Wiesi – kwiaciarki i właścicielki budki „Czarny tulipan” z panem Andrzejem – malarzem

pokoju. Pierwsze spotkanie odbyło się wyjątkowo w naszym biurze i już po godzinie wiedziałam, że dopadła ich miłość. Oboje postanowili spróbować i już dzisiaj idą do kina (poleciałam im jakąś komedię romantyczną), a następnie do kawiarni.

Cudownie. Jak tak dalej pójdzie, zarobię w końcu na dobre kosmetyki i zrobię porządek ze swoją twarzą.

14 grudnia, sobota

Zosia jest słodka. Bardzo rezolutnie wierzga nóżkami i chyba mnie już poznaje.

Wieczorem

Przeżyłam dzisiaj nalot dwunastu nastolatków i siedmiu nastolatków. Kupili Kasi ogromnego słonia (na szczęście) i przynieśli tort. Zdaje się, że lepszy od mojego sernika, bo zniknął po godzinie. Dominik pełnił honory narzeczonego Kasi oraz stałego bywalca naszego domu. Dobrze, że nie wpadł na pomysł odgrywania żadnych pożegnalnych sztuk w wersji współczesnej. Ograniczył się do robienia zdjęć, choć jak znam jego talent, trudno będzie się domyślić, co przedstawiają. Kuba nie przyszedł. Może uprawia zakazany seks z Myszą?

Pojawiła się za to Sabrina, cała w różach i fioletach. Na jej widok mój ewentualny zegar biologiczny zwiął przez komin.

15 grudnia, niedziela

Kasia spytała dzisiaj, czy jak wróci za rok, to będzie miała braciszka albo siostrzyczkę.

Dostałam gęziej skórki. Zosia to co innego, ale własne dziecko? A jak sprawdzi się okrutna przepowiednia Urszuli Pomieć i od razu dam życie dwóm dziewczynkom? To tak, jakbym przy okazji siebie zabiła.

Bruno spojrział na mnie z uśmiechem i obiecał Kasi, że się postara. Dobrze, że to ja biorę tabletki. Na facetach niestety nie można polegać.

16 grudnia, poniedziałek

Wyrzeźbiłam dzisiaj kobietę w ciąży. Niestety, pan Sebastian dojrzał w niej taczkę i polecił dorobić drewniane kółka.

Palant.

Ten człowiek kompletnie nie zna się na sztuce.

17 grudnia, wtorek

Pani Wiesia zadzwoniła z podziękowaniem. Podobno film był doskonały. Kiedy spytałam, czy pan Andrzej również, odparła, że na razie bardziej podobał jej się film, ale są na dobrej drodze. Mam nadzieję. Bo szczerze mówiąc, tegoroczny bilans miłosny w naszym biurze jak na razie wskazuje tylko dwie szczęśliwe pary – Genowefę i Aleksandra oraz Eryka i Ludwikę. Co do tych ostatnich, to też nie mam żadnej pewności, bo dawno nie miałam od nich wiadomości. Może zaszywają dziurę ozonową.

Dwie pary to nie jest dobra reklama. Trzeba się bardziej postarać.

18 grudnia, środa

Rozpoczęłam przygotowania świąteczne i zrobiłam listę prezentów.

Kasia – nic

Bruno – kijki do nart

Kaja – krem na rozstępy

Zosia – miś

Zosia – kurteczka

Zosia – lalka

Zosia – drugi miś

Zosia – grzechotki

Zosia – paputki

Mama – kalendarz z Bradem Pittem

Róża – forma do ciasta

Ralf – nie wiem

Emil – nie wiem

Po namyśle zdecydowałam się kupić Kasi maść na pryszcze.

19 grudnia, czwartek

W trzech sklepach z kosmetykami odmówiono mi próbek kremu z koenzymami. Pewnie sprzedawczynie wzięły je dla siebie i obdarują nimi znajomych. Jestem skazana na krem bez niczego, wyłącznie z jakąś beznadziejną witaminą. Może mama wreszcie coś przywiezie?

20 grudnia, piątek

Przywiozła! Nie zapomniała! Przywiozła cały zestaw, na każdą część ciała (oczy, cera, szyja, dekolt, ręce, nogi, stopy), który natychmiast w siebie wklepałam i tym sposobem poczułam się profesjonalnie przygotowana do świąt.

21 grudnia, sobota

Upiekłyśmy z mamą piernik, a Ralf doprawiał śledzie. Bruno przytasczył do domu wielką choinkę, a Kasia zabrała się za jej ubieranie. Oczywiście pozbawiła mnie w ten sposób ulubionego zajęcia, ale wybaczam jej, bo za dwa tygodnie wreszcie się od niej uwolnię.

W całym domu pachnie pomarańczami i wanilią oraz octem, bo zbiłam butelkę.

22 grudnia, niedziela

Od kilku dni nie widziałam naszej sąsiadki – tej jędzy od ciasta, której jedynym zajęciem jest obserwowanie życia innych. To dziwne, bo zawsze wypatrywała przez okno i kontrolowała, co dzieje się na naszej ulicy, oraz w którym domu dochodzi do malwersacji, gwałtu, rzucania kłątów i znęcania się nad pasierbicami. Może zachorowała na grypę i leży zlnana potem w brudnej pościeli? Albo potknęła się o lornetkę i wyrznęła głową w kaloryfer?

23 grudnia, poniedziałek

Złożyłam dzisiaj życzenia pani Pomieć, która zbyt prozaicznie, jak na wróżkę, trzepała dywan w swoim ogrodzie. Dowiedziałam się od niej, że sąsiadka strajkuje. W tym samym szpitalu (gdzieś w zielonogórskim) co kuzynka pani Urszuli, stąd te dokładne wiadomości. Jako była pielęgniarka (???) plotkarska sąsiadka postanowiła wspomóc biedne siostry, a przy okazji uznała, że to doskonały sposób na odchudzanie się. Na święta wyjeżdża do rodziny (kto ją zaprosił?), a ponieważ od kilku miesięcy nie mieściła się w spodnie rozmiaru czterdzieści sześć, postanowiła zrzucić parę kilogramów. Ona sama nie ma tyle samozaparcia, więc głodówka w szpitalu jest dla niej jedynym wyjściem.

Biedna kobieta.

Wieczorem

Odwiedziłam dzisiaj Zosię, Kaję i Wesley'a. Odłożyli jednak ślub na styczeń, bo Kaja nadal nie najlepiej się czuje. I tak wygląda doskonale, jak na kogoś, kto ma w domu noworodka i murz..., afroamerykańskiego narzeczonego. Obdarowałam Zosię prezentami, ale niestety ich nie skomentowała, bo spała. Ja dostałam od nich afrykańską grę Hus. Składa się ona z zdrewnianego pudełka i kilkunastu kulek, które trzeba przekładać, aż przeciwnik straci swoje. Tyle reguł – w skrócie. Muszę sobie dokładnie poczytać w domu, bo na razie niewiele rozumiem.

Podobno mama Kai ocknęła się z transu. Jest zachwycona wnuczką i powoli zaczyna akceptować Wesley'a. Kupiła mu nawet pięć kilo bananów w efektownej, drewnianej skrzynce z nadrukiem „Africa”. Wesley był wzruszony i z radości cmoknął ją w policzek. Mama Kai dotykała się w tym miejscu przez całą wieczór.

24 grudnia, wtorek, Wigilia

Dzwonili dziadkowie. Jak co roku obiecali, że zapiszą mi w spadku świerk, który rośnie w ich ogrodzie. Jestem wzruszona, bo dostać na własność odhodowane drzewo, to nie byle co.

O piątej przyjechała Róża i przywiozła schab, pasztet, śledzie w pomidorach oraz moczku. To taki śląski specyfik piernikowy z bakaliami i suszonymi śliwkami, w którym kalorie aż krzyczą i biją się o miejsce.

Emil zrobił bigos.

O ósmej zasiedliśmy do stołu. Właściwie była to jedna z najpiękniejszych Wigilii w moim życiu, mimo pasierbicy z lewej, teściowej naprzeciwko oraz niemieckiego ojczyma po prawej.

25 grudnia, środa

Od rana podziwiałam wczorajsze prezenty. Od Kasi dostałam apaszkę, nawet ładną. Dobrze, że oprócz maści na pryszcze dokupiłam jej tonik oraz skarpetki z Harrym Potterem (Kasia też jest jego fanką, chociaż nie podejrzewam, żeby umiała napisać kolejny tom). Od mamy dostałam kozaki (ha! ha! w zasadzie identyczne jak Kasi, mam jednak nadzieję, że chociaż odrobinę droższe), a od Róży i Emila przewodnik kulinarny po świecie. Dobrze, że nie najnowszy atlas grzybów. Bruno wręczył mi parawan z zasuszonego kopru, bo słyszał od Joanny, że byłam nim

zachwycona. Na razie jestem zachwycona moim mężem, że tak ładnie się postarał. Parawan jest cudowny i idealnie pasuje do łóżka wodnego.

Chyba.

26 grudnia, czwartek

Cały dzień się obzerałam, a wieczorem zamiast wina wypiałam Maalox. To w sumie oryginalne podsumowanie świąt.

27 grudnia, piątek

Znowu jesteśmy w trójkę i pomagamy Kasi w pakowaniu się. Wyjeżdża już drugiego stycznia, bo zwolniło się miejsce w internacie. W tej sytuacji nie idziemy na Sylwestra, bo Bruno i Kasia chcą jak najdłużej pobyc razem. Dominik nas odwiedzi.

Wolałabym pójść na jakąś imprezę, ale muszę okazać wyrozumiałość. Poza tym, za parę dni skończy się horror mojego życia, a to warte jest największego poświęcenia.

28 grudnia, sobota

Bigos Emila smakuje doskonale. To pewnie przez te suszone, „atramentowe” grzybki.

Odwiedziłam dzisiaj Zosię. Zmarszczki już jej się wyprostowały i chyba będzie ładna. Ma niebieskie oczy i kształtny nos. Dyskretnie sprawdziłam uszy, ale na szczęście nie odstają. Malutka śpi z misiem ode mnie.

29 grudnia, niedziela

Dzwoniła Ewa. Romek jako prezent świąteczny podarował jej pół hotelu. To się nazywa gest. Chyba że hotel jest zadłużony.

30 grudnia, poniedziałek

Nie mam czasu na pisanie, bo cały czas załatwiamy papiery Kasi i dogrywamy ostatnie sprawy. Nawet ma nie najgorsze oceny w tym półroczu.

Ciekawe, czy miałam dzisiaj zajęcia z rzeźby?

31 grudnia, wtorek, Sylwester

Upiłam się już o piątej. No i nie doczekałam północy, a kiedy Bruno próbował mnie dobudzić, rzekomo oznajmiłam, że „kocham Zosię”.

Musiał się przesyśleć.

1 stycznia 2003, środa, Nowy Rok

Od jutra zaczynam nowe życie. Bez Kasi. Jeszcze tylko jeden dzień i wreszcie będę wolna. Nie zbulwersował mnie nawet namiętny pocałunek Kasi i Dominika, który odbył się w naszym ogrodzie.

2 stycznia, czwartek

Kiedy odprowadzaliśmy Kasię na lotnisko, Bruno wyglądał na smutnego. Według mnie przesadza. W końcu to tylko rok. Nagle Kasia odwróciła się i spojrzała na mnie.

– Wiesz, mam nadzieję, że tam będę miała komputer i znowu sobie pogadamy.

My? O czym ona mówi?

Roześmiała się.

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. To ja jestem Amor.

Gdyby nie fakt, że nie wiem jak to się robi, pewnie bym zemdląła na zawołanie.

Niestety, mój organizm mnie zawiódł, więc tylko patrzyłam na Kasię i zastanawiałam się, czy śnię.

Poklepała mnie po ramieniu.

– No przecież musiałaś się domyślać. Poza tym, pisałam głównie we wtorki, bo wtedy mieliśmy informatykę w szkole.

A skąd ja miałam wiedzieć, kiedy Kasia chodziła na informatykę, skoro nawet nie mam pojęcia, kto jest patronem jej szkoły? Uśmiechnęłam się blado. Nagle Kasia pocałowała mnie i rzuciła się ojcu w ramiona. Kiedy wsiadała do samolotu, poczułam dziwne ukłucie w żołądku. Czyżby kolka? To pewnie po bigosie.

– Aha – dobiegło mnie jeszcze – przeczytaj sobie Amor od tyłu.

Roma.

Jestem bezmyślną idiotką, która w wieku trzydziestu jeden lat odkryła, że jest nie tylko stara, ale i głupia.

3 stycznia, piątek

Cudowna pustka w domu.

4 stycznia, sobota

Nudno jakoś. Dobrze, że za tydzień ślub Kai.

5 stycznia, niedziela

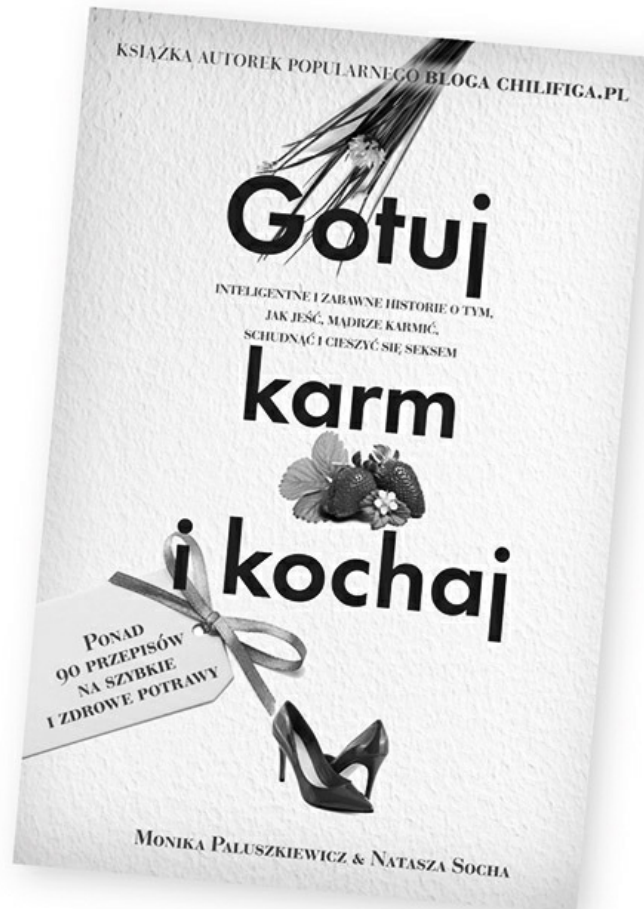
Ciekawe, czy Kasię podoba się Londyn?

6 stycznia, poniedziałek

Potwornie za nią tęsknię!!!

KONIEC

**MONIKA PALUSZKIEWICZ &
NATASZA SOCHA, AUTORKA MACOCHY**



**INTELIGENTNE I ZABAWNE HISTORIE O TYM,
JAK JEŚĆ, MĄDRZE KARMIC,
SCHUDNAĆ I CIESZYĆ SIĘ SEKSEM**

DLA KAŻDEJ DOMOWEJ BOGINI

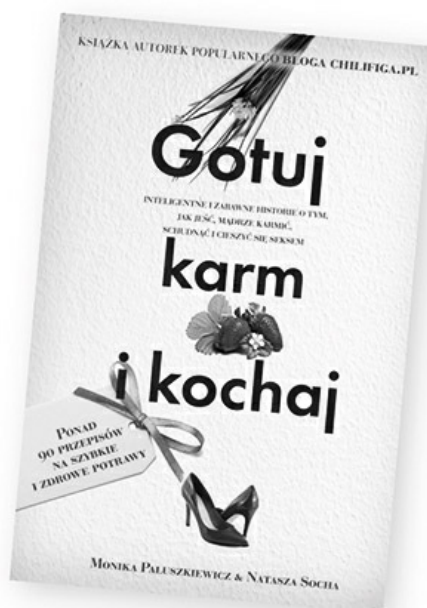
MONIKA PALUSZKIEWICZ & NATASZA SOCHA, AUTORKA MACOCHY

MONIKA – DIETETYCZKA I ŻYWIENIOWA WARIATKA
KONTRA NATASZA – KULINARNA BOGINI I MIŁOŚNICZKA SLOW-FOOD
SPOTYKAJĄ SIĘ NA BLOGU CHILIFIGA.PL

CZY ZASTANAWIALIŚCIE SIĘ KIEDYŚ,
PODGLĄDAJĄC SWOJĄ SEKSOWNĄ KOLEŻANKE
MATKĘ i KUCHARKE W JEDNYM - JAK ONA TO ROBI?
W DOMU SERWUJE GOŚCIOM CARPACCIO Z GRZYBÓW
I SERNIK Z ORZECHÓW.

PIECZE BUŁECZKI I LEPI Z DZIEĆMI PIEROGI,
A ONE ZACHWYCONE PAŁASZUJĄ KAROBOWE CUKIERKI.
I JESZCZE MA CZAS NA FRYZJERA, ZAKUPY, ZUMBĘ I JOGGING.

ALE JEST TEŻ DRUGA STRONA:
POKROJENIE CIASTA NOŻEM BRUDNYM OD CZOSNKU,
GRYZIENIE ŚCIAN Z ROZPACZY, GDY DZIECKO
PO RAZ KOLEJNY STRZELA FOCHA PRZY JEDZENIU,
ZASTRASZAJĄCA ZMIANA WAGI PO CIĄŻY...
BRZMI ZNAJOMO?
DLATEGO TA KSIĄŻKA JEST WŁAŚNIE DLA WAS.



Macocha

Spis treści

Karta tytułowa

Reklamy

Karta redakcyjna

Copyright © by Natasza Socha-Chyrzyński, 2004
Copyright © by Wydawnictwo Termedia, 2014

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy.
Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Termedia, Poznań 2014

Projekt okładki: Olga Reszelska
Zdjęcie na okładce: © iStockphoto.com/AnikaSalsera

Redakcja: Kamila Czok, Editio
Korekta: Katarzyna Pokrzywnicka, Editio

eISBN: 978-83-7988-180-2



Wydawnictwo Filia
grupa Termedia sp. z o.o.
ul. Kleeberga 8
61-615 Poznań
www.wydawnictwofilia.pl

Wszelkie pytania prosimy kierować na adres: czytelnicy@wydawnictwofilia.pl



Plik mobi przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.elib.pl